

DIANA PALMER

Bezdomna

Przełożyła
Małgorzata Kicana

EC
9! GIRD

Wydawnictwo Da Capo
Warszawa

Prolog

Montana, wiosna 1891

Ciemne chmury kłębiące się nad wzgórzami na horyzoncie rozdarła błyskawica, wieszcząc nadejście jednej z popularnych w tej okolicy wiosennych burz. Tess Meredith uwielbiała obserwować te gwałtowne ulewy - tym bardziej, że teraz miała lowarzysza wypraw, który znał wiele interesujących legend i opowieści na każdą okoliczność.

Jeszcze bardziej, niż przyglądać się burzom w towarzystwie swego nowego przyjaciela, Tess lubiła jeździć galopem na oklep, łowić ryby w rzece, polować i cieszyć się wolnością... tym, co sama nazywała „przygodą”. Jej ojciec często powtarzał, że łak dzika pannica nigdy nie znajdzie sobie męża; bo kto niby chciałby mieć za żonę kobietę, której umiejętności nie miały nic wspólnego z domowymi robótkami przystojącymi dobrze urodzonej niewieście?

Jednak tego dnia Tess była wyjątkowo poważna i zdawała się mieć więcej niż swoje czternaście lat. Długie blond włosy były uczesane w porządną kok na czubku głowy, a nie, jak zwykle, rozpuszczone na ramiona; ubrana była w długą bawełnianą sukienkę o długich rękawach i wysokim kołnierzu, a na nogach miała eleganckie pantofelki, choć zazwyczaj nosiła koszulę ojca, skórzane spodnie i wysokie buty. Co prawda ojciec nigdy nie

ganił jej za nieodpowiedni ubiór czy nieprzystojne zachowanie, ale tego ranka nie posiadał się z zachwytu, gdy zobaczył ją tak odświętnie ubraną. Pan Meredith był wyjątkowo łagodnym i dobrym człowiekiem, a jego córka była święcie przekonana, że właśnie dlatego jest tak wspaniałym lekarzem. Wielu medyków posiadało fachowe umiejętności, lecz niewielu szczerze lubiło ludzi.

Tess westchnęła i spojrzała na Tańczącego Kruka siedzącego obok niej, jedynego mężczyznę, który traktował ją jak równą sobie, a nie jak głupie dziecko... albo jeszcze gorzej - jak głupią dziewczynę. Kruk był Siuksem i do niedawna mieszkał w Pine Ridge. Miał szerokie, wspaniale umięśnione ramiona, długie, gęste włosy uczesane w jeden warkocz i pociągłą, brązową twarz, która rzadko kiedy wyrażała emocje. Teraz siedział obok niej wyprostowany i milczący, choć Tess wiedziała, że coś go gryzie.

Patrząc na niego czuła dziwną melancholię... Czy widział coś, czego ona nie dostrzegała? Czasem trudno było jej uwierzyć, że jest od niej starszy zaledwie o sześć, może siedem lat.

- Boisz się? - zapytała nagle.

- Wojownik nigdy nie przyznaje się do strachu.

Tess uśmiechnęła się lekko.

- O, przepraszam bardzo. W takim razie, czy jesteś zdenerwowany?

- Zaniepokojony. - W długich, szczupłych palcach obracał nieduży kij, którym albo wymachiwał, albo rysował dziwne symbole na piasku. - Chicago jest bardzo daleko stąd... a ja jeszcze nigdy w życiu nie byłem w mieście białego człowieka.

- Papa mówi, że pójdziesz tam do szkoły, a potem znajdziesz sobie pracę. Powiedział, że jakiś jego znajomy obiecał się tobą zaopiekować.

- Wiem.

Tess delikatnie dotknęła jego ramienia, choć wiedziała, że od czasu masakry pod Wounded Knee w Południowej Dakocie,

w której został ranny, Kruk nie lubi, by ktoś go dotykał. W tej bitwie zginęło ponad dwustu jego pobratymców, w tym także jego matka i dwie siostry, ale ponieważ Tess pielęgnowała go i doglądała jego ran wraz z ojcem, Kruk znosił jej dotyk i nigdy się nie odsuwał.

- Wszystko będzie w porządku - odezwała się Tess łagodnie i z całą wiarą, na jaką było ją stać. - Polubisz Chicago, zobaczysz.

- Taka jesteś tego pewna? - W jego ciemnych oczach zabłyśły iskierki rozbawienia.

- Oczywiście! Po śmierci mamy, kiedy papa powiedział, że podjął pracę w rezerwacie, byłam śmiertelnie przerażona... Nikogo tu nie znałam, musiałam opuścić wszystkich moich przyjaciół i znajomych. Ale gdy tylko tu przyjechaliśmy, przekonałam się, że wcale nie jest tak źle. - Nerwowo poprawiła sukienkę i dodała: - No, może nie do końca... Bardzo nie podobał mi się sposób, w jaki żołnierze traktują twoich braci.

- Mnie też - odparł sucho. Urwał i przez długą chwilę wpatrywał się w jasnozielone oczy dziewczynki. - Twój ojciec odetchnie z ulgą, gdy już odjadę. Pozwala, bym cię uczył różnych rzeczy, lecz gdy je robisz na jego oczach, marszczy brwi i nie odzywa się do mnie przez cały dzień.

- Bo jest staroświecki. - Tess roześmiała się wesoło. Potem spojrzała na odległe wzgórza i dodała namiętnie: - Ten świat trzeba zmienić! Chcę go zmieniać! Chcę robić rzeczy, o których kobietom do tej pory nawet się nie śniło.

Już umiesz robić sporo rzeczy, o których większość białych kobiet nie ma pojęcia. Potrafisz ściągnąć skórę z jelenia, wytropić łosia, jeździć konno bez siodła i strzelać z łuku...

I nadawać znaki dymne... i mówić w języku Siuksów, a wszystko dzięki tobie, Kruku. Jesteś moim najlepszym przyjacielem i wspaniałym nauczycielem. Jakże bym chciała móc pojechać z tobą do Chicago. Ależ świetnie byśmy się bawili!

Tańczący Kruk tylko wzruszył ramionami i narysował kolejny

symbol na piasku. Tess nie mogła wyjść z podziwu, jakie ma piękne ręce - o długich, szczupłych palcach i silnych, choć delikatnych nadgarstkach. Kiedy pochylił się nieco, Tess spojrzała na jego plecy i mimowolnie się skrzywiła. Wiedziała, że pod miękką skórą jego kurtki kryją się koszmarnie blizny po ranach odniesionych pod Wounded Knee.

Harold, ojciec Tess, powiedział, że to cud, iż Kruk przeżył. Ponad pół tuzina kul ugrzęzło w jego plecach, przy czym dwie przebiły lewe płuco, ale jeszcze nie to było najgorsze. Harold Meredith musiał wykorzystać całą swą wiedzę medyczną, by pomóc rannemu młodzieńcowi, lecz i tego było za mało. Wtedy wreszcie zwrócił się z prośbą o pomoc do lekarza wywodzącego się z nieco innej tradycji: do pokoju, w którym leżał ranny Kruk, przesznułował z rezerwatu szamana Siuksów.

Nie wiadomo, czy to umiejętności Harolda, czy szamana - a może ich obu - zadziałały, lecz wkrótce Wielki Duch się uśmiechnął i młodzieniec zaczął powracać do zdrowia. Była to długa i bolesna rekonwalescencja, a Tess miała w niej swój czynny udział.

- Będziesz za mną tęsknić? - spytała teraz.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - W końcu to ty uratowałaś mi życie.

- Nie... To mój ojciec i wasz szaman wspólnie dokonali cudu.

Tańczący Kruk nie był wylewnym mężczyzną, lecz w tej chwili ujął białą rączkę Tess w swoje brązowe dłonie i spojrzał jej głęboko w oczy.

- To ty tego dokonałaś - powtórzył z uporem. - Ocaliłaś mi życie. Przeżyłem tylko dlatego, że siedząc przy moim łóżku co dzień tak bardzo płakałaś. Było mi cię szkoda, poza tym uważałem, że niegrzecznie będzie umrzeć, skoro ty się tym aż tak zajmujesz.

Tess roześmiała się.

- To najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek przy mnie wypo-

wiedziałaś... i jedyne kłamstwo. - W jej oczach igrały wesołe płomyki.

Kruk wstał, przeciągnął się leniwie, po czym pomógł jej wstać. Przyjrzał się jej zarumienionej twarzy. Była już nieomal kobietą... i dałby sobie głowę uciąć, że pewnego dnia wyrośnie z niej prześliczna panna, kto wie, może nawet prawdziwa piękność? Niepokoił się o nią: wszystko przeżywała tak mocno i gwałtownie...

- Dlaczego? - zapytała nagle. - Dlaczego? Dlaczego?

Nie musiał pytać, o czym myśli i o co pyta. Odpowiedział jej bez wahania:

- Z powodu tego, co ludzie Siuksów zrobili generałowi Custerowi... Przez wiele miesięcy zastanawiałem się nad tym, co wydarzyło się pod Wounded Knee. - Zesztywniał i zapatrzył się w dal. Potem kontynuował cicho i ochryple: - Niektórzy z żołnierzy, którzy otworzyli do nas ogień, ci, którzy strzelali do kobiet i dzieci... niektórzy z nich pochodzili z niedobitków oddziałów Custera. Miałem sześć lat, gdy moi bracia walczyli z Custerem i pamiętam, jak wyglądała bitwa pod Greasy Grass... Wiele kobiet straciło mężowi synów... ja straciłem ojca. Potem kobiety wyładowały swój żal i gniew na ciałach poległych żołnierzy... To było złe.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz... i całe szczęście - odparł z dziwnie zaciętą miną. - Przekomarzałem się z tobą wcześniej, Tess, ale naprawdę nie przeżyłbym, gdybyście ty i twój ojciec nie działali tak szybko i tak odważnie.

- Wyruszyliśmy na pole bitwy, gdy tylko usłyszeliśmy, co się dzieje... że ludzie umierają na zamrożonej ziemi... - W jej zielonych oczach pojawiły się łzy. - Och, Kruku... było tak zimno, tak przeraźliwie zimno. Nigdy tego nie zapomnę. Co dzień dziękuję Bogu, żeśmy cię znaleźli.

- A ja dziękuję Wielkiemu Duchowi, że mnie wyratowaliście, zajęliście się moimi ranami i ukryliście w wozie, dopóki nie wyjechaliśmy z Dakoty.

- Całe szczęście, że papa właśnie wtedy otrzymał przeniesienie do rezerwatu Czejenów. Chyba wszyscy uwierzyli, że znaleźliśmy cię przy drodze nieopodal Lame Deer w Montanie. W każdym razie nikt nam w oczy nie zarzucał kłamstwa.

- Nie powinienem był udawać się w odwiedzinę do kuzynów ze szczepu Wielkiej Stopy, co? - spytał uśmiechając się gorzko.

Tess potrząsnęła głową.

- Powinieneś był zostać w Pine Ridge... tam byłbyś bezpieczny...

- I matka... i siostry też. - Nagie otrząsnął się, jak gdyby chciał strząsnąć z siebie ogarniający go smutek. - Chodź, musimy już iść. Twój ojciec będzie się niepokoić, że tak długo nie wracasz.

Tess nie miała na to ochoty, lecz spojrzawszy na niego napotkała poważny, spokojny wzrok i wiedziała, że protesty na nic się zdadzą. Ustąpiła uśmiechając się lekko.

- Czy po wyjeździe nie zapomnisz o nas?

- Oczywiście, że nie. Od czasu do czasu będę was odwiedzać - obiecał widząc jej zaniepokojoną minę. - Tylko ty nie zapomnij tego wszystkiego, czego cię nauczyłem.

- Nigdy - powiedziała patrząc mu w oczy. - Dlaczego wszystko musi się zmienić?

- Bo tak już jest na tym świecie. - Na horyzoncie widać było ścianę deszczu. - Chodź, bo jeżeli posiedzimy tu jeszcze trochę, na pewno zmokniemy.

- Jedną chwilę... Powiedz mi coś...

- Co tylko zechcesz - zamruczał cicho.

- Co zrobił stary Rączy Jeleń, gdy odwiedziliśmy go w zeszłym tygodniu?

Kruk zeszywniał nieco i odwrócił wzrok.

- Odprowadził bardzo stary, święty rytuał. - Spojrzał jej w oczy.

- Po to, by ciebie chronić... - dodał enigmatycznie, a potem uśmiechnął się. - Tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć.

1

Chicago, Illinois, listopad 1903

W telegramie było napisane: *Przyjeżdżam do Chicago w piątek. Dworzec Główny, godzina 14.00, Tess.*

Matt Davis przeczytał go kilkakrotnie, za każdym razem klnąc wściekle; Tess Meredith nie miała po co przyjeżdżać do Chicago. Jej ojciec zmarł zaledwie dwa miesiące temu, a Matt dowiedział się o tym dopiero po paru tygodniach, kiedy wrócił do domu po kilku miesiącach pracy poza granicami stanu. Oczywiście, od razu napisał do Tess, a ona mu odpisała, lecz ani słowem nie zdradziła się z zamiarem przyjazdu do Chicago.

Od czasu, gdy wyjechał z Montany i zamieszkał w mieście, skończył szkołę detektywistyczną i został zatrudniony w Agencji Pinkertona, ale cały czas utrzymywał kontakt z przyjaciółmi na Zachodzie - co najmniej raz w roku odwiedzał Tess i jej ojca, regularnie z nimi korespondował i często zapraszał do Chicago, z czego oni nigdy nie skorzystali.

Jakiś czas temu Tańczący Kruk zaczął używać nazwiska Matt Davis; zmienił się też pod wieloma względami, jednak nigdy nie zapomniał o Haroldzie i Tess Meredithach - byli jedyną rodziną, jaką miał na świecie i wizyty u nich sprawiały mu większą przyjemność, niż sam przed sobą przyznawał.

W wieku szesnastu lat Tess nie była już tak swobodna i śmiała,

jak dwa lata wcześniej - stała się nagle nieśmiała i wyciszona; w wieku osiemnastu lat, Tess była już zupełnie inną osobą: dojrzałą, śliczną i bardziej niekonwencjonalną, niż Matt pamiętał z przeszłości, Dwa lata temu, gdy odbył jedną ze swych pielgrzymek do Montany połączoną ze sprawą, nad którą właśnie pracował - a teraz miał już własną agencję detektywistyczną - widok dwudziestoczteroletniej Tess zaparł mu dech w piersi. Nie była już szczerzącym zęby w uśmiechu czternastoletnim skrzatem, ani wyciszoną szesnastolatką, ani nawet nonszalancką osiemnastolatką, lecz prześliczną, pełną werwy, otwartą i odważną młodą kobietą, doprowadzającą do szału konserwatywnie myślącego ojca. Harold zwierzył się kiedyś Mattowi, że córka nawet nie chce myśleć o małżeństwie i że jeździ do miasta na koniu, siedząc w męskim siodle, w spodniach ojca oraz z bronią przytroczoną do pasa. Poza tym zorganizowała w miasteczku koło sufrażystek... i zaatakowała pewnego miejskiego lowelasa, grożąc, że go zastrzeli, jeżeli jeszcze raz ośmieli się poklepać ją po pośladkach. Staruszek błagał go o radę, ale spojrzawszy w oczy nowej Tess, Matt też nie wiedział, co z nią począć.

Teraz Harold Meredith nie żył, a on odziedziczył Tess i wszystkie związane z nią kłopoty. Wiedział, że to raz na zawsze zmieni jego życie. Było to przerażające i podniecające zarazem.

Stary, zniszczony przez długie lata eksploatacji pociąg wjechał na stację, sapiąc i wypluwając kłęby dymu. Elegancko ubrani mężczyźni pomagali wysiadać pięknym damom, bagażowi popychali wózki załadowane kuframi i pakunkami... ale nigdzie nie było ani śladu Tess.

Matt sapnął ze zniecierpliwieniem i rozejrzał się z irytacją po peronie. Nagle w kształtnej kobiecie w sukni z jasnozielonego ałtasu, z jasnozielonym kapelusikiem na głowie przybranym zieloną woalką i niecierpliwie tupiącej zgrabną nóżką odzianą w zielony trzewiczek, rozpoznał swą przyjaciółkę z dzieciństwa. Minione lata rozwiąły się jakimś cudem i w eleganckiej damie

zobaczył dziewczynę o blond włosach splecionych w długi warkocz, którą znał dawno temu.

W tej samej chwili Tess także go dostrzegła; w mgnieniu oka zniknęła cała jej poza - wołając głośno jego imię, ruszyła biegiem po peronie, by w końcu rzucić mu się w ramiona.

W jednej chwili Matt otoczył ją ramionami i uniósł wysoko; jego ciemne oczy napotkały spojrzenie jej zielonych źrenic... i poczuł nagłe pieczenie pod powiekami.

- Och, Matt! Tak bardzo się za tobą stęskniłam! - wykrzyknęła Tess. - Ani trochę się nie zmieniłeś!

- Za to ty bardzo się zmieniłaś - odparł, stawiając ją z powrotem na peronie.

- Tylko dlatego, że teraz mam piersi - odparła, na co policzki Matta pokryły się krwawą czerwienią.

- Tess!

Ale ona tylko oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego wyzywająco.

- Żyjemy w nowym świecie. Teraz my, kobiety, domagamy się swoich praw... mamy dość obłudy i hipokryzji... Chcemy tego wszystkiego, co mają mężczyźni.

Matt nie mógł się powstrzymać. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Owłosionych klatek piersiowych?

- Twoja nie jest wcale owłosiona - odparła przy pochlebnie. - Jeżeli mnie pamięć nie myli, jest bardzo gładka i przyjemna w dotyku. - Po chwili spojrzała na niego z powagą w zielonych oczach. - Czy tu, w Chicago, ktoś wie, kim naprawdę jesteś i skąd pochodzisz?

Matt uniósł lekko brwi, wystarczająco jednak, by jego twarz nabrała aroganckiego wyrazu.

- Zależy, o którą wersję na temat mojej przeszłości ci chodzi. Mój bankier jest przekonany, że jestem wygnanym carewiczem... moi koledzy z Agencji Pinkertona sądzą, że pochodzę z Hiszpanii,

a pewien starszawy Chińczyk, który pierze moje ubrania, uważa, że jestem Arabem.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - powiedział i lekko zmrużył oczy. - Ty masz prawo mówić w ojczystym języku i ubierać się w narodowe stroje twoich przodków. Natomiast w tym kraju Siuks nie może nawet uczestniczyć w obrzędach religijnych... nawet w Tańcu Słońca. - Poprawił krawat, który pięknie komponował się z jego garniturem i kamizelką. Na głowie miał kapelusz, a długie włosy nosił związane w warkocz i ukryte pod kołnierzem marynarki. Niewielu ludzi w Chicago domyśliłoby się, że mają do czynienia z Siuksem. - Niech ludzie myślą sobie o mnie, co im się żywnie podoba... Jestem chodzącą zagadką, Tess, a to bardzo pomaga w interesach. - Potem, poważniejąc, dodał spokojnie: - Z powodu tego, co wydarzyło się pod Wounded Knee, nic już nigdy nie będzie takie samo. Teraz Siuks przebywający w państwowej szkole czy pracujący na państwowej posiadzie nie może nosić długich włosów ani mówić w swoim rodzimym języku, ani nawet ubierać się w tradycyjne stroje. To jest nielegalne.

- No i nie masz nawet prawa głosować we własnym kraju - dodała Tess ponuro. Ale *zaraz* się rozjaśniła: - Jesteś bardzo podobny do mnie. No cóż, panie Kruku-Davisie, będziemy musieli wspólnie zmienić świat.

Przez długą chwilę wpatrywał się w nią tymi dziwnymi, onyksowymi oczyma; była przesliczną kobietą, a pod uroczą buzią skrywał się niezależny i uparty duch.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego ojca - powiedział niezręcznie. - Musisz za nim bardzo tęsknić.

- Nie mówmy o tym - odrzekła i zacisnęła usta, mrugając szybko dla pozbycia się łez, które jakoś same napłynęły jej do oczu. - Całą drogę do Chicago bardzo starałam się być dzielna, ale nawet po dwóch miesiącach nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do tego, że jestem sierotą. - Nagle położyła mu małą, obciągniętą

w rękawiczkę dłoń na ramieniu i spytała cicho: - **Matt, nie** masz nic przeciwko temu, że tu przyjechałam? W Montanie nie miałam nikogo... a jeden z żołnierzy ciągle zawracał mi głowę i nalegał, bym za niego wyszła. Musiałam stamtąd wyjechać, bo jeszcze trochę i poddałabym się dla świętego spokoju.

- Czy to ten sam żołnierz, o którym swego czasu pisał mi twój ojciec? Ten porucznik Smalley?

- Aha... ten sam. - Nagle onieśmielona zdjęła dłoń z jego ramienia i zaczęła nerwowo obracać rączkę parasolki. - Pamiętasz go, prawda?

- Trudno jest zapomnieć nazwisko człowieka, który przyczynił się do wymordowania całej mojej rodziny pod Wounded Knee - odparł ochryple.

Tess rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że ludzie spieszą w swoich sprawach i nikt nie zwraca na nich szczególnej uwagi. W domu, w Montanie, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej: widok młodej jasnowłosej kobiety rozmawiającej z pełnokrwistym Siuksem wywołałby niejedno wrogie spojrzenie.

- Pamiętam, jak kiedyś wyglądałeś - odezwała się cichutko. - Jeździłeś konno na oklep, w indiańskim stroju, z włosami rozpuszczonymi i powiewającymi na wietrze... - Przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, jej ojciec widząc, że Tess wodzi oczyma za młodym wojownikiem, droczył się z nią, że oddała mu serce.

Ale Matt nie lubił rozpamiętywać przeszłości.

- A ja pamiętam, jak kiedyś usiłowałeś zdjąć skórę z jelenia i zwymiotowałeś.

Tess uniosła dłoń z udanym przerażeniem.

- Proszę, nawet mi o tym nie przypominaj. Teraz jestem damą.

- A ja jestem teraz detektywem, może więc zostawimy przeszłość w spokoju i skupimy się na teraźniejszości?

- Jak sobie życzysz.

- Gdzie są twoje bagaże?

- Jakiś bagażowy wioził je niedawno... o, tam. - Wskazała na wózek stojący przy końcu peronu - leżał na nim ogromny kufer i kilka pomniejszych toreb. - Spojrzała na swego towarzysza. - Podejrzewam, że będę musiała znaleźć sobie jakieś własne mieszkanie, prawda? Chyba że mogłabym zamieszkać z tobą?

Matt spojrzał na nią zszokowany; czyżby wiedziała o przeszłości więcej, niż kiedykolwiek dała po sobie poznać? Wstrzymał oddech.

- Nie mam na myśli wspólnego życia - dodała pospiesznie. - Chodzi mi o to, że pewnie mieszkasz na stacji... zastanawiałam się, czy gospodyni nie ma przypadkiem wolnego pokoju.

Matt odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do przyjaciółki.

- Podejrzewam, że pani Mulhaney znajdzie dla ciebie pokój... Ale pomyśl, by młoda kobieta mieszkała samotnie na stacji, może wywołać nieprzyzwoite skojarzenia. Licz się z tym, że szacowne społeczeństwo Chicago uzna cię za kobietę upadłą. Może coś pomoże, jeżeli powiemy, że jesteś moją kuzynką?

- A jestem?

- Jasne, że jesteś - odparł pewnie. - Tylko w ten sposób mogę cię chronić.

- Nie potrzebuję twojej opieki. Bardzo ci dziękuję, ale sama potrafię się o siebie troszczyć.

Biorąc pod uwagę to, że sama zajęła się pogrzebem ojca i przejechała samotnie pół kraju bez żadnych nieprzewidzianych wypadków, zapewne miała rację.

- Wierzę ci - rzekł łagodnie. - Ale jesteś tu po raz pierwszy. Nie znasz Chicago i nie wiesz, jak wygląda życie w wielkim mieście. Ja wiem...

- Właściwie oboje jesteśmy tu obcy, co? - spytała z ogromnym smutkiem. - Przecież żadne z nas nie ma na świecie nikogo poza samym sobą.

- Mam kuzynów w Południowej Dakocie i w Montanie - odparł urażony.

~ Taak... których nigdy nie odwiedzasz - palnęła prosto z mostu. - Czy ty się ich wstydzisz, Matt?

Jego oczy zamigotały jak dwa czarne diamenty.

- To nie twój interes - syknął przez zaciśnięte zęby. - Chętnie pomogę ci się tu urządzić, ale to, co czuję, to wyłącznie moja sprawa, zrozumiano?

Tess wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nadal reagujesz jak wściekły grzechotnik, gdy ktoś nadeptnie ci na odcisk.

- Uważaj, żebym cię nie ugryzł.

Skłoniła się przed nim niziutko.

- Postaram się zbytnio cię nie prowokować.

Co zamierzasz tu robić? - spytał Matt, gdyż już załatwił z kierownikiem stacji, by przechował bagaże Tess do czasu, aż znajdzie dla niej mieszkanie i będzie mógł po nie przysłać.

- Znajdę sobie jakąś pracę.

Matt zatrzymał się jak wryty i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Pracę?!

- Oczywiście, że tak. Nie jestem bogata z domu... poza tym, mamy tysiąc dziewięćset trzeci rok. Kobiety pracują już w najróżniejszych zawodach. Czytałam o tym: pracują jako sprzedawczynie w sklepach, albo jako stenografistki... albo w fabrykach odzieżowych. Mogę robić właściwie wszystko... poza tym, jestem wykwalifikowaną pielęgniarką. Aż do śmierci papy... - Głos jej się załamał i dopiero po paru sekundach mogła mówić dalej: - Aż do śmierci papy pomagałam mu w pracy. Mogę pracować w którymś z miejskich szpitali... wiem, że dam sobie radę. - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Przecież chyba jest w Chicago jakiś szpital?

- Oczywiście. - Przypomniał sobie, jak dawno temu uczył ją

strzelać z łuku i strzelby; była odważna i szybko się uczyła. Czyżby w ten niecodzienny sposób on sam ukształtował jej charakter? Jeżeli tak, instynktownie czuł, że będzie jeszcze tego żałować. Praca pielęgniarki nie była powszechnie uważana za odpowiednią dla dobrze urodzonej młodej damy; niektórzy patrzyliby na to krzywym okiem... z dragej strony, patrzyliby też krzywym okiem, gdyby pracowała jako sprzedawczyni w sklepie albo...

- Cóż, pomysł, by kobieta pracowała i sama zarabiała na swoje utrzymanie, jest nieco... niezwykły.

Tess uniosła brwi.

- A. jak nazwałbyś Siuksa, który paraduje w garniturze i kapeluszu, udając wygnanego z Rosji carewicza? Czy to coś zwyczajnego? - Widząc, że Matt sapnął z irytacją, ciągnęła: - Nie powinienesz mnie nie doceniać, Ukończyłam szkołę z najlepszym wynikiem na roku.

Matt przyglądał się jej z irytacją, gdy podjęli swą wędrowkę chodnikiem. Piękne powozy ciągnięte przez zgrabne konie w brzęczącej uprzęży toczyły się ulicą, po obu stronach której stały wysokie domy; wiele z nich było świątecznie przystrojonych.

W jednym z okien wystawowych Tess zauważyła maleńkie elektryczne pociągi jeżdżące na makiecie trawy i gór, w których zrobione były autentyczne tuneliki.

- Och, Matt, spójrz tylko! Czyż to nie śliczne?!

- Naprawdę chcesz, bym ci powiedział, co myślę na temat parowozów jeżdżących po prerii?

- Oj, daj spokój. Jesteś nieznośny. - Znowu zrównała z nim krok. - Boże Narodzenie jest już za niecałe dwa miesiące. Czy twoja gospodyni także dekoruje dom na święta? Stawia choinkę w salonie?

- Tak.

- To wspaniale! Mogę jej pomóc w robieniu ozdób i łańcuchów, i...

- Zakładając, oczywiście, że znajdzie dla ciebie wolny pokój.

Tess zagryzła dolną wargę. Przyjechała do Chicago powodowana impulsem i teraz po raz pierwszy zastanowiła się nad konsekwencjami swego czynu; po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości.

- A jeżeli nie znajdzie dla mnie miejsca? - spytała niepewnie.

Matt dostrzegł przez woalkę strach na jej twarzy i serce mu się ścisnęło.

- Znajdzie, znajdzie - odrzekł z niezachwianą pewnością siebie. - Nie pozwolę, byś mieszkała z dala ode mnie. W tym mieście aż roi się od podłych ludzi. Dopóki nie połapiesz się we wszystkich tajnikach miejskiego życia, potrzebujesz spokojnej przystani i kogoś, kto by się tobą opiekował.

Tess uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Podejrzewam, że sprawiam ci mnóstwo kłopotów, ale zawsze byłam impulsywna. Czyżbym liczyła na zbyt wiele, Matt? Jeżeli ci przeszkadzam, po prostu mi to powiedz i zaraz wrócę do domu.

- Do natarczywego porucznika? Po moim trupie. Chodźmy.

' Ujął ją pod ramię i poprowadził chodnikiem, zręcznie omijając dziury; jedna z nich wyglądała tak, jakby była zrobiona przez karabinową kulę. Matt przypomniał sobie, że we wczorajszej gazecie wyczytał, iż w okolicy dokonano napadu na bank, a między policjantami i złodziejami wywiązała się ostra walka.

- Pani Blake mówiła mi, że Chicago to bardzo cywilizowane miasto - odezwała się Tess. - Czy to prawda?

- Czasami.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jakie sprawy prowadzi twoja agencja detektywistyczna?

- Zazwyczaj tropię kryminalistów - odrzekł. - Raz czy dwa wykonywałem inne zadania: prowadziłem parę spraw rozwodowych, zdobywałem dowody okrucieństwa mężów... - Popatrzył na nią ciekawie. - Spodziewam się, że jako kobieta nowoczesna nie masz nic przeciwko rozwodom?

- Mam parę obiekcji - przyznała powoli odmierzając słowa.
- Uważam, że ludzie powinni starać się utrzymać swoje małżeństwo, ale jeżeli mężczyzna jest agresywny, zdradza żonę lub jest nałogowym hazardzistą, kobieta ma prawo się go pozbyć.

- Uważam, że powinna mieć prawo zastrzelić takiego łajdaka
- mruknął pod nosem Matt przypominając sobie sprawę, nad którą ostatnio pracował: pijany mąż pobił do nieprzytomności żonę i mocno okaleczył małe dziecko. Matt pozbawił drania przytomności i osobiście zawłókł go na komisariat.

- Masz rację. - Tess przyglądała mu się zza woalki. - Nadal jesteś nieprzyzwoicie przystojny.

Uśmiechnął się do niej ironicznie.

- Pamiętaj, że jesteś moją kuzynką - przypomniał jej z udaną powagą. - W Chicago będziemy uchodzić za rodzinę, więc nie możesz się ślinić na mój widok, żebyś była nie wiem jak nowoczesna.

- Ależ ty się zrobiłeś poważny - mruknęła Tess krzywiąc się niemiłosiernie.

- Mam poważny zawód.

- I założę się, że jesteś dobry w tym, co robisz. - Przyjrzała się beczelnie jego kamizelce. - Czy nadal nosisz ze sobą ten ogromny nóż myśliwski?

- A ty skąd o tym wiesz?

- Wyczytałam to w jakiejś nowelce o tobie.

- Co takiego?!

Wpadła na niego, gdyż gwałtownie zatrzymał się i obrócił w jej stronę.

- Nie rób tak! - pisnęła, po czym, wyprostowawszy kapelusz, dodała: - Napisano o tobie nowelkę, nie wiedziałeś? Wysła jakiś rok temu, niedługo po tym, jak złapałeś przywódcę gangu złodziei, którzy napadali na banki... i zastrzeliłeś go. Nazywali cię w niej Wspaniałym Mattem Davisem!

- Zaraz zrobi mi się niedobrze - powiedział Matt i naprawdę miał taką minę, jakby go mdliło.

~ Hej, chyba nie tak źle jest być bohaterem! Pomyśl tylko, pewnego dnia będziesz mógł pokazać tę nowelkę swoim dzieciom... wiesz, jakie byłyby z ciebie dumne?

- Nigdy nie będę miał dzieci - odrzekł krótko patrząc prosto przed siebie.

- A to dlaczego? Nie lubisz dzieci?

Matt spojrział na nią z góry.

- Podejrzewam, że kocham dzieci równie mocno jak ty. Czy ty, stara panna, już dwudziestosześcioletnia, nie żałujesz czasem, że nie masz męża ani dzieci?

Tess zarumieniła się po uszy.

- Nie muszę wychodzić za mąż tylko po to, by mieć dzieci - odparła ponuro. - Potrzebuję tylko kochanka!

Matt spojrział na nią wymownie, a ją zaskoczyła własna reakcja na to spojrzenie. Z trudem przełknęła ślinę. Łatwo było wygłaszać podobne poglądy na zebraniach sufrażystek, lecz gdy spojrzała, teraz na Matta i wyobraziła sobie, jakim byłby kochankiem... kolana się pod nią ugięły i serce zaczęło jej walić jak szalone. Właściwie niewiele wiedziała o tych sprawach; jedna z jej przyjaciółek-sufrażystek powiedziała jej tylko kiedyś, że to bardzo boli i wcale nie jest przyjemne.

- Twój ojciec wychłostałby cię batem, gdyby usłyszał, co wygadujesz!

- Ojej! A niby komu mam mówić podobne rzeczy? - spytała patrząc na niego z wściekłością. - Me znam żadnych innych mężczyzn!

- Nawet natarczywych żołnierzy? - zapytał rozzłoszczony.

Tess zesztyniała.

- On się nigdy nie kapał... i miał zawsze mnóstwo okrucichów w wąsach.

Słyszając to Matt wybuchnął śmiechem.

- Oj, daj mi spokój! - burknęła dziewczyna i podjęła dalszą wędrówkę. - Zdaje się, że będę musiała trzymać swój niewypa-

rzony język za zębami, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś koła sufrażystek, do którego będę mogła dołączyć. - Spojrzała na niego kątem oka. - Wiesz może, gdzie się odbywają takie spotkania?

- Nigdy nie byłem na żadnym spotkaniu koła sufrażystek. Jestem zbyt zajęty robieniem na drutach, ale sądzę, że bardzo szybko coś znajdziesz.

Tess trąciła go lekko łokciem w zębra.

- Hmm... będę musiała się rozejrzeć. Czy nosisz ze sobą także tomahawk? - spytała nagle zmieniając temat.

- Tylko Indianie noszą tomahawki - odrzekł poważnie. - Ja jestem detektywem i noszę rewolwer Smith and Wesson kaliber trzydzieści dwa,

- Nigdy nie nauczyłeś mnie strzelać z rewolweru - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- I nigdy cię nie nauczę - odparł. - Pewnego dnia pokusa mogłaby się okazać silniejsza od ciebie i jeszcze byś mnie zastrzeliła. To by przysporzyło mojej agencji złej reklamy. Jesteśmy na miejscu.

Matt ujął ją pod ramię i poprowadził po schodach do wysokiego budynku z czerwonej cegły o dużych oknach i ogromnych drzwiach ozdobionych kołatką w kształcie lwiej głowy. Wprowadził ją do środka i gdy stanęli przed zamkniętymi drzwiami w korytarzu, zapukał lekko.

- Chwileczkę - dał się słyszeć melodyjny głos. - Już idę! - Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich drobniutka kobieta o blond włosach gdzieś przetykanych siwizną. Spojrzała w górę na Matta i jego towarzyszkę, po czym wykrzyknęła: - Panie Davis, czyżby wreszcie znalazł pan żonę?

Tess zarumieniła się po uszy.

Matt odkaslnął lekko.

- Pani Mulhaney, to moja kuzynka, panna Meredith. Jej ojciec zmarł niedawno i na całym świecie nie ma nikogo poza mną. Czy ten pokój na trzecim piętrze nadal jest wolny?

- Tak, oczywiście... z wielką przyjemnością wynajmę go pannie Meredith. - Uśmiechnęła się do Tess, a w jej błękitnych oczach kryło się mnóstwo nie wypowiedzianych pytań.

Tess odwzajemniła uśmiech.

- Będę bardzo wdzięczna, jeżeli pozwoli mi pani tu zostać. Chciałabym mieszkać jak najbliżej Matta - powiedziała z rozbrajającym uwielbieniem w głosie. - Czyż on nie jest cudowny?

„Cudowny” było ostatnim określeniem, jakie przychodziło pani Mulhaney do głowy na widok dziwnego pana Davisa, ale być może kuzynka wiedziała o nim więcej niż gospodyni.

- To wyjątkowo dobry człowiek - zgodziła się łagodnie. - A teraz, panno Meredith, jeżeli chodzi o codzienne sprawy... Może pani jadać posiłki z nami, pan Davis powie pani, o jakiej porze, a trzy numery dalej na naszej ulicy jest pralnia prowadzona przez Chińczyka, pana Lo.

Matt zdusił śmiech.

- Pokażę ci wszystko - obiecał.

- Zaraz wezmę klucz i zaprowadzę panią do pokoju, panno Meredith. Z okien jest bardzo ładny widok na miasto.

Kiedy odeszła mrucząc coś do siebie, Tess odwróciła się do Matta i spytała unosząc brwi:

- A cóż było tak śmiesznego w pralni, panie Davis?

- Nie pamiętasz? Biali nazywali mnie i moich braci panem Lo. - Tess zmarszczyła brwi, na co Matt sapnął ze zniecierpliwieniem. - Pan Lo...? Biedny Indianin...? Pamiętasz?

Nagle Tess wybuchnęła śmiechem.

- Wielki Boże, całkiem o tym zapomniałam! Zapomniałam, jak z tego żartowaliśmy i wymyślaliśmy dowcipy...

- Ja nie zapomniałem - mruknął. - Ty i ja żartowaliśmy, ale wszędzie indziej, gdy ktoś nazwał mnie „Panem Lo”, albo „Johnem”, pouosił za to ciężką karę. To wcale nie było takie śmieszne.

- Cóż, teraz na pewno nie jesteś już biednym Indianinem

- powiedziała Tess oglądając jego aksamitną kamizelkę, ciemnoszary garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Nawet buty miał ręcznie robione z drogiej skóry. Tess uniosła oczy i napotkała jego spojrzenie. - Moim zdaniem wyglądasz na obrzydliwie bogatego Indianina - szepnęła nachylając się ku niemu.

- Tess!

- Poprawię się - obiecała, ale nie miała czasu powiedzieć nic więcej, gdyż właśnie w tej chwili wróciła pani Mulhane z kluczem do pokoju.

2

Chicago było olbrzymie i różnorodne i Tess uwielbiała po nim spacerować, oglądać stare kościoły i forty, nowe budynki i sklepy. Ogromne niczym ocean jezioro Michigan, nad którym leżało miasto, fascynowało ją, gdyż do tej pory Tess mieszkała na równinach dalekiego Zachodu i nigdy nie widziała takiej połaci wody.

Stosunkowo łatwo dostała pracę przy pielęgnacji chorych w szpitalu powiatowym dla dzielnicy Cook; kilku lekarzy od razu dostrzegło jej umiejętności i zdolności, i nalegało, by pracowała jedynie dla nich. Ponieważ Tess nigdy nie przeszła formalnego przeszkolenia pielęgniarstwa, mogła pracować tylko jako szeregową pielęgniarkę, ale bardzo szybko została zaakceptowana i z miejsca ją polubiono.

Niestety, pozostali goście wynajmujący pokoje na tej samej stacji, uważali jej zajęcia za niegodne młodej, dobrze urodzonej damy i często jej o tym przypominali. Tess znosiła ich uwagi z uśmiechem, w duszy posyłając ich do diabła. Byli tylko zacofanymi starymi ludźmi nie rozumiejącymi nowoczesnego świata; choć z drugiej strony, trudno było mieć do nich pretensje - w końcu starzy ludzie niełatwo zmieniają poglądy.

Na szczęście Tess bardzo szybko znalazła sobie grupkę sufrażystek i chętnie zasiłała ich szeregi, pracując ciężko nad planami marszy protestacyjnych i wieców mających na celu ogłoszenie

światu, że kobiety nie chcą już dłużej tkwić w kuchni, i że chcą także głosować.

Matt piłnował jej jak mógł, choć nie było to łatwe zadanie. Często w myślach porównywał ją do rozbrykanego żrebaka, którego nikt jeszcze nie ośmielił się ujarzmić. On sam ani myślał tego próbować: zbyt podziwiał i szanował niezależnego ducha przyjaciółki z dzieciństwa.

Tess bardzo szybko zaprzyjaźniła się z Nan Colier, młodą żoną telegrafisty, która wraz z nią uczęszczała na zebrania sufrażystek. Matt nalegał, by sama nigdy nie wychodziła po zmroku z domu; była to jedyna restrykcja, jaką na nią nałożył, a ponieważ Tess uznała ją za całkiem słuszną, spełniła jego prośbę i znalazła sobie towarzyszkę wypraw. Poza tym Nan okazała się przyjemną dziewczyną i choć nie była tak dobrze wykształcona jak Tess, była jednak inteligentna i miała dobre serce.

Z biegiem czasu stało się oczywiste, że Nan ma poważne kłopoty w domu; co prawda nigdy o nich nie mówiła, ale od czasu do czasu wspominała, że nie może wracać zbyt późno do domu, bo jej mąż będzie zły, czy też, że musi dokładnie sprzątać całe mieszkanie, by jej mąż nie miał się o co na nią gniewać. Wydawało się, że nawet najdrobniejsze uchybienie w jej domowych obowiązkach mogło zaowocować srogą karą z rąk Dennisa Coliera.

Dopiero pod koniec pierwszego miesiąca ich znajomości Tess zorientowała się, na czym polega kara wymierzana Nan przez męża. Pewnego dnia młoda kobieta zjawiła się na zebraniu sufrażystek z rozciętą wargą i podbitym okiem.

- Nan, co się stało? - wykrzyknęła Tess, a jej okrzyk potworzyło kilka zgromadzonych kobiet. - Czy to mąż tak cię pobił?

- Och, nie! Skądże znowu! - odparła Nan nieco zbyt szybko. - Nic podobnego... spadłam ze schodów. - Roześmiała się nerwowo i uniosła dłoń do sińca pod okiem. - Czasem jestem taka niezdarne!

- Jesteś pewna, że to wszystko? - nalegała Tess, nie wierząc w wyjaśnienia przyjaciółki.

- Tak, tak... oczywiście. Ale to miło, że tak się o mnie martwisz, Tess - dodała ze szczerą wdzięcznością.

- Nie pozwól mu na to, by cię bił - ostrzegła ją Tess. - To nie doprowadzi do niczego dobrego... taka sytuacja może się tylko pogarszać. Żaden mąż nie ma prawa bić swojej żony... żeby nie wiem co złego mu zrobiła.

- Ja tylko spadłam ze schodów - powtórzyła Nan z uporem, ale nie patrzyła Tess w oczy. - Dennis czasem się na mnie niecierpliwi, szczególnie gdy w domu goszczą ci jego bogaci znajomi. Czasem krzyczy, że jestem powolna i głupia, ale nigdy by mnie nie uderzył.

Jednak Tess widziała zbyt wiele ofiar małżeńskiej brutalności, by uwierzyć w historyjkę Nan - praca w szpitalu dostarczała jej wielu przykładów tego, jak mąż potrafi traktować żonę.

- - - Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebować pomocy, możesz na mnie liczyć. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc - powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki.

Nan uśmiechnęła się do niej w odpowiedzi, lecz nawet ten drobny grymas sprawił jej ból i uśmiech zamienił się w smutne skrzywienie. Przycisnęła chusteczkę do rozciętej wargi.

- Dziękuję ci, Tess, ale nie ma takiej potrzeby.

- No, dobrze... - mruknęła młoda buntowniczka wzdychając cicho.

Zebranie miało bardzo burzliwy przebieg, a niektóre z wygłoszonych opinii nawet Tess wydawały się nieco zbyt radykalne, jednak w kole przeważały ciężko pracujące, uczciwe kobiety, które domagały się tylko tego, by traktować je jak równe mężczyznom zarówno w kwestii polityki, jak i zwykłego, codziennego życia.

- Kwakrowie zawsze akceptowali swoje żony jako równe mężczyznom - powiedziała ze złością jedna z kobiet. - Ale nasi mężczyźni nadal uważają, że żyjemy w średniowieczu. Większość z nich uważa nas za swoją własność. Nawet najlepsi z nich sądzą,

że nie potrafimy wygłaszać rozsądnych opinii ani podejmować samodzielnych decyzji.

- Racja! - odezwało się kilka głosów.

- Poza tym kobieta nie ma żadnej kontroli nad własnym ciałem i musi w kółko rodzić dzieci, czy jest do tego zdolna, czy nie, i czy tego chce, czy nie. Wiele naszych sióstr zmarło w położu, wiele innych ma w domu tyle dzieci, że nie są w stanie ich ani ubrać, ani nawet wykarmić, a tymczasem nasi mężnie krzyczą, że jesteśmy bezczelnymi heretyczkami, jeżeli tylko ośmielimy się wspomnieć o jakichkolwiek metodach antykoncepcji, nie mówiąc już o abstynencji!

W pokoju rozległ się zgodny pomruk wyrażający poparcie.

- Nie możemy nawet głosować! - zawołała inna kobieta.

- Mężczyźni traktują nas albo jak dzieci, albo jak idiotów! Patrzą na nas z góry i wielu z nich patrzy na nas krzywo, gdy same robimy zakupy!

- Albo jeżeli pracujemy gdzieś poza domem! - dodała trzecia.

- Nadszedł już czas, byśmy zaczęły domagać się tych samych praw, jakie im przysługują tylko dlatego, że urodzili się mężczyznami! Nie możemy dłużej akceptować podrzędnej roli w społeczeństwie, musimy działać!

- Tak, działać!

- Działać!

Wszystkie jednogłośnie postanowiły, że muszą pomaszerować do Ratusza najszybciej, jak to tylko możliwe; wkrótce ustalono datę i miejsce spotkania, oraz trasę marszu.

- Ja nie mogę iść - odezwała się Nan z ciężkim westchnieniem, po czym dodała wzdrygając się lekko: - Dennis cały dzień będzie w domu i aż boję się pomyśleć, co by mi zrobił, gdyby dowiedział się, że zamierzam wziąć udział w marszu protestacyjnym.

- Mogłabyś wyjść z domu pod byle jakim pretekstem - zasugerowała jej najbliższej siedząca starsza kobieta.

- Oj, nie... nie sędę. Jemu i tak bardzo się nie podoba to, że przychodzę tu do was raz w tygodniu. Muszę uważać. Dennis nie może się dowiedzieć, jak głęboko jestem zaangażowana w ruch. Mogę wychodzić z domu tylko wtedy, gdy jego nie ma. - Zgarbiła chudziutkie plecy, jak gdyby spoczywał na nich ogromny ciężar.

- Dennis pracuje dodatkowo w poniedziałki i czwartki... więc wraca do domu bardzo późno i nie wie, że wychodzę wieczorami na spotkania.

Cóż za potworne życie wiodła biedna Nan. Tess robiło się zimno na myśl o tym, jak mąż ją traktuje. Jacy ci mężczyźni potrafią być podli!

Kiedy tego wieczora Tess dotarła do domu, nadal wściekała się na myśl o tym, jak Dennis Colier traktuje biedną Nan. Matt właśnie wychodził z domu i spotkali się na frontowych schodach; wyglądał wspaniale w nowym, eleganckim ubraniu. Tess przypomniała sobie, jak niegdyś jego czarne włosy zwisały mu aż do pasa i zastanowiła się, czy nadal są tak długie; teraz chował je pod kołnierz koszuli, związane w warkocz, więc nie wiedziała, jakiej są długości.

- Nic tylko pracujesz i pracujesz - odezwała się z łagodną wymówką w głosie.

- Jestem maniakiem eleganckich ubrań - odparł z przekorą - więc muszę zarabiać dostatecznie dużo, by uczynić zadość moim wyrafinowanym gustom. - Przyjrzał się uważnie jej jasnej bluzce i ciemnej spódnicy, które widać było spod długiej peleryny.

- Kolejne spotkanie?

- Aha.

- A gdzież to jest ta przyjaciółka, która zawsze z tobą chodzi? - zapytał marszcząc brwi, gdy dotarło do niego, że na ulicy nie ma nikogo, oprócz nich dwojga.

- Pojechała do domu powozem, który wynajęłam - wyjaśniła

Tess. - Ja zawsze wysiadam pierwsza, a potem ona jedzie do swego domu.

Matt skinął głową.

- Proszę, bądź ostrożna - przestrzegł ją po raz nie wiadomo który. - Nie znasz tutejszych panów...

- Ale nadal potrafię strzelać z łuku - odparła, mrugając do niego porozumiewawczo. - I zdjęć skórę z jelenia... i wytropić pumę. - Nachyliła się ku niemu i dodała scenicznym szeptem:

- Potrafię też rzucać nożem myśliwskim!

- Przestań!

- Przepraszam... samo mi się wymknęło.

Matt spojrział na nią spod zmarszczonych brwi.

- Ja nie rzucam nożem... ani nawet go nie używam. Ja nim tylko straszę.

- A co to za różnica?

- Duża. Bardzo duża różnica, moja mała.

- Obiecuję, że się poprawię - obiecała z uroczym uśmiechem. Przyjrząwszy mu się uważniej, zobaczyła głębokie zmarszczki dokoła jego ust i nosa, a także ciemne smugi pod oczyma.

- Biedny Matt... wyglądasz na skonanego.

- Bo spędzam noce na śledzeniu ludzi, zamiast na spaniu. W końcu za to mi płacą. - Przyglądał się jej twarzyczce schowanej w cieniu szerokiego ronda kapelusza. - Sama nie wyglądasz najlepiej.

- Widzisz, Matt, pielęgnowanie ludzi też nie jest najłatwiejszym zajęciem pod słońcem. Cały dzień siedziałam przy pacjencie, któremu niedawno amputowano nogę. Został potrącony i przejechany przez wóz pocztowy. Jest niewiele ode mnie starszy...

- Bardzo młody, jak na tak poważne obrażenie.

- Aha. Poza tym był zawodowym graczem w baseball. - Matt skrzywił się lekko. - Ciagle mówi o popełnieniu samobójstwa... a ja rozmawiam z nim i rozmawiam, mając nadzieję, że go jakoś od tego powstrzymam.

Matt nagle uniósł dłoń i dotknął jej policzka chłodnego od zimowego wiatru.

- Ja też kiedyś czułem coś podobnego - zamruczał cichutko.
- A potem zjawiła się przy moim łóżku taka śliczna jasnowłosa dziewczynka i trzymała mnie za rękę, podczas gdy jej ojciec wyjmował kule z moich pleców. I z biegiem czasu życie znowu nabrało dla mnie powabu.

- Naprawdę dzięki mnie odzyskałeś chęć życia? - spytała.
- Naprawdę?

Matt skinął głową.

- Cała moja rodzina nie żyła... nie miałem dla kogo żyć. Na początku utrzymywała mnie nienawiść do białych ludzi i chęć pomszczenia bliskich. Poza tym ból był nie do zniesienia... a gdy wreszcie ustąpił, zrozumiałem bezsens moich planów. Nie można w pojedynkę walczyć z całym oceanem białych ludzi. Jak to się mówi, lepiej się do nich przyłączyć, niż z nimi walczyć.

- Jeżeli nie masz szans na zwycięstwo... - Sprawił jej przyjemność dotyk jego mocnych, ciepłych palców; stała nieruchomo, w obawie, że on zaraz odejmie dłoń od jej policzka. - Czy teraz jest ci aż tak źle na świecie?

Długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Pewnie gdybym był biedny, byłoby fatalnie... A tak? Zarabiam stanowczo za dobrze i pracuję za dużo, by się jeszcze nad sobą użalać. - Jego ciemne oczy zwięzły się nieco. - Tess, spróbuj się zbytnio nie angażować w ten kobiecy ruch, dobrze? Niektóre z tych pań mają wyjątkowo radykalne poglądy i...

- Obiecuję, że nie będę buszować po okolicznych barach z siekierą w dłoni - rzekła z udaną powagą. - Czy to cię satysfakcjonuje?

- Ani trochę - odparł. - Ojciec też się o ciebie niepokoił.

W jasnych oczach dziewczyny zagościł smutek.

- Tak, wiem o tym. Wiesz, czasem bardzo za nim tęsknię...

ale i tak nie mogłabym pozostać w rezerwacie. To była jego placówka, nie moja.

- Pewnie zatrudniliby cię tam jako nauczycielkę, gdybyś tylko poprosiła - zauważył spokojnie Matt.

- Pewnie tak, ale zapominasz o natarcywym poruczniku. Był dla mnie zbyt wielką pokusą. Po prostu musiałam wyjechać.

- Pokusą? - spytał unosząc brwi.

- Aha. Za każdym razem, gdy go widziałam, kusiło mnie, by naszpikować go ołowiem - sprecyzowała Tess. - Ja też byłam pod Wounded Knee, Matt. Wiem, że ten drań strzelał do bezbronych kobiet, dzieci i starców.

Matt powoli opuścił dłoń.

- Powinnaś wejść do środka... jest za zimno na czczą paplaninę.

- Nawet nie wiesz, jaką masz minę, gdy wspominam tę masakrę - powiedziała cicho. - Bardzo mi przykro... przepraszam, że o tym wspomniałam. Wiem, że choć te wspomnienia są dla mnie okropnie bolesne, ty odczuwasz to jeszcze silniej.

Matt spojrział na nią i serce się w nim ścisnęło; wydawała mu się taka śliczna, a w dodatku nie było to piękno powierzchowne: miała miękkie serce i żelazną wolę, była bardziej zdecydowana i bardziej kobieca, niż jakakolwiek ze znanych mu niewiast.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała Tess.

- Przypomniałem sobie, jak na oślepe pędzisz w wir walki - odrzekł. - I o tym, jakie masz dobre serce. - Potem spowaźniał i dodał cicho: - Nie daj go pierwszemu lepszemu draniowi, maleńka. Na tym świecie aż roi się od łajdaków.

Tess przyglądała się zmarszczkom na jego męskiej twarzy i z wahaniem wyciągnęła dłoń, by dotknąć bruzd na czole. Wzdrygnął się, a ona gwałtownie cofnęła palce.

- Przepraszam! - wykrztusiła zaskoczona.

Matt jeszcze bardziej spochmurniał.

- Nie jestem przyzwyczajony do tego, by mnie ktoś dotykał, zwłaszcza młode kobiety.

- Zauważyłam. - Tess roześmiała się nerwowo.

- Kiedy tu przyjechałem, zbudowałem wokół siebie mur - powiedział cicho. Zdawało się, że nieco się odprężył. - A teraz utknąłem za nim i nie potrafię się wydostać. Jestem bogaty i odnoszę sukcesy zawodowe, ale za całą tą fasadą nadal jestem biednym, obdartym indiańskim chłopcem. Ludzie głupszy ode mnie czasem mi to wytykają.

- Zawsze uważałam cię za swego przyjaciela, twoje pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy.

- Jestem twoim przyjacielem - odrzekł poważnie. - Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

- Wiem. - Zaciągnęła poły starej peleryny i uśmiechnęła się do niego. - Ja też zrobiłabym dla ciebie wszystko, Matt.

Kiedy odwracała się od niego, Matt nagle złapał ją za ramię i gwałtownie pociągnął ku sobie. Tess straciła równowagę i ciężko się o niego oparła. Objął ją ramieniem i gdy przytuliła się do niego, poczuła lekki zapach mydła, wody po goleniu i delikatny zapach tytoniu, gdyż pan Matt Davis od czasu do czasu palił cygara.

Jego bliskość była dla niej podniecającym zaskoczeniem; nieco zaniepokojona, zapytała:

- O co chodzi?

Matt przyglądał się jej uważnie, aż wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na ustach dziewczyny. Jej wargi były pełne i miękkie, i nie po raz pierwszy w ich długiej znajomości Matt zastanowił się, jakie byłyby w dotyku. Przyptyw pożądania zamroczył go. Poczuł, że serce bije mu szybciej.

- Matt, o co chodzi? - powtórzyła. - Przerażasz mnie.

- Ciebie nic nie przeraża - odparł. - Weszłaś w sam środek pobojuwiska, zanim jeszcze żołnierze przestali strzelać... Młoda dziewczyna, która miała całe życie przed sobą. Byłaś taka odważna... i taka dobra.

Przyciskał ją do siebie tak mocno, że zrobiło jej się słabo

z nadmiaru wrażeń. Zagryzła wargi i próbowała się opanować. Potem oparta dłoń o jego pierś i odepchnęła się lekko.

- To jest takie... niekonwencjonalne!

- A praca w szpitalu nie jest?

Szturchnęła go lekko.

- Tylko mi tu nie zaczynaj! I tak mam dość kazań ze strony tych upiornych starych pań, które mieszkają na drugim piętrze.

- Odruchowo spojrzała w ciemne okna stacji. Czyżby firanka na piętrze się poruszyła?

- Prawdopodobnie przestępują z nogi na nogę czekając na rozwój wypadków.

- Niestety, zawiodą się. Puść mnie w tej chwili! Mam dość sterczenia na mrozie i chcę wreszcie wejść do domu - rzekła Tess z pewnością siebie, której wcale nie czuła. Własna reakcja na bliskość Matta zaskoczyła ją i nieco przestraszyła. Jakoś nigdy wcześniej nie czuła nic podobnego, więc co się teraz działo?

Matt przesunął dłoń na jej wąską talię i nadal patrzył jej w oczy tymi swoimi dziwnymi, nieomal czarnymi źrenicami.

- Nie jesteś podobna do żadnej innej znanej mi kobiety - powiedział cicho po bardzo długiej chwili.

- A jak wiele znasz kobiet w Chicago, które potrafią strzelać z łuku i mówić językiem Siuksów?

Potrząsała nią lekko.

- Bądź poważna.

- Nie śmiej się. - Roześmiała się cicho. - Już zdążyłam... zaplanować swoje życie. Chcę się poświęcić ruchowi na rzecz wyzwolenia kobiet.

- Całkowicie?

- Tak. - Spróbowała wydostać się z jego uścisku.

- Czyżby już przekonały cię, że mężczyźni to nic dobrego? Albo że nadają się tylko do płodzenia dzieci?

- Matt!

- Nie miej tak oburzonej miny. Nieraz słyszałem podobne słowa z ust sufrażystek i zastanawiam się, czy i ty podzielasz ich poglądy. Czy i ty, jak mityczne Amazonki, uważasz, że mężczyźni potrzebni są tylko do jednego, a małżeństwo to pierwszy krok do niewolnictwa?

- Bo tak właśnie jest - odrzekła z gniewem. - Rozejrzyj się dokoła, Matt! Większość mężatek co roku rodzi dziecko, uważane są za rozwiązłe, jeżeli pracują poza domem, muszą naginać się do woli mężów, jak gdyby były bezwolnymi lalkami, a nie ludzkimi istotami! Nic nie jest w stanie powstrzymać mężczyzn od bicia żon i dzieci, od grania w karty czy picia od świtu do zmierzchu. Och, Matt, czy ły naprawdę nie dostrzegasz okropieństwa całej tej sytuacji? Nie potrafisz spojrzeć na to z kobiecego punktu widzenia?

- Oczywiście, że potrafię - odparł szczerze. - Ale ty mówisz o wyjątkach, haniebnych wyjątkach. Nie przeczę, że się zdarzają, ale jednak to wyjątki. W większości przypadków nie jest to aż tak tragiczne. Pamiętaj, Tess, że społeczeństwo zmienia się powoli.

- Jednak nic nie zmienia się samo.

- Zgadzam się z tobą. Ale uważam też, że żadnych zmian nie można wprowadzać drastycznymi ani gwałtownymi środkami.

- Spojrzał na nią zimno i kontynuował: - Nie wierzę w takie środki, jak odbieranie dzieci rodzicom, zabieranie ich z rezerwatów i posyłanie do państwowych szkół, gdzie nie mają prawa mówić własnym językiem, a nawet nosić długich włosów.

Tess aż palce świerbiły, by dotknąć jego włosów, lecz nie odważyła się; pozwoliła sobie na to tylko raz, gdy dawno temu uczył ją strzelać z łuku. Spojrzała w jego ciemne oczy i zobaczyła w nich smutek.

- Tęsknisz za przeszłością?

Roześmiał się krótko i wreszcie ją puścił.

- Jak mogę tęsknić za czymś tak prymitywnym? Czy wyobrażasz sobie mnie ubranego w zwierzęce skóry i mówiącego łamaną angielszczyzną?

- Nie... - Potrząsnęła głową. - Ty nosiłbyś na twarzy barwy

wojenne, wysoki pióropusz na głowie i jeździłbyś konno przez prerię z łukiem w dłoni, a na plecach miałbyś kołczan pełen strzał.

Matt odwrócił się nieco i spojrzął w głąb ulicy.

- Muszę już iść, bo inaczej się spóźnię.

- Matt, na miłość boską, chyba nie wstydzisz się swojego dziedzictwa?

- Dobranoc, Tess. I pamiętaj, nie wychodź sama... to niebezpieczne.

I odszedł, ani razu nie oglądając się za siebie. Tess stała na schodach przez długą chwilę i patrzyła za nim drżąc z zimna. Wstydził się tego, że jest Siuksem; aż do tej chwili zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Może to wyjaśniało fakt, dlaczego tak rzadko jeździł do Południowej Dakoty, dlaczego nigdy nie mówił o swoich kuzynach, którzy tam mieszkali, i dlaczego zawsze ubierał się jak bardzo bogaty biały człowiek. Choć z drugiej strony, nie obciął włosów, więc może zachował nieco dumy ze swego pochodzenia, nawet jeżeli dobrze to skrywał? Tess potrząsnęła głową. Tak wielu jego braci nie miało szans na prowadzenie takiego życia, jakie on wiódł; tak wielu klepało biedę w rezerwach... może więc nic dziwnego, że Matt woli podsycać plotki o swoim dziwnym pochodzeniu, zamiast wrócić do Dakoty i stawić czoło prawdzie.

Przypomniała sobie, jak żołnierze i inni biali zwracali się do niego, gdy dawno temu mieszkał wraz z nią i jej ojcem; serce bolało ją na *mysi o* rym, jak bardzo musiała cierpieć jego duma. *W tamtych czasach* ludzie byli wyjątkowo uprzedzeni. Nazywali to „nacionalizmem”. Tess aż zazgrzytała zębami z wściekłości, przypominając sobie niektórych nadętych jegomościów, mówiących o tym, że „obcy” są w tym kraju niepożądani. Jak oni śmieli nazywać rdzennych obywateli Ameryki „obcymi”! Na Zachodzie nadal prowadzono debaty, czy nie lepiej, zamiast zamykać Indian w rezerwach, odebrać im cały dobytek i zmusić do zamieszkania w miastach białych ludzi; w ten sposób białe społeczeństwo wchłonęłoby czerwonoskórych i jednocześnie zupełnie zniszczyły ich odrębną kulturę.

Czy ci ludzie naprawdę nie słyszą, jakie bzdury wygadują, w duchu piekiłała się Tess. Zawsze uważała, że próby zasymilowania Indian podejmowane przez rząd nie przyczyniły się do niczego dobrego, natomiast wzmogły alkoholizm, samobójstwa i śmiertelność noworodków w rezerwatach.

Wreszcie otworzyła drzwi i weszła do domu; w jej głowie nadal kłębiły się myśli o upokarzającej sytuacji Indian i kobiet, z których ani jedni, ani drudzy nie mieli prawa głosu i byli traktowani jak obywatele podrzędnej kategorii.

Dwie starsze panie mieszkające na piętrze spojrzały na nią zimno, gdy usiłowała przejść nie zauważona obok salonu, w którym siedziały.

- Przyzwoite młode panienki nie powinny wystawać na ulicy w towarzystwie mężczyzn - odezwała się panna Dean lodowatym tonem. - Nie powinny też chodzić na spotkania radykałów ani pracować w szpitalach.

- Ktoś musi pielęgnować chorych - odrzekła Tess. - I ośmielę się zauważyć, że pójdzie ze mną na jedno z naszych spotkań obu paniom mogłoby wyjść na dobre. Posłuchałybyście, co wasze siostry mają do powiedzenia na temat praw obywatelskich i tego, że społeczeństwo nie traktuje nas jako równe mężczyznom.

Panna Barkley pobladła.

- Panno Meredith! - wykrztusiła przeciskając dłoń do gardła. - Nie uważam się za równą mężczyznom! I nie chcę, by mnie tak traktowano!

- Mężczyźni to podłe, wstrętne śwynie! - parsknęła panna Dean. - Wszystkich powinno się zastrzelić!

Tess wyszczerzyła do niej zęby w szerokim uśmiechu.

- I widzi pani, panno Dean? Pani i ja mamy bardzo wiele wspólnego! Po prostu musi pani pójść kiedyś ze mną na jedno ze spotkań.

- Do tych radykałów? - zapytała panna Dean tonem świętego oburzenia.

- Jakich tam radykałów - odparła Tess. - Większość z *nas* to uczciwe, ciężko pracujące dziewczyny, które chcą wreszcie żyć w tym kraju jako pełnoprawni obywatele. Jesteśmy kobietami nowoczesnymi i nie zgodzimy się na nic innego.

Panna Barkley poczerwieniała.

- A niech mnie kule biją!

Ale panna Dean uniosła dłoń i powstrzymała wybuch swej przyjaciółki.

- Zaczekaj, Klaro - powiedziała. - Panna Meredith powiedziała parę interesujących rzeczy. Czy na te spotkania może przyjść każdy, kto chce?

- Oczywiście. Jeżeli pani chce, możemy pójść razem w przyszły wtorek. Zobacz pani na własne oczy, jak się sprawy mają.

- Ida, żebyś mi się nie ważyła! - syknęła panna Barkley.

- Gdybym miała o dwadzieścia lat mniej, poszłabym - odpowiedziała z uśmiechem panna Dean. - Ale jestem już za stara, by zmieniać poglądy, panno Meredith.

- Tess - poprawiła ją dziewczyna, na co w oczach starszej pani pojawił się przyjazny uśmiech.

- Dobrze, niech będzie Tess. Mam nadzieję, że osiągnie pani swój cel. Moje pokolenie pewnie już tego nie doczeka, ale mam nadzieję, że pani pokolenie otrzyma prawo do głosowania.

Tess wróciła do swego pokoju zadowolona, że udało się jej odwrócić uwagę starszych pań od Matta; nie byłoby dobrze, gdyby pozostali mieszkańcy stacji pani Mulhaney zaczęli snuć na ich temat jakieś domysły. Sama też nie chciała zbyt długo zastanawiać się nad tym, co zaszło między nimi na schodach przed domem. Odsunęła od siebie myśli o dziwnym zachowaniu Matta i przygotowała się do snu.

Za oknami szalała wichura; śnieg z furją walił o szyby. Tess przymknęła oczy mając nadzieję, że do rana cały świat pokryje gruba warstwa śniegu. Zawsze lubiła śnieżne dni.

3

Sobotni marsz był wyjątkowo widowiskowy: rozpoczął się już po zmroku, a przybyło na niego blisko czterysta kobiet niosących pochodnie dla oświetlenia drogi, i różnej treści transparenty. Tess maszerowała między dwiema kobietami, które znała z wcześniejszych spotkań kola sufrażystek, lecz bardzo brakowało jej towarzystwa Nan.

- Czyż to nie jest podniecające? - zapytała w pewnej chwili jedna z kobiet. - Jest tu nas tak wiele, że na pewno uda się nam wywalczyć prawo do głosowania. Rząd musi ustąpić, skoro aż tyle kobiet się tego domaga!

Tess przytaknęła, lecz bez zbytniego entuzjazmu. W ciągu swego krótkiego życia zdążyła już nauczyć się jednej ponurej prawdy, że rząd potrafi być wyjątkowo uparty, jeżeli ktoś wymaga od niego gwałtownych zmian światopoglądu. Bez względu na to, czy mieli rację, czy nie, ludzie w Waszyngtonie z całej mocy starali się ochronić swój *status quo*. Może i prezydent Roosevelt był rozsądnym człowiekiem i miał mniej konserwatywne poglądy niż większość jego doradców, lecz czy przypadkiem nie podzielał ich poglądów, że kobiety zostały stworzone tylko po to, by dbać o dom, rodzić dzieci i troszczyć się o potrzeby mężczyzn?

Demonstracja przyciągnęła tłumy gapiów i Tess rozglądała się

ciekawie dokoła. Mężczyzna powiewający ogromną flagą, na której było napisane czerwonymi literami: „PRECZ Z WYZYSKIEM” wyszedł na ulicę i wraz z kilkudziesięcioma towarzyszami dołączył do maszerujących kobiet.

- To nie wasza grupa! - wrzasnęła jedna z kobiet.

- Ale ta wałka to także walka robotników! - odrzyknął ów mężczyzna i dalej szedł ulicą. - Walczymy w tej samej sprawie! Dość już wyzysku... nieważne czy robotników, czy kobiet!

- No i widzicie? - burknęła jedna z maszerujących kobiet.

- Nie możemy nawet w spokoju pomaszerować, by mężczyźni nie chcieli się wtrącić i nam przewodzić! No cóż, już ja mu pokażę, kto tu rządzi!

Drobna, statecznie wyglądająca pani w średnim wieku oddała drzewce swojego transparentu najbliższej sąsiadce i wyciągnąwszy spod płaszcza drewnianą pałkę, rąbnęła nią przywódcę robotników prosto w łysinę.

Mężczyzna krzyknął i upuścił flagę, a w tej samej chwili jego towarzysze rzucili się na maszerujące kobiety. Tess stała nieruchomo, dopóki nie usłyszała policyjnych gwizdków. Westchnęła ciężko. Od samego początku policja szukała sposobności, by przerwać ich manifestację, a ci dumni komuniści dali im po temu wspaniałą okazję. Niewielka demonstracja przerodziła się w bijatykę.

Kiedy Tess ostrożnie wycofywała się ze środka zamieszania, zauważyła nowo przybyłego mężczyznę, który zdawał się nie należeć do żadnej z grup: był młody, wysoki, doskonale ubrany i niósł w ręku elegancką laskę. Zdawało się, że patrzy wprost na nią. Nie zdążyła nawet zastanowić się nad jego dziwnym zachowaniem, gdy ktoś na nią wpadł. Upadła prosto pod nogi walczącym i omal nie została zdeptana na śmierć.

Na szczęście nie straciła przytomności i nawet w dzikim harmiderze usłyszała jakiś dziwny metaliczny dźwięk. Poturłała się po bruku, by uniknąć stratowania przez walczących. W tej

samej chwili poczuła mocarne uderzenie; ramię jej zdrętwiało. Pomimo mroku zobaczyła, że rękawy jej kurtki i bluzki zostały rozdarte.

Kiedy ponownie uniosła głowę, po obu jej bokach stało dwóch policjantów; jeden z nich, starszy, miło wyglądający mężczyzna, pomógł jej wydostać się z tłumu i podprowadził ją na schodki najbliższego domu. Odszedł mrucząc coś pod nosem na temat ludzi, którzy nie potrafią żyć w spokoju. Dwaj mali chłopcy bawili się przed domem i teraz stali na krawężniku przyglądając się jej ciekawie.

Tess miała ochotę zdjąć bluzkę i obejrzeć potłuczone ramię, gdyż czuła nie tylko ból, ale i dziwną lepkość pod materiałem; niestety, zdjęcie bluzki na ulicy w samym środku miasta wywołałoby zapewne kolejne zamieszki. Zastanawiała się, jak w tym zamieszaniu odnajdzie powóz i woźnicę, którego Matt kazał jej nająć do jeżdżenia do szpitala i na spotkania klubu sufrażystek. Woźnica, Mike Kennedy, był wspaniałym chłopakiem, miłym i uczynnym, i teraz zgodził się na nią poczekać kilka przecznic od miejsca demonstracji. Niestety, teraz na ulicach panowało takie zamieszanie, że zdeorientowana Tess nie bardzo wiedziała, w którym kierunku zdążyć, by odszukać Mike'a.

Na szczęście to on ją znalazł. Zaniepokojony tym, co działo się na obrzeżach demonstracji, Mike przywiązał konie do latarni i ruszył w tłum. Ostatnie piętnaście minut spędził na gorliwym poszukiwaniu Tess i wreszcie osiągnął swój cel. Na jej widok wyraźnie kamień spadł mu z serca.

- Została panienka ranna w całym tym zamieszaniu? - A kiedy Tess skinęła głową, dodał: - Ale się tu narobiło! Mam panienkę zabrać z powrotem na stację?

- O, tak! Dziękuję ci, Mike!

- Nie ma o czym mówić. Niech panienka oprze się na mnie, a raz dwa zawiozę panienkę do domu. Jakem Mike Kennedy!.

W mgnieniu oka wyprowadził ją z tłumu, zaprowadził do

powozu i pomógł wsiąść do środka. Potem odwiązał konie od latarni i wskoczył na kozioł.

Mimo iż konie Mike'a były rącze i przybyli do domu pani Mulhaney bardzo szybko, Tess czuła się coraz gorzej.

- Mam panienkę odprowadzić do drzwi? - spytał uczynnie Mike.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie. - Uśmiechnęła się do niego i powoli weszła na schodki.

Pani Mulhaney spotkała ją w drzwiach. Na widok rozczochranej i brudnej Tess, w wymiętym ubraniu i przekrzywionym kapeluszu, wykrzyknęła:

- Panno Meredith! Co się stało?!

- Mężczyźni z komunistycznej partii przedostali się w nasze szeregi i sprowokowali kilka kobiet... zrobiło się zamieszanie.

- Tess z jękiem oparła się o ścianę holu; było jej niedobrze. Patrząc na wysokie schody zastanawiała się, jak zdoła się na nie wdrapać i dojść do swego pokoju.

- Czy mój kuzyn jest dziś w domu? - zapytała nagle.

- Ależ oczywiście. Nie widziałam, by gdzieś wychodził. Zaczekaj tu, moja droga; zaraz go zawołam!

Pani Mulhaney pospiesznie wbiegła po schodach i bardzo szybko wróciła z Mattem depczącym jej po piętach. Schodząc po schodach zakładał marynarkę i przyglądał się Tess z dziwną miną, nad którą wołała się nie zastanawiać.

- Jesteś ranna? Gdzie? - zapytał pospiesznie.

- W ramię - odparła oddychając z trudem. - Ktoś mnie przewrócił i uderzył. Zdaje mi się, że mam rozcięte ramię... tak jak bluzkę.

- Czy może pani posłać po doktora Barrowsa? - zwrócił się Matt do pani Mulhaney.

- Ależ oczywiście. Zaraz to zrobię. A pan niech odprowadzi pannę Meredith do jej pokoju, dobrze?

- Oczywiście.

Matt bez słowa wziął Tess w ramiona i zaniósł po schodach na górę z taką łatwością, jak gdyby nie ważyła więcej niż piórko.

- Kto to zrobił? - spytał cicho.

- Były zamieszki... - odparła. - Nie mam pojęcia, kto to zrobił. Wielu walczyło i nie wiem, kto mnie zranił. Ale ramię boli mnie tak strasznie!

- Które ramię?

- Lewe. Zaraz nad łokciem. Naprawdę nie widziałam, jak to się stało. Upadłam, a potem przetoczyłam się, bo jakiś olbrzym omal na mnie nie nadepnął. Pamiętam, że chwilę wcześniej pewien mężczyzna z laską w dłoni przyglądał mi się bardzo natarczywie... a potem coś rąbnęło mnie w ramię. Może to on... laską? Żałuję, że nie ugryzłam go w kostkę!

Oczywiście wyobraźni Matt zobaczył Tess wgrzyzającą się w kostkę napastnika i roześmiał się cicho.

- Dasz radę sięgnąć ręką i otworzyć drzwi?

Tess przekreśliła kryształową gałkę i lekko pchnęła drzwi; ustąpiły bez trudu i Matt wniósł ją do środka. Cały czas prześladował ją zapach jego wody kolońskiej i ciepło oddechu, jakie czuła na twarzy. Matt zaniósł ją do łóżka i położył na nim z wyjątkową delikatnością. Wiedząc, że pani Mulhaney może lada chwila wrócić, zamknął drzwi, po czym wrócił do dziewczyny i bardzo spokojnie zaczął ją rozbierać. Tess dyszała ciężko, lecz wcale nie z bólu.

- Matt... Matt... nie rób tego! - Gorączkowo usiłowała powstrzymać jego mocne dłonie rozpinające guziki jej bluzki.

Matt spojrzał jej w oczy z wyraźnym rozbawieniem.

- Tess, czyżbyś była pruderyjna? Ty widziałaś o wiele więcej mojego nagiego ciała, gdy mnie pielęgnowałaś, kiedy zostałem postrzelony pod Wounded Knee.

- Miałam wtedy czternaście lat! - odparła wiedząc doskonale, że ta odpowiedź nie ma sensu. - Nie możesz... mnie tak traktować!

- I gdzież się podziały wszystkie twoje slogany na temat

wyzwolenia kobiet? - Znowu spojrział na guziki jej bluzki. - Czy twoje nieco bardziej radykalne siostry nie wnoszą przypadkiem okrzyków popierających wolną miłość?

- Ja... ja nie mam aż tak radykalnych poglądów! Błagam, przestań mnie rozbiierać!

Ale Matt nie posłuchał.

- Miejmy nadzieję, że doktor niedługo się zjawi - powiedział ostrożnie rozpinając resztę guzików. - Czuję zapach krwi.

Tess spoglądała na niego zaskoczona i dopiero po chwili przypomniała sobie, że Matt od dzieciństwa miał niezwykle wyczulone zmysły... jeżeli kiedykolwiek był dzieckiem. Chłopcy Siuksów byli przyzwyczajani do trudów dorosłego życia już od małości: uczono ich sztuki walki wręcz, jazdy konnej, strzelania z łuku i posługiwania się nożem myśliwskim... poznawali smak walki towarzysząc mężczyznom w wyprawach wojennych, jako służący od wszystkiego.

- Matt... - zaprotestowała, odpychając jego dłonie obiema rękami, ale on zupełnie się tym nie przejął.

- Nie sądziłem się, że jesteś aż tak pruderyjna - zamruczał pod nosem. - Przecież wiemy o sobie więcej niż większość współmałżonków wie o swoich mężach czy żonach.

To była prawda. Intymność była podstawowym składnikiem ich związku, gdyż przez długie miesiące Tess pielęgnowała go właściwie sama... Nawet jej ojciec na początku się sprzeciwiał, by młoda dziewczyna zajmowała się mężczyzną, lecz nie potrafił jej tego zabronić, gdy błagała go ze łzami w oczach, by jej na to pozwolił.

- Ale teraz jest... inaczej - usiłowała wyjaśnić Tess.

Matt znieruchomiał. Popatrzył jej w oczy i dostrzegł w nich zawstydenie.

- Zrobiłbym to samo dla każdego innego rannego człowieka - powiedział łagodnie, a ona zagryzła wargi. Przez chwilę przytrzymał jej dłonie i dodał łagodnie: - Nikt nigdy się o tym nie dowie. Czy to cię uspokaja?

Dziwne, że aż tak mu ufała; na samą myśl o tym, że jakiś obcy mężczyzna miałby jej dotykać, robiło jej się niedobrze, ale jakimś dziwnym trafem podobał się jej dotyk silnych, a jednocześnie delikatnych rąk Matta.

Problem polegał na tym, że czując dotyk jego palców na swojej skórze, Tess czerwieniła się i bladła na przemian, a serce waliło jej jak oszalałe. Na szczęście on udawał, że tego nie widzi; odpiął ostatni guzik jej bluzki i pod spodem ukazał się fiszbinowy gorset i cieniutka, batystowa koszulka. Przez cienki materiał widać było ciemne plamki jej sutków i Matt zamarł na chwilę w bezruchu. W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- Nie gap się tak na mnie! - szepnęła.
- Dlaczego nie? - spytał unosząc wzrok.

Sama się nad tym zastanawiała... I podczas gdy ona usiłowała wymyślić jakiś rozsądny powód, dla którego Matt nie mógłby się jej przyglądać, on wrócił oczyma do jej piersi, jak gdyby chciał je na zawsze zapamiętać.

- Oj... to bardzo... niekonwencjonalne - szepnęła niepewnie.
- Aha... i wyjątkowo przyjemne - odparł równie cicho. Jego dłoń zsunęła się z guzików i przesunęła na nagie ciało tuż przy granicy gorsetu i koszulki. Tess podskoczyła, jak gdyby jego dotyk ją sparzył.
- Ty bezwstydniku! - sapnęła chwytając go za nadgarstek.
- No, dobrze już, dobrze. - Roześmiał się cicho i pozwolił jej odsunąć swoje palce na bezpieczną odległość. - Jeżeli kiedykolwiek miałem jakieś wątpliwości co do twoich nowoczesnych poglądów, teraz nie mam żadnych.

- A cóż to znaczy? - zapytała z oburzeniem.
- Że cała ta twoja gadanina o wolnej miłości i nowoczesnej moralności nie jest warta funta kłaków - odparł spokojnie.
- Jesteś zwykłą oszustką, moja droga.

Spojrzała na niego gniewnie, lecz nie ośmieliła się zaprzeczyć. Matt uniósł ją delikatnie i ostrożnie wyciągnął jej ramię z rękawa bluzki. Bolało okropnie.

Nieświadomie szeptał do niej w języku Siuksów, by leżała spokojnie i wytrzymała jeszcze trochę. Kiedy została tylko w koszulce bez rękawów, Matt delikatnie obrócił jej ramię, żeby lepiej zobaczyć ranę; była długa, o równych brzegach, z pewnością nie wyglądała na zadaną laską, raczej szpadą. Szpada ukryta w lasce? Ktokolwiek się nią posłużył, na pewno chciał zrobić jej krzywdę; może nawet większą niż wyrządził?

- Rana jest głęboka - mruknął Matt gniewnie. Po białej skórze jej ramienia ciekła wąska strużka krwi. Z komody stojącej w kącie pokoju wziął czysty ręcznik i przycisnął mocno do rany, by powstrzymać krwawienie. Tess skrzywiła się.

- Jakże chciałabym wiedzieć, kto to zrobił! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Ja też. Położył jej dłoń na ręczniku i kazał ścisnąć, po czym wyszedł z pokoju, by przynieść miednicę z wodą, mydło i świeże ręczniki. Przemysł jej ranę i z niepokojem patrzył, jak coraz mocniej zagryza poblądłe wargi; potem odstawił miednicę, wziął butelkę alkoholu i kłębuszek bawełny.

- Uważaj, będzie bolało - powiedział cicho.

Przytrzymał jej ramię, by na pewno nie wyszarpnęła go powodowana bólem; Tess spojrzała na niego i skinęła głową. Zapiekł solidnie i z jej zaciśniętych ust wyrwał się okrzyk bólu, kiedy Matt polał ranę alkoholem.

- Przepraszam - powiedziała natychmiast. - Nie powinnam była tak krzyczeć. Wstyd mi.

- Wiem, jak bardzo to boli, więc naprawdę nie musisz przepraszać.

Potem przyłożył jej do ramienia czysty ręcznik, podszedł do szafy i wyjął z niej biały, koronkowy szlafroczek. Łagodnie otulił ją nim, lecz Tess gwałtownie zaprotestowała.

- Nie, Matt! To jedyny, jaki mam! Zaplami się krwią i będzie do wyrzucenia!

- Szlafroczyki mają to do siebie, że zawsze można kupić nowe - odparł obojętnie. Nałóż go.

Posłuchała, oszołomiona bólem, i nieco zaskoczona jego stanowczością. Matt zacisnął poły koronkowego szlafroczyka, a jego palce delikatnie otarły się o ciepłą skórę jej dekoltu. Tess wciągnęła z sykiem powietrze... a Matt zawahał się i spojrzał jej pytająco w oczy. Pod palcami czuł szaleńcze bicie serca dziewczyny, a na jej skroni widział gwałtownie pulsującą żyłkę. Usta Tess rozchyliły się i w mgnieniu oka zobaczył na jej twarzy wszystkie uczucia, które w niej szalały. Szkarłatny rumieniec zalał jej policzki, białą szyję i jedwabistą skórę dekoltu.

Coś dziwnego się z nią działo. Czowała, jak w jej wnętrzu budzi się ogień i rozlewa po całym ciele; piersi jej nabrzmiały, a sutki stężały, zupełnie jakby zrobiło się jej zimno. Matt nie tylko nie odsunął rąk, lecz przycisnął je mocniej do jej skóry, delikatnie gładząc miękkie ciało.

Ich spojrzenia spotkały się, a serce Tess zabiło jeszcze szybciej, gdy zobaczyła ogień płonący w oczach mężczyzny. Przez bardzo długą chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, patrzyli sobie w oczy: zielone źrenice Tess naprzeciw czarnych, nieruchomych oczu Matta.

W chwili, gdy jego dłonie zsunęły się niżej, w chwili, gdy cieniutka koszulka zaczęła ustępować pod ledwie zauważalnym naporem, na korytarzu rozbrzmiały kroki. Czar prysnął.

Matt wstał raz jeszcze i odwrócił się od niej. Tess pospiesznie usiłowała zapiąć guziki jedną ręką, podczas gdy drugą przyciskała do ramienia prowizoryczny opatrunek.

Po chwili rozległo się szybkie pukanie do drzwi; zaraz potem wszedł doktor i spojrzał na dziewczynę. Potem jego wzrok powędrował do Matta.

- Pan jest Mattem Davisem? A to pańska kuzynka? spytał z uśmiechem, po czym zamknął za sobą drzwi. - Co się stało?

Tess opowiedziała mu wszystko drżącym głosem.

- Potem przyniosłem tu miednicę z wodą, mydło i świeże ręczniki, dodał Matt. - Przyniosłem też alkohol dla odkażenia rany... ale sędzę, że to nie wystarczy. Może trzeba będzie założyć kilka szwów?

- Zaraz zobaczymy. Niech pan zaczeka na korytarzu, młody człowieku - powiedział lekarz, zakładając, zgodnie z życzeniem Matta, że Tess sama przebrała się w szlafroczek i sama przemyła ranę.

- Oczywiście - odrzekł Matt, skłonił się oficjalnie i wyszedł na korytarz nawet nie spojrzawszy na Tess.

Doktor odsunął szeroki rękaw szlafrocza i delikatnymi palcami zbadał ramię dziewczyny.

- Co panią zraniło?

- Zdaje się, że łaska - odparła, krzywiąc się z bólu.

- Nie, łaskawa pani. Raczej szpada, którą ktoś ukrył w lasce i w chwili zadawania ciosu, wysunął - poprawił ją lekarz. Bardzo brzydka, głęboka rana. Zrobię, co w mojej mocy, ale będzie pani bardzo chora przez kilka dni, młoda damo. Będzie pani musiała bardzo uważać i zawiadomić mnie przy pierwszych objawach zakażenia... jeżeli zobaczy pani jakieś czerwone pręgi na ramieniu... albo zauważy, że brzegi rany nabierają zielonkawego odcienia...

- Jestem pielęgniarką, doktorze - odrzekła Tess. - Mój ojciec był lekarzem.

- Naprawdę?

- Pracuję w szpitalu powiatowym... w okręgu Cook.

- W rzeczy samej, wygląda pani znajomo. Jaki ten świat jest mały! I całe szczęście, że wiedziała pani, jak zająć się raną do przybycia lekarza... Jak rozumiem, nie muszę pani pouczać, jak należy postępować z raną. - Zachichotał pod nosem i raz jeszcze przetarłszy ranę alkoholem, zaczął zakładać szwy. Aby powstrzymać się od płaczu, Tess recytowała alfabet przez zaciśnięte zęby.

- Niestety wziąłem ze sobą bardzo mało jedwabiu powiedział lekarz. - Założyłem tylko trzy szwy, lecz powinny wystarczyć. - Zakończywszy ostatni szew, zręcznie zabandażował ranę. Potem wstał i przypomniał: - Gdy tylko zauważy pani jakieś niepokojące objawy, proszę natychmiast po mnie posłać. I proszę nie wracać do pracy, dopóki rana na dobre się nie zagoi.

- Dobrze. Obiecuję - odparła z westchnieniem, zastanawiając się, jak w takim razie ma zarobić na chleb i na czynsz. Na szczęście miała jeszcze nieco pieniędzy pozostawionych jej przez ojca, lecz wolała z nich nie korzystać. - Przyśle mi pan rachunek?

- Moja żona się tym zajmie - odrzekł uprzejmie. - Zaraz dam pani coś na sen.

Na nocnym stoliku zostawił jej buteleczkę laudanum wraz z przepisem, jak go używać, skinął uprzejmie głową, uśmiechnął się lekko, zatrzasnął swą torbę i wyszedł z pokoju.

Parę minut później wrócił Matt, dziwnie spokojny i ponury.

- Doktor powiedział, że zostawił ci coś na uspokojenie.

- Taak..., to. - Wskazała na maleńką zakorkowaną buteleczkę.

- Zaraz przyniosę łyżkę.

- A mógłbyś rozpuścić to w wodzie?

- No, dobrze...

Na komodzie stała karafka z wodą, więc nalał nieco do szklaneczki, zmieszał ze środkiem uspokajającym i patrzył, jak Tess pije gorzki napój.

- Jeżeli dostaniesz gorączki, a na pewno dostaniesz, lepiej będzie, by ktoś z tobą tu siedział. Wolałbym sam to zrobić, lecz chyba wiesz, że to niemożliwe, Tess. Pani Mulhaney i tak już kręci nosem na to, że pracujesz w szpitalu i bierzesz udział w zebraniach sufrażystek. Lepiej jej nie drażnić.

Tess było bardzo niedobrze; ramię okropnie ją bolało i patrzyła na Matta ledwie słysząc to, co mówi.

- Fatalnie się czuję.

- Nic dziwnego. - Odsunął jej z czoła kosmyk włosów.

- Poszukam kogoś, kto by się zgodził tu z tobą posiedzieć. Zaraz wracam.

Wzięła go za rękę i przytrzymała przy swoim policzku.

- Dziękuję ci... - szepnęła.

Tess nie mogła nic wyczytać z jego twarzy, lecz jego palce pieściły jej policzek z ogromną czułością, zanim wreszcie cofnął dłoń.

- Postaraj się zasnąć. Laudanum zaraz powinno zadziałać.

- Dobrze...

Wyszedł po cichu na korytarz z twarzą ściągniętą gniewem i zamknął za sobą drzwi. To, że ktoś celowo skrzywdził Tess, nie miało najmniejszego sensu, a jednak nie było innego logicznego wytłumaczenia tego, co się stało. Matt miał koszmarnie przeczucie, że zranienie Tess nie było prawdziwym celem napastnika. Wspomniała, że odturlała się spod nóg walczących, by uniknąć stratowania; czyżby drań mierzył nie w ramię, lecz w inną część jej ciała? Czyżby próbował ją zabić?

Matt powiedział sobie, że ponosi go wyobraźnia. Tess mieszkała w Chicago zaledwie od miesiąca. Niby dlaczego ktoś miałby pragnąć jej śmierci? Nie... napastnikiem na pewno był jakiś szaleniec... mąż lub syn, który nienawidził wszystkich kobiet i znajdował ujście dla swego gniewu atakując maszerujące sufrażystki. Ale dlaczego napadł akurat na Tess?

Zanim Matt skontaktował się ze starszą kobietą, która zajmowała się pielęgowaniem chorych, i namówił ją do zaopiekowania się Tess, pacjentka spała już jak suseł, wsunawszy się pod koce w ubraniu i bucikach. Matt przyjrzał się jej dokładnie, sprawdził, czy wszystko jest w porządku i zostawił ją pod opieką pani Hayes, do której miał całkowite zaufanie. Poza tym było już bardzo późno... a Tess trzeba było przebrać w nocną koszulę. Bardzo nie chciał jej zostawić, ale wiedział doskonale, że w tej

chwili na nic się jej nie przyda. Poza tym nie chciał narażać jej na plotki.

Kiedy wracał do swego pokoju, na jego drodze stanęła zatroskana pani Mulhaney.

- Panie Davis, moi lokatorzy bardzo niepokoją się tym zajściem - powiedziała pospiesznie. - Proszę, niech pan nie sądzi, że nie współczuję pańskiej kuzynce... ale te sufrażystki same sprowadzają na siebie nieszczęście. Kto to słyszał o marszach i pochodach... i żeby palić pochodnie! A do tego pracują w szpitalach i mieszkają całkiem same! To doprawdy skandaliczne!

Matt przygryzł wargi i powstrzymał się od udzielenia pani Mulhaney jadowitej odpowiedzi; w końcu to nie wina gospodyni, lecz jej zaawansowanego wieku i wychowania. Tacy jak ona z wielkim trudem wkroczą w dwudziesty wiek.

- Jest moją kuzynką - odrzekł sucho. - Nie mogę się jej wyrzec.

Nie uśmiechał się... czasem potrafił wyglądać wyjątkowo ponuro i to właśnie była jedna z tych chwil.

- Wcale tego nie oczekuję! - wykrzyknęła pani Mulhaney czerwieniąc się gwałtownie. Wykonała nieokreślony ruch dłonią. - Jestem pewna, że w przyszłości pana kuzynka będzie nieco dyskretniejsza... to znaczy, mam nadzieję, że szybko wydobrzeje. Jeżeli mogę w czymś pomóc...

- Już zatrudniłem pewną panią, by z nią siedziała i się nią zajmowała.

Pani Mulhaney pomyślała, że przez Matta Davisa czuje się jak ostatnia jędra. Te jego czarne oczy wywoływały w niej dreszcze! Często zastanawiała się nad jego pochodzeniem; po mieście krążyło mnóstwo plotek, lecz żadna nie wydawała się prawdziwa. Nie miał żadnego obcego akcentu, więc wątpiła, czy naprawdę jest Europejczykiem. Choć z drugiej strony, być może od dzieciństwa uczył się angielskiego i bardzo szybko pozbył się akcentu...

Wszak widziała kiedyś Afrykanina, który mówił po angielsku z idealnym brytyjskim akcentem!

- Jeżeli mogę w czymś pomóc... - powtórzyła bezsensownie, a on tylko skinął głową i wszedł do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Pani Mulhaney przyglądała im się przez krótką chwilę, po czym udała się na dół, usiłując zapomnieć o tajemniczym panu Davisie i jego niekonwencjonalnej kuzynce.

W niedzielę Matt siedział przy Tess wraz z panią Hayes przez większą część dnia, nie bacząc na to, co mogą sobie pomyśleć inni lokatorzy czy pani Mulhaney. Tess czuła się o wiele gorzej, zgodnie z przewidywaniami doktora miała wysoką gorączkę i niezdrowe rumieńce na policzkach.

Pani Hayes prawie cały czas zmieniała jej zimne okłady na czole.

- Kiedyś, podczas jakiejś demonstracji mój mąż został postrzelony - zwierzyła się Mattowi w pewnej chwili. - Potem też miał gorączkę, majaczył, rzucał się na łóżku, przewracał, wiercił i wygadywał różne brednie. Biedne dziecko... Cały czas mamrocze coś o ptakach... chyba o krukach.

Matt nie miał ochoty mówić jej, że swego czasu był znany jako Tańczący Kruk... nie chciał też wspominać wierzeń swoich przodków dotyczących dużych czarnych ptaków.

- Podejrzewam, że biedactwo majaczy - mruknął z cicha przyglądając się wybladłej twarzyczce Tess.

- Zachowywała się tak przez całą noc i rano - rzekła pani Hayes, kładąc na czoło dziewczyny kolejny okład. - Niech się pan nie martwi, panie Davis, panuję nad gorączką. Biednemu dziecku nic nie będzie...

Matt nie odpowiedział, tylko delikatnie dotknął zarumienionego policzka Tess; jej zielone oczy otworzyły się, lecz zdawało się, że nikogo nie poznaje.

- Ramię... mnie boli. Gdzie jest papa?

Matt zawahał się przez chwilę.

- Nie ma go tu - odparł wreszcie. - Ale o nic się nie martw. Nic ci nie będzie... Spij.

- Nie mogę... spać. Przylatują ptaki... dziobią mnie! - Spojrzała na niego z paniką w oczach i zaszepotała gorączkowo: - Kule rwą ciało niczym szpony... ludzie leżą w śniegu... Martwi... w śniegu.

Wounded Knee. Gorączka przywołała wspomnienia masakry.

- Zupełnie się jej w głowie pomieszało z tej gorączki. - Pani Hayes pokiwała głową. - Biedactwo... Nic tylko ptaki, kule i śnieg. - Gdzie jest jej ojciec? - spytała, gdy Tess znowu zapadła w niespokojny sen.

- Umarł - odrzekł prosto z mostu Matt. - Zaledwie kilka miesięcy temu. Przyjechała do Chicago, bo jestem jedyną rodziną, jaką ma na tym świecie. - Wypowiadając te słowa, poczuł wewnętrzne ciepło. To była prawda. Był jedyną rodziną, jaką Tess miała na świecie, a i ona była jego jedyną rodziną. Nie byli co prawda spokrewnieni, lecz łączące ich więzy były silniejsze od więzów krwi.

- Cóż, dobrze, że macie przynajmniej siebie nawzajem - powiedziała pani Hayes, po czym przyjrzała się Tess i zmarszczyła brwi. - Dziwne, taka ładna dziewczyna i jeszcze nie wyszła za mąż?

- Ano jakoś nie.

- I nie ma nawet narzeczonego? - Pani Hayes spojrzała na niego ciekawie.

- Nie - odrzekł. Na myśl o Tess w ramionach innego mężczyzny zrobiło mu się niedobrze. Często zastanawiał się, co • zrobi, jeżeli Tess kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Dzięki Bogu, jak na razie im to nie groziło. - Nigdy nie wspominała mi, by w jej życiu był jakiś szczególny mężczyzna.

- Myśli pan, że by o tym opowiedziała? Chód z drugiej strony, skoro macie tylko siebie...

Matt zmienił temat rozmowy pytając, co pani Hayes sądzi o prezydencie Rooseveltcie. Rozmawiali ponad godzinę o polityce i na szczęście rozmowa już więcej nie zesłała na temat życia miłosnego Tess.

Następnego ranka, po zaledwie kilku godzinach snu, Matt ogolił się i poszedł do pracy. Na chwilę wstąpił do pokoju Tess, lecz nadal spała i wyglądało na to, że gorączka nie ustąpiła.

- Muszę iść do biura - rzekł niechętnie. - Proszę się nią opiekować. Co prawda ma duszę wojownika, lecz nie zaszkodzi nieco się nią zająć i przypomnieć, że nie jest niezniszczalna.

- Oczywiście. - Pani Hayes zmarszczyła brwi. - Rana znowu krwawi - powiedziała cicho.

Matt poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka.

- Po drodze do biura zajrzę do doktora Barrowsa - powiedział z ponurym westchnieniem. - Pewnie rzuciła się przez sen i pozrywała szwy.

- Tam są tylko trzy szwy - rzekła krótko pani Hayes. - Dziś rano zmieniałam opatrunek i zobaczyłam... Pewnie dlatego krwawi.

- Co takiego? - Matt zacisnął usta, - Dobry Boże, toż ta rana ma ze cztery cale długości! Potrzeba znacznie więcej niż trzech szwów! Będę musiał z nim porozmawiać.

Skinąwszy uprzejmie głową pani Hayes, spojrział raz jeszcze na Tess i wyszedł; na korytarzu dwóch dżentelmenów bez słowa ustąpiło mu z drogi, widząc jego groźną minę.

Doktor Barrows właśnie wychodził do miasta. Matt Davis spotkał go na schodkach gabinetu, który lekarz prowadził przy swojej miejskiej rezydencji.

- Tess bardzo źle się czuje. Majaczy, a w nocy porozrywała

szwy i rana znowu krwawi - powiedział Matt bez wstępnych uprzejmości. - Poza tym pani Hayes powiedziała, że założył pan tylko trzy szwy. Dlaczego?

Doktor Barrows spojrzał na młodzieńca z niepokojem.

- No, cóż... hmm... Wiem, że trzy szwy to mało, ale nie miałem ze sobą dostatecznej ilości jedwabnych nici, by założyć więcej szwów. Było już tak późno i chciało mi się spać... Ale dziś mam ze sobą całe mnóstwo jedwabiu i zaraz się zajmę pańską kuzynką. Czy ma gorączkę?

- Tak, bardzo wysoką. - Oczy Matta zwięzły się w dwie groźne szparki. - Jeżeli jej stan nie poprawi się w ciągu najbliższych paru dni, potraktuję to jako osobistą zniewagę - dodał i nieznacznym gestem ramienia odsunął połą marynarki, tak by doktor mógł zobaczyć długi nóż o rzeźbionej rękojeści wiszący mu u pasa w skórzaney pochwie.

Barrows był przyzwyczajony do pogroźek i nigdy nie brał ich poważnie, ale ten mężczyzna był zupełnie inny od reszty ludzi, z którymi doktor miał do czynienia. Lekarz nie widział też takiego noża od czasu, gdy jako młodzieniec wędrował po Stanach i na Terytorium Montany spotkał młodego Indianina, który nosił podobnie rzeźbiony nóż myśliwski. Tamten chłopak chwalił się, że ostrze ma dwadzieścia pięć centymetrów długości i jest tak ostre, że bez trudu można nim oskalpować człowieka. Dłoń doktora odruchowo zacieśniła chwyt na ręczce czarnej lekarskiej torby.

- Ależ ma się rozumieć, panie Davis - odparł przez ściśnięte gardło. - Ale ręczę, że pańskiej kuzynce nic nie grozi. Zaraz do niej pójde i ponownie opatrę ranę.

- Cieszę się - rzekł Matt. Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu, lecz oczy pozostały zimne i groźne, tak że doktor Barrows wzdrygnął się mimowolnie.

Lekarz popatrzył za Mattem, gdy ten odchodził w swoją stronę i nagle przyszło mu do głowy, że młodzieniec bardzo dziwnie

chodzi; szedł zbyt płynnie i miękko jak na mieszczucha. Podobnie jak większość mieszkańców Chicago, doktor Barrows zastanowił się, skąd pochodzi tajemniczy pan Matt Davis. Ale przecież nie mógł go o to zapytać.

Wyciągnął z kieszonki kamizelki duży złoty zegarek i otworzył go sprawnym, wyćwiczonym ruchem. Był już spóźniony na pierwszą poranną wizytę, lecz mimo to najpierw uda się do panny Meredith. W tej chwili najważniejsze jest to, by porządnie zeszyć jej ramię!

4

Przez długi czas Matt siedział za swoim ogromnym dębowym biurkiem na obrotowym krześle i wyglądał przez okno; potem odwrócił się do młodszego od siebie jasnowłosego mężczyzny.

- Stanley, chcę kogoś odnaleźć - powiedział krótko. - Dobrze ubranego mężczyznę z laską, który w sobotę wieczorem był na wiecu sufrażystek... Podejrzewam, że jest jednym z członków partii pracy, którzy usiłowali przyłączyć się do pochodu.

- Oczywiście - odparł Stanley ochoczo. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, był wysoki i kościsty, i reagował z entuzjazmem na każde zadanie, które zlecił mu Matt. Był najmłodszym z sześciu detektywów zatrudnionych w agencji pana Davisa. - Czy wiemy o tym dżentelmenie coś więcej?

- Nic - rzekł Matt ponuro. - Paskudnie zranił moją kuzynkę i chcę znać jego nazwisko.

Stanley otworzył szeroko oczy; pracował dla Matta od dwóch lat i od pozostałych agentów dowiedział się już dawno, że szef nigdy nie mówi o swojej rodzinie, toteż ostatnie zdanie Davisa nad wyraz go zaskoczyło.

- Jak poważnie została ranna pańska kuzynka?
- Została pchnięta w ramię szpadą ukrytą w lasce - wyjaśnił

Matt krótko. - Coś mi jednak mówi, że ten jegomość chciał jej zrobić o wiele poważniejszą krzywdę. Muszę wiedzieć, kto to taki.

- Oczywiście - powtórzył Stanley. - Zrobię, co w mojej mocy, proszę pana. Mam nadzieję, że pańska kuzynka szybko wróci do zdrowia.

- Ja też.. - mruknął Matt pod nosem. Potem podniósł wzrok na młodzieńca. - No idź już, idź!

- Tak jest! Bardzo panu dziękuję, za sposobność...

- Idź już, Stanley!

- Tak jest, panie Davis! Ale chciałem, żeby pan wiedział, jak bardzo...

- Idź już!

Stanley pospiesznie wyszedł z pokoju zamykając za sobą drzwi. Matt Davis znany był z tego, że jeżeli był w złym humorze, rzucał w swych współpracowników czym popadło. Najczęściej były to miękkie, niegroźne przedmioty, ale lepiej zachować ostrożność.

Przez cały dzień Matt rozsyłał swoich agentów w różne strony miasta, pilnował interesów i zajmował się papierkowa robotą; w wolnych chwilach rozmyślał. Większość spraw, jakie prowadzili jego podwładni, miała charakter czysto kryminalny; tylko jeden mężczyzna prosił o śledzenie pewnej młodej kobiety - najprawdopodobniej jego żony - którą podejrzewał o niewierność. Agencja Detektywistyczna Pinkertona, dla której Matt pracował, przez dwa lata nie przyjmowała żadnych zleceń dotyczących publicznej czy prywatnej moralności, jednak zakładając własne biuro, Matt musiał chwytać się każdej możliwej pracy. Do tej pory dziwiło go to, jak szybko powiększała się jego klientela i jak szybko zrobił majątek na działalności detektywistycznej. Teraz stać go było na przebieranie w zleceniach, więc przyjmował sprawy powodując się indywidualną oceną klienta i zadania, o które chodziło.

Niedawno pewna bogata wdowa prosiła go o sprawdzenie

najnowsze go adoratora swej córki, podejrzewając go o to, że jest łowcą posagów i nie żywi żadnych prawdziwych uczuć wobec jej jedyne dziecko. Dziewczyna była bardzo młoda i naiwna, a mężczyzna faktycznie miał dość niepewną przeszłość, Matt przyjął więc sprawę, gdyż zrobiło mu się żal i matki, i córki.

W chwili obecnej jego detektywi prowadzili kilka spraw jednocześnie, lecz żadna z nich nie była wyjątkowo frapująca. Matt odchylił się na fotelu i wrócił myślami do czasów, gdy wraz z innymi detektywami z Agencji Pinkertona ścigał kasiarzy, złodziei obrabiających sejfy bankowe na terenie całych Stanów Zjednoczonych, warujących za dnia i pracujących w nocy, rozbijających bankowe kasy i sejfy za pomocą nitrogliceryny. Jeden gang kasiarzy do tej pory nie został schwytany, a jego członkowie uchodzili za idoli wszystkich drobnych złodziejasków; niemal każdy z agentów Pinkertona miał na swoim koncie przygodę z takim czy innym kasiarzem i na terenie całego kraju krążyły opowieści o ich wspólnych zmaganiach. Jedną z bardziej ironicznych dotyczyła przygody pewnego biednego stróża prawa, którego banda kasiarzy zmusiła pod groźbą śmierci do pojechania wraz z nimi na akcję wysadzania sejfu w jakimś urzędzie pocztowym daleko na Zachodzie. Po skończonej robocie związali go jak cielaka, zapakowali w parciany worek do przewożenia gotówki, podstemplowali jako przesyłkę pocztową i odesłali pociągiem do Agencji Pinkertona, nie robiąc mu przy tym żadnej innej krzywdy.

Obecnie Matt bardzo rzadko zajmował się sprawami napadów na banki; zdawało się, że coraz więcej czasu spędza w swoim biurze na drugim piętrze dyktując listy, zawierając umowy i zajmując się konieczną papierkową robotą. Zatrudniani przez niego detektywi wykonywali większość roboty na mieście i Matt tęsknił za podnieceniem, jakie nieodmiennie towarzyszyło mu podczas śledzenia podejrzanych lub zbierania dowodów. Pomyślał, że chyba się starzeje, skoro pozwala sobie na takie zasiedzenie.

Odłożył na bok dokumenty i wrócił myślami do ataku na Tess.

Nadal niepokoiło go to, jak źle dziewczyna wyglądała, gdy tego ranka wychodził do pracy, i nadal martwił się tym, że doktor Barrows potraktował swój obowiązek z takim, lekceważeniem. Nieodpowiednio leczona rana mogła wywołać nie tylko wysoką gorączkę, ale też gangrenę... a od tego można nawet umrzeć. Matt bardzo się martwił stanem Tess i był na siebie wściekły, że w sobotę nie sprawdził roboty lekarza. Jeżeli do jutra Tess nie poczuje się lepiej, znajdzie dla niej innego doktora.

Tylko dlaczego ktoś ją zaatakował? Zastanawiał się nad tym już bardzo długo, lecz jakoś nadal nie potrafił wymyślić sensownego rozwiązania tej zagadki, ale potrafił wyprowadzić logiczne wnioski z tego, co już wiedział. Napastnik musiał znać Tess przynajmniej z widzenia, a to już ograniczało krąg podejrzanych. Mógł to być ktoś pracujący w szpitalu, lecz wydawało się to bardzo mało prawdopodobne; mógł to też być ktoś związany zjedną ze znajomych sufrażystek Tess.

Kiedy zastanowił się dłużej nad tą ostatnią możliwością, zrozumiał, że jest całkiem logiczna. Tess opowiadała mu o młodej przyjaciółce, która uczęszczała na zebrania sufrażystek wraz z nią, a której mężowi bardzo się to nie podobało.

Gwałtownie wstał z fotela. Taak... Ten trop trzeba sprawdzić jak najszybciej. Pospieszenie podszedł do drzwi na korytarz i otworzył je właśnie w chwili, gdy Stanley zakładał kapelusz przygotowując się do wyjścia na miasto.

- Stanley!
- Słucham pana?
- Zaczekaj chwileczkę, Zanim zaczniesz poszukiwania człowieka, który zaatakował moją kuzynkę, chcę wstąpić' na stację i porozmawiać z nią. Kto wie? Może dowiem się czegoś ciekawego?
- Oczywiście.

Kilkanaście minut później Matt zastukał do drzwi pokoju Tess i zaczękał, aż pani Hayes go wpuści. Starsza pani roześmiała się radośnie na jego widok.

- Musiał pan nieźle popędzić kota temu łapiduchowi, panie Davis - mruknęła z podziwem. - Był tu z samego rana i traktował pannę Tess jak jakąś księżniczkę. I co? Lepiej już wygląda, prawda?

W rzeczy samej, Tess wyglądała znacznie lepiej. Nadal miała podniesioną temperaturę, lecz była przytomna i na widok gościa uśmiechnęła się spękanyimi od gorączki wargami.

- Witaj, Matt! Doktor powiedział, że moje ramię wygląda już całkiem dobrze. Tym razem założył mi aż dziesięć szwów!

- Naprawdę? - spytał Matt uśmiechając się blado. - Czy czujesz się wystarczająco dobrze, by odpowiedzieć mi na kilka pytań?

Dziewczyna skinęła głową. Jej długie blond włosy były rozpuszczone i opadły jej na plecy w ciężkich puklach. Matt przyglądał się jej z podziwem przez dłuższą chwilę, po czym przysunął się bliżej do łóżka i spojrzał uważnie na przyjaciółkę.

- Kim jest ta młoda kobieta, która chodzi wraz z tobą na zebrania?

- Masz na myśli Nan?

- Tak.

- Ma na nazwisko Colier - odparła Tess z wyraźnym wysiłkiem. - Jej mąż, Dennis, jest telegrafistą w jakimś urzędzie pocztowym. Dlaczego pytasz?

Sama o tym nie wiedząc, Tess odpowiedziała nie tylko na to jedno pytanie, ale i na kilka następnych, jakie chciał jej zadać.

- Tak sobie pomyślałem, że skoro to twoja najlepsza przyjaciółka, pewnie chciałabyś, żeby cię tu odwiedziła - powiedział, przeklinając się w duchu, że musi kłamać.

- Jakie to miłe z twojej strony, Matt! Ale obawiam się, że jej mężowi może się to nie spodobać. On i tak nie lubi, gdy Nan przychodzi na zebrania. Pozwala jej na to tylko raz w tygodniu. Jeżeli chce przychodzić częściej, musi potajemnie wymykać się z domu. Jestem pewna, że byłaby dzika awantura, gdyby Nan tu do mnie przyszła.

I znowu całe mnóstwo informacji, o które Matt nawet nie musiał pytać. Potem zmarszczył brwi widząc jej skrzywioną minę.

- Bardzo cię boli?

- Nie... tylko zaschło mi w ustach - odrzekła. - Pani Hayes, czy mogłaby mi pani podać szklankę wody?

- Oczywiście, moja droga. Bardzo proszę.

Matt wziął od niej szklankę i z uśmiechem podniósł głowę Tess. Zanurzył dłonie w jedwabistą gęstwinę jej włosów i przytrzymując naczynie przy jej ustach obserwował, jak pije. Jej włosy były takie miękkie... a rzęsy takie długie i gęste!

- Wystarczy? - zapytał.

- Tak, dziękuję. - Uśmiechnęła się. Potem zobaczyła jego wzrok i uśmiech zamarł jej na wargach. Bliskość Matta wywoływała w niej dziwną nieśmiałość. Czuła dotyk jego dłoni... jego oddech na policzku...

Pomógł jej z powrotem opaść na poduszki; jego oczy były jak dwa czarne diamenty. Zawahał się przez moment, zapominając o szklance, którą trzymał w dłoni, i zapatrzył się w jej zdziwione, zielone oczy.

- Niech pan uważa na szklankę, panie Davis - wtrąciła cicho pani Hayes szukając dokoła siebie drutów i włóczki. - Sama dziś już jedną wylałam i musiałam suszyć pościel.

Matt poderwał się gwałtownie i z brzękiem odstawił naczynie na nocny stolik.

- Wyglądasz o wiele lepiej - powiedział ochryple. Przed oczyma nadal miał pulsującą żyłkę na szyi Tess.

- Przecież panu mówiłam. - W oczach pani Hayes zamigotały jakieś ogniki. Potem starsza pani usiadła w bujanym fotelu stojącym obok łóżka i zajęła się robieniem na drutach. - Pani Mulhaney szykuje dziś na kolację rosół z pierożkami... a Tess powiedziała, że chętnie dziś coś zje.

- Byle nie za dużo - odparł Matt z powątpiewaniem. - Nadal nie wyglądasz najlepiej.

Tess uśmiechnęła się do niego łagodnie; najwyraźniej gorączka wypaliła w niej całą dawną buntowniczość.

- Dziękuję, że przyszedłeś tu do mnie - powiedziała cichutko.

- Czy... jak wydobrzeję, będę mogła pożyczyć twój nóż myśliwski?

Nieoczekiwane pytanie zupełnie wytrąciło go z równowagi.

- Po co ci mój nóż?

- Chętnie porozmawiam sobie z tym mężczyzną, który mnie zranił - wyszeptwała Tess. - Ty go przytrzymasz... a ja z nim porozmawiam... za pomocą twojego noża.

- Tess, zdumiewasz mnie! - odparł z uśmiechem, na co ona roześmiała się cicho i przymknęła oczy.

- Miał drań szczęście... że leżałam na ziemi zupełnie bezbronna. Nadal pamiętam, jak się przewraca przeciwnika, wiesz, Matt? Pamiętasz, jak mnie tego uczyłeś? Nic a nic nie zapomniałam - wymamrotała w języku Siuksów.

- No proszę, znowu mamrocze coś bez sensu - powiedziała pani Hayes z ciężkim westchnieniem, nie orientując się zupełnie, że Tess wcale nie mówi po angielsku.

Dziewczyna przypomniała Mattowi, jak to bardzo dawno temu, w tajemnicy przed jej ojcem, który gorąco sprzeciwiałby się jakimkolwiek fizycznemu kontaktowi między nimi, nauczyła swą młodą przyjaciółkę podstaw samoobrony.

- Ależ ja nigdy nie mówię nic bez sensu - zaprotestowała Tess sennym głosem. - Prawda, kuzynie?

- Nigdy, chyba że właśnie odniosłaś poważne rany, jak w tym przypadku - odparł sucho Matt. Wyciągnął zegarek, sprawdził, która jest godzina, po czym znowu schował go do kieszonki na piersi. - Muszę wracać do pracy... bo właśnie kończy się moja przerwa na lunch. - Z jakiegoś powodu, którego sam nie rozumiał, wolał nie mówić obu paniom o prawdziwym celu swej wizyty.

- Uważaj na siebie, Tess... zajrzę do ciebie wieczorem.

Uśmiechnął się do pani Hayes, z powrotem włożył kapelusz i wyszedł z pokoiku.

- To dobry człowiek - odezwała się starsza pani, gdy Matt zamknął już za sobą drzwi. - Dobrze mieć przy sobie kogoś takiego na wypadek jakiegoś nieszczęścia.

- Taak. ~ Tess nadal czuła na sobie ciepło jego spojrzenia... Matt był niczym wulkan; do czasu eksplozji na powierzchni widać było bardzo mało ognia. Często zastanawiała się, jakie to ukryte i mroczne pasje kryły się za tą spokojną twarzą i czarnymi oczyma.

Pani Hayes spoglądała na swą pacjentkę i z niepokojem odłożyła druty i włóczkę.

- Oj, znowu jesteś cała zarumieniona... czyżby gorączka wróciła? Zaraz zmoczę ręcznik, to powinno przynieść ci ulgę. Moje biedne dziecko...

- Naprawdę czuję się już o wiele lepiej - odparła pospiesznie Tess. - Jeżeli do jutra gorączka mi przejdzie, chciałabym trochę wstać, żeby całkiem nie opaść z sił. - Uśmiechnęła się smutno. - W końcu muszę zarabiać na swoje utrzymanie.

Pani Hayes przyłożyła jej do czoła zimny ręcznik.

- Czy mogę ci zadać jedno pytanie, moja droga?

- Ależ oczywiście.

- Dlaczego do tej pory nie wyszłaś za mąż? Chyba miałaś niejedną okazję.

- Prawdę mówiąc, tylko jeden mężczyzna poprosił o moją rękę. Niestety, nie tylko go nie szanowałam, ale nawet go nie lubiłam - powiedziała przypominając sobie nadętego kawalerzystę z Montany. - Wolę do śmierci być starą panną niż żoną takiego śmiecia.

- Jesteś mądrą dziewczyną. Ja wyszłam za mąż z miłości... i miałam wiele szczęścia. Mój mąż i ja jesteśmy ze sobą szczęśliwi, mamy troje udanych dzieci, choć urodziłam dziesięcioro. - Starsza pani z powrotem usiadła w fotelu i zabrała się do robienia na drutach. - Zdarzały się nam ciężkie czasy, lecz zawsze mogliśmy na sobie polegać. - Uśmiechnęła się do Tess.

- Podejrzewam, że ty i pan Davis...?

- Matt jest moim kuzynem - odparła dziewczyna i przymknęła oczy. Wolała nie przypominać sobie poglądów Matta na małżeństwo i na mieszanie się ras.

Z drugiej strony, nie potrafiła zapomnieć o jego ciemnych oczach i tym gorącym spojrzeniu... Wiedziała, że mu się podoba, ale przecież to wcale nie oznaczało miłości. Sam pociąg fizyczny to jeszcze mało. Wiedziała doskonale, że nie wystarczy jej nic oprócz miłości tak silnej, jaką sama czuła.

Tess przymknęła oczy; równie dobrze może spróbować się zdrzemnąć. Nie ma sensu rozpaczać nad czymś, co jeszcze się nawet nie wydarzyło.

Zmusiła się do spokojnego i równomiernego oddechu, a parę minut później już spała.

Matt zwiedził pięć urzędów pocztowych, zanim znalazł telegrafistę o nazwisku Colier. Napisał telegram do jednego ze swoich współpracowników, który właśnie przebywał w innym mieście. Matt pisał w nim, że jego kuzynka, panna Tess Meredith, została zraniona przez nieznanego napastnika, w związku z czym będzie nieobecny w biurze przez co najmniej dwa dni i w razie konieczności uzyskania pomocy należy się zwracać do starszego agenta Rileya Blaire'a. Potem podpisał się i podał telegram urzędnikowi w okienku, obserwując, jaką minę ma Colier, czytając tę wiadomość. Telegrafista zachował spokój, lecz w jego prawym policzku zadrżał mięsień i nagle zadrżały mu ręce. Może nie było to wiele i normalny człowiek przeoczyłby te sygnały, lecz Mattowi one wystarczyły. Mężczyzna rozpoznał nazwisko Tess i teraz już wiedział, że jest „kuzynką” detektywa.

Matt obrzucił pokój pobieżnym spojrzeniem. Najpierw zauważył elegancką laskę w stojaku na parasole, potem szykowny płaszcz wiszący na wieszaku. Dałby sobie głowę uciąć, że w drewnianej lasce ukryta jest szpada; z trudem zdusił w sobie

chęć rzucenia się do gardła człowiekowi, który zranił Tess. Jeszcze nie teraz... jeszcze nie... najpierw trzeba zgromadzić dowody przeciwko niemu, potem go aresztować i przypilnować, by sprawiedliwości stało się zadość. Przede wszystkim, trzeba się dowiedzieć, dlaczego Colier zaatakował Tess. Dlaczego?

Telegrafista właśnie skończył liczyć, ile będzie kosztował telegram, i podał tę sumę. Matt wyjął z kieszeni banknot i podał urzędnikowi. Colier sięgnął do kasy, lecz wydając resztę pomylił się - widomy znak zdenerwowania - i musiał jeszcze raz policzyć. Potem uśmiechnął się do Matta niepewnie.

- Zaraz to wyślę, panie Davis - powiedział przymilnie.

- Dziękuję. - Wkładając resztę do kieszeni, Matt specjalnie odsunął połą marynarki nieco dalej, tak by Colier dokładnie mógł obejrzeć ogromny nóż wiszący u pasa. Oczy telegrafisty zrobiły się okrągłe niczym spodki. Matt uniósł brodę i spytał go ironicznie: - Czyżby nigdy nie widział pan noża myśliwskiego? W mojej robocie jest o wiele wygodniejszy niż rewolwer... I nie robi tyle hałasu.

Telegrafista przyglądał się broni jak urzeczony.

- Czy kiedykolwiek musiał go pan użyć?

- Taak, nieraz. - Na wąskich ustach Matta pojawił się zimny uśmiech.

Colier odwrócił wzrok.

- Miło mi było panu pomóc, proszę pana - wymamrotał pod nosem.

- Nie ma o czym mówić, w tym mieście jest mnóstwo urzędów pocztowych, lecz ja lubię załatwiać interesy z przyjaciółmi.

Telegrafista zamarł.

- Przyjaciółmi? - powtórzył.

- No, nie chodzi mi przecież o to że my się przyjaźnimy... ale zdaje się, że moja kuzynka Tess i pańska zona Nan od jakiegoś czasu bardzo się zaprzyjaźniły.

Colier zawahał się, wyraźnie poblądł.

- Taak, Nan zna pańską kuzynkę. Chodzą razem na te przekłete wiece sufrażystek. Niedawno dowiedziałem się, że kiedy ja wieczorami pracuję, moja żona potajemnie wymyka się z domu na te zebrania... i zabroniłem jej tego na dobre. - Nagle rozkręcił się i zaczął mówić bardzo szybko: - W sobotę wieczorem były jakieś zamieszki na ulicach, a te kobiety znalazły się w samym środku bijatyki. W cały mieście było o tym głośno. Dziękuję Bogu, że Nan była wtedy wraz ze mną w domu i że nic się jej nie stało.

To przydługie przemówienie najwyraźniej miało przekonać Matta, że Colier ma alibi na czas wypadku Tess, ale detektyw ani przez chwilę nie wierzył telegrafście. Niestety, nadal nie miał żadnych dowodów przeciwko Colierowi.

- W rzeczy samej, ma pan wiele szczęścia - powiedział spokojnie. Potem zmarszczył brwi, zacisnął usta i dodał: - Ale ten łajdak, który zranił Tess, dostanie za swoje... Już ja go odnajdę. A kiedy dostanę go w swoje ręce, żywcem obedrę go ze skóry.

Colier przełknął z trudem.

- Ależ to jest niezgodne z prawem!

- To, co ten łajdak zrobił Tess, też jest sprzeczne z prawem. Tylko tchórz atakuje bezbronną kobietę.

Najwyraźniej wstrząśnięty Colier popatrzył na Matta i rzekł pospiesznie:

- Mam nadzieję, że pańska kuzynka szybko wróci do zdrowia. Niech jej pan przekaże najlepsze życzenia w moim imieniu... no i w imieniu Nan, rzecz jasna. Co prawda nie znam pańskiej kuzynki, ale życzę jej jak najlepiej.

Matt nic nie odpowiedział, tylko nieruchomym wzrokiem przyglądał się telegrafście.

- Powiem Tess, że Nan nie będzie już więcej przychodzić na zebrania... Pewnie bardzo ją to zmartwi.

Colier poruszył się niespokojnie, lecz minę nadal miał ponurą.

- Niektóre kobiety używają tych spotkań jako wymówki do

skoków na boki - burknął pod nosem. - Przeklęte baby... Zawsze coś knują!

Matt nie chciał się wdawać w dyskusje na ten temat; dziękował Bogu za to, że jego instynkt nadal działa i że podpowiedział mu, iż to Dennis Colier mógł zaatakować Tess. Teraz był już tego pewien, więc tylko ironicznie uchylił kapelusza.

- Do widzenia, panie Colier.
- Do widzenia.

Wyszedłszy z poczty, Matt zatrzymał się na ulicy i obejrzał na Dennisa Coliera - telegrafista, zamiast wysyłać jego telegram, siedział przy biurku z głową ukrytą w dłoniach i wyglądał, jakby właśnie cały świat zwałił mu się na głowę.

I dobrze mu tak, pomyślał Matt z wściekłością. Przekłety tchórz, który ma czelność udawać, że nic nie wie o ataku na Tess! Dziwne było tylko jego ostatnie zdanie; powiedział coś o tym, że kobiety posługują się tymi swoimi spotkaniami, by zdradzać mężów... Czyżby młoda pani Colier wykorzystywała Tess? Może naprawdę przyprawiała mężowi rogi, a Colier sądził, że Tess jej w tym pomaga? W rzeczy samej Matt pamiętał, że Tess mówiła mu kiedyś, iż Nan przychodzi na spotkania sufrażystek tylko raz w tygodniu, a telegrafista mówił coś o dwóch czy trzech razach...

A to stawiało całą sprawę w zupełnie innym świetle. Matt postanowił, że dla dobra wszystkich zainteresowanych powinien przyjrzeć się z bliska małżeństwu Colierow... Tess na razie jest bezpieczna: urzędnik nie ośmielił się po raz drugi zaatakować, wiedząc, że jej kuzynem jest groźny detektyw. Ale co z panią Nan Colier? Jeżeli jej mąż, podejrzewając ją o niewierność, posunął się aż do ataku na niewinną dziewczynę, w miejscu publicznym, to co robi w zaciszu domowego ogniska? Czyżby znęcał się fizycznie nad Nan? I czy Tess wie coś o tym? Postanowił zapytać ją o to jeszcze tego wieczora.

Tess siedziała na łóżku w swym koronkowym szlafrocuku, który pani Hayes najwyraźniej wyprała z krwi. Włosy miała szczesane z twarzy i związane na karku żółtą wstążką. Wyglądała bardzo bezbrinnie i blado.

Kiedy zobaczyła, kto wchodzi do jej pokoju, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Wcześniej dziś wróciłeś - powiedziała.

- Zrobiłem sobie wolny wieczór - odparł z uśmiechem, po czym zdjął kapelusz i ściągnął płaszcz. - Odniosę to do mego pokoju i zaraz tu wrócę.

Kiedy przyszedł parę minut później, zmarszczył brwi, widząc, że pani Hayes gdzieś wyszła.

- Poszła do domu, by zrobić mężowi kolację. On jest szyprem na bączku - wyjaśniła Tess. - To takie maleńkie łódki, które pilotują ogromne frachtowce wchodzące do portu. Wraz z dwoma synami prowadzi własny interes. Nie są bogaci, lecz wystarcza im na życie.

- I kto tu jest detektywem? - spytał z uśmiechem.

- Mogłabym się nauczyć i pomagać ci w pracy.

i - Nie wątpię ani przez chwilę. Jak się czujesz?

v ~ Jestem obolała i wściekła - odparła uczciwie. - Wiesz już, kto mnie zaatakował?

- Owszem, wpadłem już na pewien trop - odparł wymijająco i przyciągnął do łóżka stojące nieopodal krzesło. Dla zachowania wymogów przyzwoitości zostawił drzwi na korytarz szeroko otwarte i usiadł na krześle krzyżując długie nogi. - Tess, czy pani Colier kiedykolwiek wspominała ci o tym, że spotyka się z jakimś mężczyzną... za plecami męża?

Tess spojrzała na niego z niepokojem.

- Dlaczego zadajesz mi takie dziwne pytania?

- Proszę... po prostu odpowiedz na nie. To bardzo ważne.

Dziewczyna westchnęła i opadła na poduszki.

- Nie wiem, czy Nan się z kimś spotyka - wyznała po

dłuższej chwili. - Raz czy dwa wpadła na zebranie tuż przed końcem. Kilka razy nie wracała ze mną wynajętym powozem... Założyłam, że przysłała z jakąś inną kobietą i że wyszła z nią. - Nagle podniosła wzrok i spojrzała Mattowi w oczy. - Jeżeli Nan oszukuje męża, rozumiem ją; to drań i brutal. Jestem pewna, że ją bije, choć nie mam na to żadnych dowodów. Poza tym nic mi nie wiadomo, by Nan zdradzała tego łajdaka.

Na korytarzu rozległy się czyjeś kroki i za chwilę w drzwiach pojawiła się pani Mulhaney. Zajrzała do pokoju i uśmiechnęła się nerwowo.

- Och, widzę, że przyszedł pan w odwiedziny do kuzynki - powiedziała patrząc z aprobatą na szeroko otwarte drzwi. - Czy mogę pani coś przynieść, panno Meredith?

- Nie, dziękuję pani bardzo, pani Mulhaney. Pani Hayes ma wrócić lada moment i przynieść mi nieco zupy ostrygowej. Nigdy nie jadłam niczego takiego i powiedziałam, że bardzo chętnie spróbuję...

- Zapomniałam, że tak długo mieszkała pani na Zachodzie - odrzekła pani Mulhaney. - Czym zajmował się pani ojciec, moja droga?

- Był lekarzem.

- Doprawdy? - Pani Mulhaney znowu się uśmiechnęła.

Matt przyglądał się jej nieruchomym spojrzeniem, więc poruszyła się niespokojnie, raz jeszcze uśmiechnęła i przeprosiwszy poszła do swoich zajęć.

Tess zdusiła śmiech.

- Jesteś okrutny - wyszeptała. - To spojrzenie zmroziło ją do szpiku kości!

Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To dlatego, że trenuję przed lustrem dwa razy dziennie - odparł wstając. - Coś mi się zdaje, że nasza dobra gospodyni starała się nam powiedzieć, iż nie powinniśmy przebywać sam na sam.

W oczach Tess zabłyśły ironiczne iskierki.

- Przecież jesteś moim kuzynem, nieprawdaż? Niby dlaczego nie powinniśmy przebywać sam na sam? Wytłumacz mi to, proszę.

Matt przysunął się do niej, oparł długie ramię na wezgielciu łóżka i nachylił się tak, że jego ciemna twarz znajdowała się zaledwie tuż obok jej twarzy.

- Bo Bóg jeden wie, co mężczyzna może zrobić z bezbronną niewiastą, jeżeli zostaną razem w pokoju i nikt nie będzie go kontrolować! - szepnął scenicznym szeptem, na co Tess roześmiała się cicho.

- Jakie to podniecające!

Matt delikatnie dotknął palcem koniuszka jej nosa.

- Ty teraz nie potrzebujesz podniecenia, moja mała. Zamknij oczy i zdrzemnij się, dopóki nie wróci pani Hayes. Ja muszę jeszcze nieco popracować.

- Dziękuję - odparła Tess, momentalnie poważniejąc. - Musiałeś bardzo poważnie porozmawiać z tym lekarzem, gdyż dziś rano wyjątkowo przyłożył się do roboty.

- Dlaczego w sobotę nie powiedziałaś mi, że założył ci tylko trzy szwy?

- Wiesz, że co chwilę traciłam przytomność... Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak fatalnie się czułam. Ani kiedy miałam tak wysoką gorączkę.

Matt zacisnął usta i spojrzał na nią ponuro.

- Obiecuję, że już nigdy nikt cię nie skrzywdzi - rzekł krótko.

Dziewczyna spojrzała na niego ciepło.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry, Matt. Ale czy nie czujesz się dziwnie zajmując się mną, gdy przez tyle lat byłeś sam?

- Taak... ale to całkiem miłe uczucie.

Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała nadużywać twojej dobroci. Zazwyczaj doskonale radzę sobie sama.

Tess była bardzo blada, a pod oczyma miała sine kręgi. Matt

z doświadczenia wiedział, że cięte rany sprawiają mnóstwo bólu i serce mu się kroilo na myśl o jej cierpieniu.

- Postaraj się odpocząć. Jeżeli będziesz czegoś potrzebować, po prostu mnie zwołaj!

- Dziękuję. - Przyjrzała mu się z niepokojem. - Jesteś bardzo zmęczony, prawda, Matt? Przepraszam, że przeze mnie nie możesz się wyspać...

Przycisnął palce do jej miękkich warg.

- Nie oczekuję od ciebie wdzięczności.

Dziewczyna spuściła oczy; czuła mrowienie w wargach, w miejscu, gdzie spoczywały jego palce. Ledwo powstrzymała się od pocałowania ich.

W tej chwili na schodach rozległy się kroki pani Hayes, więc Matt szybko odstał o krok. Gdy starsza pani weszła do pokoju niosąc drewnianą tacę, a na niej słoik, miskę, łyżkę i serwetkę, Matt stał parę metrów od łóżka.

- Dobry wieczór, panie Davis! Ma pan ochotę na zupę ostrygową? Świeżutka... dopiero robiona.

- Bardzo pani dziękuję, ale już jadłem kolację. Śpij dobrze, Tess.

- Ty także, Matt.

Wyszedł zamykając za sobą drzwi. Tess ze smakiem zjadła zupę miło przy tym gawędząc z panią Hayes, lecz gdzieś na dnie umysłu pozostało jej przykre wspomnienie zachowania pani Mulhaney. Gospodyni najwyraźniej jej nie lubiła... i nie akceptowała jej stylu życia. Zdawała się szukać pierwszej sposobności, by jej wymówić stancję. Myśląc o tym, Tess bardzo długo nie mogła zasnąć. Nie wiedziała, jak by sobie poradziła w wielkim mieście, gdyby nie miała obok siebie „kuzyna” Matta. Ich wzajemne stosunki uległy ogromnej zmianie i dziewczyna nie mogła się doczekać rozwoju sytuacji. A tymczasem powinna znaleźć jakiś sposób na udobruchanie pani Mulhaney... Póki jeszcze jest na to czas.

5

Do końca tygodnia Tess wydobrzała całkowicie; pomijając chwilowe ciągnięcie szwów, które miały zostać zdjęte w następną środę, czuła się jak nowo narodzona.

W sobotę Matt zabrał ją do pobliskiej kawiarni i kupił jej deser lodowy, podany w wysokim pucharku, przybrany mnóstwem bitej śmietany z czereśnią na górze. Był to najcudowniejszy wymysł ludzkiej pomysłowości, jaki dziewczyna w życiu widziała - nie wspominając już nawet o jedzeniu - i Matt patrzył na jej zachwyconą minę z ogromną przyjemnością. Kiedy Tess była czymś podekscytowana, wyglądała i zachowywała się jak dziecko.

Bardzo podobał mu się czarny kostium z zielonymi wykończeniami, który Tess miała na sobie, choć szczerze mówiąc uważał, że nie powinna była zakładać kapelusza o szerokim rondzie, przybranego długimi piórami. Kobiety i ich pomysły, pomyślał z lekką irytacją. Za każdym razem, gdy powiał wiatr, pióra kołysały się i wydawało się, że zaraz wypadną.

Zamieszał łyżeczką w swojej filiżance z gorącą czekoladą i popatrzył z uśmiechem na Tess, która zajadała lody. Rozglądała się dokoła z nietajoną ciekawością... lecz w jej wzroku było jakieś napięcie, które go zastanowiło.

- Dlaczego rozglądasz się jak przybysz ze wsi? - spytał przekornie.

Zmieszała się.

- Myślałam o czymś, co powiedziała kiedyś jedna z dziewcząt na zebraniu - odparła z uśmiechem, w którym czaiło się zambarasowanie. - Nie wiem, czy nawet powinnam ci o tym mówić. W końcu znajdujemy się w miejscu publicznym.

Czarne brwi Marta podskoczyły aż na czoło; uśmiechnął się do niej słodko.

- Powiedz, powiedz! Zdobądź się na odwagę.

Tess nachyliła się ku niemu, niemalże dotykając jego ucha; poczuła delikatny zapach jego wody po goleniu.

- Podobno kawiarnie, szczególnie te prowadzone przez cudzoziemców, to gniazda zła i rozpusty - wyszeptała z udanym przerażeniem. - Na zapleczech kwitnie handel białymi niewolnikami i kobietami. Podobnie jest też w parkach rozrywki.

Matt wybuchnął tak gromkim śmiechem, że inni goście w kawiarni spojrzeli na niego z oburzeniem.

- Przestań! - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Ludzie na nas patrzą.

Matt nachylił się ku niej.

- Zapomniałaś dodać, że rozpusta kwitnie też na stacjach kolejowych - wyszeptał.

Tess westchnęła.

- No, cóż. A co ja mogę wiedzieć? Większość życia spędziłam w głuszy Montany... - zniżyła głos - ... wśród dzikusów!

- Takich jak ja? - W jego ciemnych oczach zamigotał figlarny ogień.

Tess przyjrzała się jego przystojnej twarzy; jakże mogła zapomnieć Tańczącego Kruka siedzącego na łaciatym koniu, w barwach wojennych na twarzy i wysokim pióropuszu, z którego był tak bardzo dumny - wszak każde pióro symbolizowało akt wyjątkowej odwagi.

- O czym myślisz? - zapytał.

Tess potrząsnęła głową.

- Wspominałam dawne czasy - rzekła cicho. - Prawdopodobnie nie podobałoby ci się to, o czym myślałam, więc nie pytaj.

Matt upił łyżeczek czekolady i znowu zamieszał łyżeczką.

- To było bardzo dawno temu, prawda? - spytał głuchym głosem. Potem podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. - Byliśmy wtedy zupełnie inni niż teraz.

- Ty byłeś inny - poprawiła Tess, zastanawiając się, czy chce kontynuować ten temat.

„ - W jakiż to sposób?

:: - Dawniej nie wstydziłeś się swoich braci.

a To był błąd i Tess zaraz to pojęła; dłonie Matta zacisnęły się w pięści i choć nie wypowiedział ani słowa, w jego oczach widać było wściekłość. Dziewczyna spuściła wzrok.

- Mówiłam ci, że nie powinieneś pytać - mruknęła pod nosem. Czuła się bardzo nieswojo. - Przepraszam.

Matt nic nie odpowiedział; siedział nieruchomo i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej tymi swoimi niesamowitymi, czarnymi oczyma. Potem pospiesznie dopił swoją czekoladę.

- Skończyłaś już? - spytał parę minut później. Tess skinęła głową.

Matt wstał, rzucił kilka miedziaków na stolik, i podszedł do drzwi.

- Przecież już cię przeprosiłam - odezwała się Tess, gdy przeszli dwie przecznice.

- Ty po prostu nic nie rozumiesz - mruknął pod nosem. - Nie wiesz, jakie to uczucie należeć do takiego narodu. Moi bracia nic nie robią, siedzą w rezerwach, umierają z głodu i zimna albo zapijają się na śmierć. Wiecznie narzekają na to, że rząd przysyła im za mało koców i whisky. - Urwał i zapatrzył się gdzieś wysoko ponad dachy budynków. - Przybyłem do Chicago bez niczego... miałem tylko ubranie na grzbiecie i parę groszy od

twojego ojca. Przymierałem głodem, harowałem jak dziki wół, oszczędzałem i uczyłem się. Po szkole łąpałem się każdego zajęcia, jakie mi się trafiło. Dwa lata temu... prawie trzy... odszedłem od Pinkertona i otworzyłem własną agencję detektywistyczną. Udało mi się tylko dlatego, że nie bałem się pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dlatego, że byłem zdeterminowany coś w życiu osiągnąć.

- Ty miałeś możliwości, o jakich większość twoich pobratymców nie może nawet marzyć - powiedziała także podnosząc głowę i spoglądając ponad szczyty dachów. - Niektórzy mają przewlekłą gruźlicę, inni są kalekami... jeszcze inni stracili całe swoje rodziny i boją się ryzykować po raz drugi. Nie Chcą polegać na białych ludziach, lecz nie mają innego wyjścia... Jest ich za mało, by mogli walczyć, są zbyt dumni, by błagać o zwiększenie racji żywnościowych. Wreszcie są analfabetami i nie wiedzą nawet, jak walczyć o swoje prawa. Ty naprawdę miałeś wielkie szczęście!

- Może zbyt wielkie - odparł ochryple. - Na miłość boską, czy ty naprawdę nie rozumiesz?! - Spojrzał na nią z bólem w ciemnych oczach. - Ja nie należę do żadnej społeczności! Nie mogę wrócić do rezerwatu, malować twarzy wojennymi barwami, które już nic nie znaczą, ani jeździć na koniu na oklep! Nigdy też nie będę biały...

Tess położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ale ciągniesz za sobą cień tajemnicy... Nikt nie wie, skąd tak naprawdę pochodzisz, ani kim jesteś. I tak może już zostać do końca twojego życia. Chicago to duże miasto.

- Jednak zbyt małe, by uniknąć ludzkich uprzedzeń - rzekł szorstko. - A może jeszcze nie zdążyłaś tego zauważyć?

Tess westchnęła.

- Oczywiście, że zauważyłam. Wiem, że nie jestem w stanie zmienić tego świata, lecz mogę próbować. Kobietom też nie jest łatwo. Przecież wiesz, przez co musiałam przejść, zanim mogłam

zacząć pracować jako pielęgniarka. Nadal nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają to za nieprzyzwoite zajęcie dla młodej kobiety.

Matt spozjrzał na nią i lekko się uśmiechnął.

- Bo wykonując swe obowiązki widzisz nagich mężczyzn - odparł pochylając się nad nią.

Tess aż przystanęła w pół kroku.

- Co też ty wygadujesz?! - wykrztusiła rumieniąc się gwałtownie. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy; wszak nosiła w sercu sekret dotyczący ich wspólnej przeszłości, o którym on nie wiedział.

- A niby jak udaje ci się omijać widok nagich mężczyzn?

- Jeżeli muszę, wołam salowego albo lekarza! Jak mogłeś powiedzieć coś podobnego?!

Matt roześmiał się cicho.

- Zdaje się, że wpadamy w nawyk mówienia sobie nawzajem oburzających rzeczy! - Przysunął się do niej bliżej i ujął ją pod ramię. - A może oboje jesteśmy przewrażliwieni?

- Jedno z nas na pewno jest - zgodziła się Tess.

Słyszac te słowa, Matt uszczypnął ją w ramię - to nie zranione - na co Tess podskoczyła jak spłoszona sarna.

„- A widzisz? Poza tym ja wcale nie jestem przewrażliwiony.

\ - Aha... a krowy potrafią latać - burknęła pod nosem.

Poszli do rogu, a potem przez ulicę na drugą stronę, omijając powozy i nieliczne automobile, które od niedawna pędziły ulicami miasta. Matt nie znosił tych nowoczesnych wynalazków od czasu, gdy kiedyś w Atlancie został zmuszony do jazdy jednym z nich.

- Czy spotkałaś kiedyś męża Nan? - zapytał, gdy stanęli bezpiecznie na drugiej stronie ulicy.

- Męża Nan Colier? Dennisa? Nie. Chciałam ją kiedyś odwiedzić, lecz Nan powiedziała, że to bardzo zły pomysł. Obawiała się, że może być dla mnie bardzo nieuprzejmy, ponieważ nie pochwałał nadania kobietom równych praw.

Matt zawahał się; nie wiedział, ile powinien jej powiedzieć. Atak i rana nieźle nią wstrząsnęły i właściwie nie było konieczne, by znała jakiegokolwiek dalsze szczegóły, ale z drugiej strony miała prawo wiedzieć, kto na nią napadł. A jeżeli Dennis Colier ponowi próbę?

- Usiłujesz coś przede mną zataić - powiedziała nagle Tess mrużąc oczy.

Matt wepchnął dłonie głęboko do kieszeni i spojrzał na nią poważnie.

- Taak... masz rację. Wiem, kto na ciebie napadł.

Tess miała wrażenie, że na chwilę serce przestało jej bić.

- Naprawdę?! Kto?

- Mąż twojej przyjaciółki Nan, Dennis Colier - odparł ponuro.

Dziewczyna podniosła dłoń do gardła; oddychała z trudem i przez ten przeklęty gorset nie mogła złapać tchu.

- Wielkie nieba! Jesteś tego pewien?

- Tak. Odnalazłem go i porozmawiałem sobie z nim od serca. Jestem pewien, że to on, lecz nie mam żadnych namacalnych dowodów. Ale nie martw się, Tess. Postraszyłem go nieco i wątpię, by miał jeszcze jakieś głupie pomysły.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć... po prostu nie mogę uwierzyć. Dlaczego? Wiesz, dlaczego mnie zaatakował?

- Bo myślał, że jesteś w zмовie z Nan.

- Że co, przepraszam?

Matt rozejrzał się dokoła; co prawda nikt się im nie przyglądał, lecz on bardzo nie lubił rozmawiać na ulicy o prywatnych sprawach. Pociągnął Tess do pobliskiego parku; usiedli na ławeczce pod drzewami.

- Co tak naprawdę wiesz o Nan? - zapytał.

- Niewiele. Na pewno mniej niż o tobie - odparła z uśmiechem, starając się jakoś rozładować atmosferę. Zignorowała to.

- Podejrzewam, że pani Colier ma romans.

Tess zeszywniała.

- Romans? Chcesz powiedzieć, że spotyka się z jakimś mężczyzną za plecami męża?

- Tak, i używa tych waszych zebrań jako przykrywk. Colier przyłapał ją na tym, albo może tylko ją o to podejrzewa, i założył, że jesteś jej współniczką... że ułatwiasz jej spotkania z kochankiem.

- Jakże bym mogła?! - wykrzyknęła oburzona Tess. - Cóż to za pomysł!

- Wiem, ale pamiętaj, Że Colier cię nie zna... i coś mi się zdaje, że głęboko w to wierzy. Był cały roztrzęsiony, gdy mi o tym mówił.

- Wiesz już, kto jest kochankiem Nan?

- Jeszcze nie... ale wkrótce się dowiem. Jeden z moich detektywów obserwuje panią Colier od paru dni... tylko żebyś mi się nie ważyła jej o tym ostrzegać, Tess - powiedział bardzo poważnie. - Zamieszałaś się w bardzo niebezpieczną sprawę. Colier nie zawahał się napaść na ciebie w tłumie... nie sądzę też, by chciał cię tylko zranić. Jestem pewien, że chciał cię zabić, a to już naprawdę poważna sprawa.

Widząc ponurą minę przyjaciela, Tess wstrzymała oddech.

- Ależ ja nic nie wiedziałam o romansie Nan! - wykrztusiła wreszcie.

- Wiem. Ale podejrzewam, że moje słowo w tej kwestii, czy nawet moje groźby, mogą nie powstrzymać pana Coliera przed ponowną próbą zamachu na twoje życie. Co gorsza, zdaje się, że ma pewne powiązania... - Urwał, zawahał się na chwilę, po czym dodał: - Kazałem zająć się tą sprawą mojemu najlepszemu detektywowi. Dziś po południu dostarczył mi informacji, które, szczerze mówiąc, bardzo mnie zaniepokoiły. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. A teraz obiecaj mi, że będziesz bardzo uważać. Powiedziałem ci to wszystko, ponieważ nie widziałem powodu, dla którego miałbym

zatajać przed tobą te informacje... w końcu dotyczą one twojego życia. Ale obiecaj, że będziesz bardzo ostrożna.

Tess ledwie mogła nadażyć za tymi wszystkimi rewelacjami.

- Dziękuję, że mi powiedziałeś. Byłabym na ciebie wściekła, gdybyś zataił przede mną to, co wiesz. Wolę okrutną rzeczywistość niż ładne kłamstwa.

- Wiem.

Spojrzała na niego spod szerokiego ronda kapelusza.

- Może powinienś mi pożyczyć ten twój słynny nóż myśliwski?

- Jeszcze byś się nim skaleczyła! - Matt roześmiał się cicho na myśl o tym, co Tess mogłaby zrobić z takim nożem.

- Przecież potrafisz zdjąć skórę z jelenia...

- Potrafiłaś, gdy miałaś czternaście lat!

- Myślisz, że gdy wyjechałeś do Chicago, stałam się grzeczną panią i już nigdy więcej nie polowałam na jelenie ani nie strzelałam z łuku? - zapytała gniewnie. - Przecież masz kuzynów, którzy po masakrze pod Wounded Knee także wyjechali z Dakoty. Odnalazłam ich i szybko się z nimi zaprzyjaźniłam.

- Czy twój ojciec o tym wiedział?

- Oczywiście.

- I nie protestował?

- Ojciec nigdy nie był w stanie mnie powstrzymać od robienia rzeczy, na które miałam ochotę. Co prawda uważał, że to, czego mnie uczyłeś, nie przystoi damie, ale z drugiej strony ja nigdy nie udawałam, że jestem damą.

- Ależ jesteś damą, Tess, jesteś. - Przyglądał się jej z podziwem. - Pomimo paskudnego charakteru i oburzającej samodzielności.

- Wcale nie mam paskudnego charakteru, mój szanowny panie! Po prostu mam zdecydowane poglądy na pewne sprawy. - Nagle poczuła, że ma dość tej słownej utarczki; wróciła myślami do sprawy, która bardzo ją niepokoiła. - Matt, a co z Nan?

- O co ci chodzi?

- Czy on jej nie skrzywdzi? Chodzi mi o to, że... jeżeli był zdolny do zaatakowania mnie... to czy Nan nie znajduje się w ogromnym niebezpieczeństwie? Pewnie ją bije... a jeżeli znajdzie dowód na to, że ona go zdradza, może ją nawet zabić...

- Dowiedziałem się, że Dennis Colier bije swoją żonę bardzo regularnie - odparł Matt z ponurą miną. - Podobno sąsiedzi wezwali nawet kiedyś siostrę Nan, by jej pomogła, lecz gdy zjawiała się w ich domu, Nan przysięgła, że tylko spadła ze schodów. Nie pozwoliła siostrze wezwać policji... Jakie to dziwne, że kobieta może bronić swego męża, chociaż drań się nad nią pastwi.

- Może Nan boi się, że jeżeli wezwie policję, a oni zamkną Dennisa w więzieniu, to po wyjściu na wolność on ją zabije. Wiele kobiet toleruje brutalność mężów jako mniejsze zło. Nie chcą zostać pobite na śmierć. Czasem nie skarżą się, bo wiedzą, że same nie dałyby rady przeżyć - powiedziała smutno Tess. - Wiele z nich nie ma się gdzie podziać... nie potrafią same zarabiać na chleb... nie mają żadnej rodziny. Umarłyby z głodu, gdyby ich mąż poszedł za kratki.

- Może byłoby dla nich lepiej - odrzekł okrutnie Matt, który nieraz widział efekt końcowy dzieła tego lub innego brutalą.

- Dlatego właśnie tak bardzo zależy nam na tym, by społeczeństwo innym okiem spojrzało na pracujące kobiety. Większość mężczyzn woli udawać, że nie zauważa siniaków i brakujących zębów u kobiet... z uporem maniaka powtarzają, że kobietom należała się kara, że same na nią zasłużyły. Popierają się nawzajem... żaden z nich nie chce upomnieć się o prawa kobiet do normalnego traktowania.

- Nie wszyscy jesteście tacy.

- Wiem, że ty taki nie jesteś - odparła wznosząc ku niemu zielone oczy. - Wiem, że nigdy nie skrzywdziłyś nikogo bezbronnego czy słabszego od ciebie.

Matt roześmiał się bez cienia wesołości.

- Zdaje ci się, że znasz mnie tak dobrze?
- Wiem, że istnieje taki fragment twojej duszy, do którego nikt nie ma dostępu, nawet ja. Wiem jednak, że nigdy nie zaatakowałbyś człowieka, który nie miałby jak się przed tobą bronić. - Matt patrzył gdzieś daleko przed siebie nie widzącym wzrokiem. Tess położyła mu dłoń na ramieniu i dodała łagodnie:
- Dawniej nie byłeś taki skryty.,, łatwiej się z tobą rozmawiało.
- Dawniej byłeś tylko dzieckiem.
- Nie rozumiem.

Odwrócił się do niej:

- Dlaczego odmówiłaś ręki temu kawalerzyscie w Montanie?
- Bo to był rzeźnik! Zwierzę bez krztyny moralności czy honoru! - wykrzyknęła z oburzeniem.
- Masz już dwadzieścia sześć lat! - nalegał. - Twój ojciec nieraz mi powtarzał, że zupełnie nie interesujesz się mężczyznami... że nie chodzisz nawet na tańce do miasteczka. Dlaczego?

Zacisnęła dłonie na miękkiej torebce.

- Bo większość mężczyzn mnie irytuje. Uważam, że są naiwni i głupi.
- To żadna odpowiedź.

Jakoś udało się jej odwrócić wzrok od jego czarnych oczu; serce waliło jej jak szalone, chciała poderwać się z ławki i uciec, ile sił w nogach. Była to tak zaskakująca reakcja - wszak nigdy w życiu przed niczym nie uciekała - że śmiertelnie się przestraszyła.

Matt położył ramię na oparciu ławki i nachylił się ku dziewczynie, by dokładnie widzieć jej twarz pod szerokim rondem kapelusza.

- Czy to z mojego powodu nigdy nie wyszłaś za mąż?

Przez kilka sekund Tess nie potrafiła myśleć o niczym innym niż ciepło jego oddechu, które czuła na skroni.

Potulne zachowanie dziewczyny zdradziło Mattowi jej myśli,

bo Tess nigdy nie bywała potulna; była dzika, nieposkromiona i zawsze mówiła to, co myśli. To, co zobaczył, zaskoczyło go. Delikatnie dotknął jej podbródka i unióśł jej twarz ku sobie.

Przeciagnał palcem po jej pełnej dolnej wardze, na co Tess zareagowała nagłym drżeniem. Widząc to, Matt omal nie stracił panowania nad sobą. I w tej właśnie chwili - choć nie padło ani jedno słowo - wszystko stało się jasne: jej brak zainteresowania adoratorami, nagły przyjazd do Chicago... Tess odwróciła wzrok.

Matt opuścił dłoń na ławkę i z westchnieniem spojrział gdzieś w dal. Zdawało się, że jest myślami bardzo daleko. Był zaskoczony, oszołomiony... Nie śmiał wierzyć w to, co wyczytał w jej ślicznych zielonych oczach.

Tess przyglądała mu się przez chwilę, po czym wstała, jakby nic się nie stało.

- Muszę wracać do domu - powiedziała sztywno. - Jestem jeszcze osłabiona po chorobie...

- Jak sobie życzysz.

Nie wziął jej pod ramię; w milczeniu szedł obok dziewczyny pogrążony we własnych myślach.

Otworzył przed nią furtkę, lecz sam pozostał na chodniku.

- Przez najbliższe kilka dni rzadko będę w domu... mam pilną sprawę do rozpracowania. Obiecay, że nie będziesz przesiadywać w szpitalu dłużej, niż to absolutnie konieczne - rzekł, udając, że nic między nimi nie zaszło. - Po pracy wracaj do domu wynajętym powozem... i za każdym razem upewnij się, że na koźle siedzi Mike Kennedy... nikt inny. Rozumiesz? - Tess skinęła głową. - Nie powinnaś sama chodzić po ulicy, to niebezpieczne - dodał poważnie.

- Nie udawaj, że cokolwiek cię obchodzi! Nawet byś okiem nie mrugnął, gdybym pewnego razu skończyła w rynsztoku z nożem w plecach! - wykrzyknęła nagle wybuchając złością. Jego obojętność bardzo ją zraniła. - I będę zostawać w szpitalu, jak długo zechcę! Nie masz prawa mi rozkazywać! Możesz...

możesz... Och! - Omal się nie rozpląkała z nadmiaru targających nią emocji.

Nie oglądając się za siebie weszła po schodkach do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy po tyra, jak ją upokorzył. Wiedziała, że Matt jej nie kocha. Przez wiele lat ich wspólnej znajomości dostatecznie często powtarzał, co sądzi o białych kobietach, a o tym, co sądzi o mieszanych małżeństwach, wiedzieli nawet nieznajomi. Tess doskonale wiedziała, że zbudowała sobie zamek z piasku i że niedługo przyjdzie przypływ, który zniszczy jej budowlę.

Uśmiechnęła się uprzejmie do pani Mulhaney i pospieszyła na górę, zanim gospodyni zdążyła jej zadać jakiegokolwiek pytanie. Coraz gorzej czuła się w tym domu; postanowiła, że już niedługo wyprowadzi się gdzie indziej... jak najdalej od Matta i jego staroświeckiej gospodyni.

Co prawda, zanim zdecyduje się gdzieś wynająć pokój, będzie musiała dwa razy się zastanowić, bo tego typu domy zazwyczaj nie miały najlepszej opinii. Tylko tego brakowało, by skończyła jako biała niewolnica! Ale może którąś z pielęgniarek w szpitalu, albo którąś z jej znajomych sufrażystek, zna jakieś przyjemne lokum?

Nagle zawalił się cały jej świat. Matt wiedział już, co ona do niego czuje... a jednak ani słowem tego nie skomentował. Zignorował jej uczucie tylko dlatego, że jest biała. Nie! Nie da się tak łatwo poniżyć! Lepiej żyć ze złamanym sercem, niż czekać na okruszki sympatii ze strony tego drania o zimnym sercu!

W poniedziałek Tess poszła do pracy po raz pierwszy od paru tygodni; pomimo że od czasu do czasu w ramieniu kłuło ją lub ciągnęło, czuła się wyśmienicie i cieszyła z powrotu do szpitala. Nic tak nie pomaga na złamane serce jak ciężka praca fizyczna.

Młody baseballista, któremu amputowano nogę, Marsh Bailey, powitał ją z radością.

- Strasznie za tobą tęskniłem - powiedział, gdy rano przystanąła obok jego łóżka. - Te wszystkie stare pielęgniarki nie mają za grosz współczucia.

Bo przez wiele lat oglądały nieszczęścia bliźnich i już się na nie uodporniły, pomyślała Tess. Gdyby tego nie zrobiły, pewnie postradałyby zmysły. Niestety, gwałtowna sympatia młodego pana Baileya niepokoiła dziewczynę; Marsh okazywał jej wiele uczucia, zanim jeszcze została ranna, a rozłąka najwyraźniej tylko wzmogła jego oddanie. Tess czuła się wyjątkowo nieswojo: dla niej był tylko jeszcze jednym z wielu pacjentów, lecz wiedziała, że on czuje do niej coś więcej.

- Tak sobie myślałem - mówił szybko Marsh dziwnie podnieconym tonem - że po ślubie moglibyśmy zamieszkać w jakimś małym miasteczku na północy.

- Marsh, ja nie zamierzam wychodzić za ciebie za mąż - wypaliła zirytowana Tess.

Młodzieniec bardzo się pocił, na twarz wystąpiły mu gwałtowne rumieńce, a w oczach paliło się szaleństwo.

- Musisz wyjść za mnie! - zawołał łapiąc ją za rękę. - Ocaliłaś mi życie! Ty i tylko ty! Musisz wyjść za mnie! Bez ciebie nie mam po co żyć! Odrąbali mi nogę, jestem kaleką! Potrzebuję cię, Tess!

Dziewczyna wyswobodziła dłoń z jego uścisku i zbyt długo wpatrywała się w termometr, nim włożyła mu go do ust.

- Bądź grzeczny - powiedziała łagodnym, lecz chłodnym głosem. - Zaraz zmierzę ci tętno.

Jego oczy błyszczały niezdrowo, a puls galopował jak szalony. Tess skrzywiła się lekko. Nie podobało jej się dziwne podniecenie młodzieńca. Było w nim coś nienaturalnego.

- Marsh, czy doktor przepisał ci jakieś nowe lekarstwo? - spytała wypuszczając jego nadgarstek i zapisując wynik na karcie chorobowej wiszącej w nogach łóżka. Nie widać było żadnego nowego zlecenia.

- Nie - z trudem wymamrotał Marsh. Tess wyjęła termometr z jego ust i sprawdziła temperaturę. Nie miał gorączki. Dziwne.

Młodzieniec znowu złapał ją za rękę.

- Tess, musisz za mnie wyjść. W przeciwnym razie ja... ja zrobię sobie coś strasznego!

Delikatnie wyswobodziła palce z jego uścisku.

- Marsh, przecież nie mówisz poważnie.

- Jak najbardziej! Przysięgam!

Tess była zła, że pozwoliła, by cała sprawa wymknęła jej się spod kontroli. To, że była miła dla poszkodowanego młodego człowieka, to, że siedziała przy nim i pocieszała go, doprowadziło do tak absurdałnej sytuacji. Nigdy nie zachęcała go do żadnych flirtów, a jednak konsekwencje jej działań okazały się przerażające!

- Marsh, byłeś bardzo chory - odezwała się tak łagodnie, jak tylko potrafiła. - Niedługo wyzdrowiejesz... To naturalne, że czujesz sympatię do swojej pielęgniarki; podobnie jak naturalne jest to, że ciężko chora kobieta czuje sympatię do lekarza, który ratuje jej życie. To całkiem zwyczajne i minie szybciej, niż się spodziewasz.

- To nie jest zwykła sympatia! Kocham cię! - wykrzyknął z nieprzytomnie płonącymi oczyma.

- Tylko ci się tak wydaje - odrzekła spokojnie. - Przrzekam ci, że to minie. A teraz muszę już iść do innych pacjentów. Marsh, zajrzę do ciebie nieco później.

Uśmiechnęła się do niego chłodno i odwiesiwszy kartę choroby w nogach łóżka, wyszła z sali. Nie mogła pozwolić na to, by Marsh żył złudną nadzieją, a jedynym sposobem, by sobie z tym poradzić, było zignorować jego amory.

Przez cały dzień mechanicznie wykonywała swe obowiązki, świadoma, że Marsh przez cały czas nie spuszcza z niej wzroku i przygląda jej się oskarżająco z przeciwległego krańca sali. Przejdzie mu, powtarzała sobie w duchu, musi mu przejść. Już za

parę dni zwolnią go ze szpitala i gdy wróci do domu, do ciotki i wuja, z którymi mieszkał na północy stanu, raz dwa o niej zapomni. Musi o niej zapomnieć... wszak nie miała mu nic do zaoferowania. Każda jej myśl, każde uczucie, wszystko, co miała i co czuła, należało do Matta, nawet jeżeli on tego nie chciał.

Przynajmniej znalazła upływ dla swoich długo tłumionych emocji: postanowiła, że poświęci się pielęgnacji chorych, będzie aktywnie działać w ruchu kobiet i nigdy, przenigdy nie będzie żałować tego, że spotkała Matta na swej drodze. Nic będzie mieć ani domu, ani męża, ani dzieci; jej życie pełne będzie poświęcenia dla innych... i jeżeli kiedykolwiek będzie żałować swej decyzji, i tak nikomu o tym nie powie.

Pomyślała smutno, że w poświęceniu się na rzecz innych jest jakaś szlachetność; może to zrekompensuje jej brak męża i rodziny, o której zawsze marzyła.

Wieczorem skończyła swą zmianę i poszła do małego pokoiku na końcu korytarza, by się przebrać. Kiedy wyszła na korytarz, ubrana w prosty czarny kostium, białą koronkową bluzkę i skromny kapelusik, zauważyła nienormalny ruch.

Zdziwiona i zaciekawiona podeszła tam szybko właśnie w chwili, gdy doktor podnosił głowę.

- Nie żyje - usłyszała jego słowa. - Już nic więcej nie da się zrobić. - Już miał zaciągnąć prześcieradło na twarz zmarłego, gdy nagle zauważył... - A to co takiego? - Spod poduszki wyciągnął małą buteleczkę z matowego szkła zatkaną korkiem. Wyciągnął go, powąchał i warknął ze złością: - Opium! Wziął wszystko, co było w tej butelce!

Tess pobladła. Widząc wrażenie, jakie uczyniła na dziewczynie śmierć Marsha, starsza pielęgniarka podeszła do niej i ujęła ją za rękę. Ponura twarz starszej kobiety na chwilę złagodniała.

- Tess, on był uzależniony od tego świństwa - rzekła łagodnie. - Nie wiedziałaś?

Dziewczyna potrząsnęła głową, zbyt zaskoczona i obolała, by wykrztusić choć słowo.

- Musiał to jakoś przesmuglować na teren szpitala - dodał doktor wściekłym głosem. - Powinno istnieć jakieś prawo zabraniające używania opium bez potrzeby! To przez nie w ogóle miał ten cholerny wypadek... Był tak nieprzytomny, że nie zauważył powozu jadącego ulicą i wpadł prosto pod koła. A teraz, wiedząc, że pewnie nie utrzyma się w dawnej pracy i nie będzie miał czym płacić za to cholerstwo, popełnił samobójstwo!

- To znaczy... że to nie... przeze mnie? To nie moja wina..?

- Tess nie potrafiła dokończyć zdania.

Doktor zauważył jej blade policzki i przerażone oczy. Podeszedł do niej.

- Nie, moja droga. Oczywiście, że to nie twoja wina - zapewnił ją łagodnie. - To jego własna słabość go zabiła.

Nagle obrócił się na pięcie i wyszedł.

Tess przyglądała się, jak pielęgniarka zakrywa wykrzywioną konwulsjami twarz Marsha. Potem jęknęła głośno i pospiesznie wybiegła ze szpitala gnana poczuciem winy.

6

Było już bardzo późno i ciemno. Zziębnięta, a jednak nieczuła na lodowate podmuchy wiatru, Tess dłuższą chwilę stała na schodach szpitala, spoglądając na ulicę oświetloną gazowymi latarniami. Mike nigdy do tej pory się nie spóźniał; ilekroć Tess wychodziła ze szpitala, zawsze czekał na nią przycupnięty na koźle swego powozu, gotów odwieźć ją bezpiecznie do domu.

Wreszcie, po paru minutach czekania, zauważyła powóz zajęzdający przed szpital. Mike zgrabnie podprowadził konie i zatrzymał pojazd zaledwie o kilka centymetrów od krawężnika. Od pewnego czasu Irlandczyk był jej obrońcą; jak lubił powtarzać, dbał o nią tak, jak dbałby o własną córkę, niech spoczywa w spokoju. Ciężko pracował na życie i nieomal wszystkie zarobione pieniądze - z wyjątkiem tego, co wydawał na paszę dla koni i stajnię oraz marne jedzenie dla siebie - wysyłał swoim starym rodzicom mieszkającym w okręgu Cork, w Irlandii. Tess bardzo szybko go polubiła i teraz ufała mu jak nikomu innemu w całym ogromnym Chicago.

Mike zeskoczył z kozła i pomógł jej wsiąść do powozu.

- Mike, nie jedź od razu do pani Mulhaney - poprosiła go cicho. - Nie chcę jeszcze wracać do domu. Może mógłbyś po prostu powozić mnie po mieście?

- Nie ma sprawy, panieczek. Zły dzień, co? Sam nie chciałbym pracować w takim miejscu... pełno chorych ludzi dokoła. Nic dobrego. Pojeździmy trochę po mieście, nie ma sprawy. Taak... Tylko niech panienka otuli się po brode, bo inaczej zaziębienie gotowe!

Mike zamknął drzwi powoziku, a Tess naciągnęła na siebie ciężką niedźwiedzią skórę, dar od kogoś z pracodawców Mike'a, jego dumę i radość. Długie, gęste czarne futro przywołało wspomnienia zim spędzonych w Montanie. Jej ojciec miał dokładnie takie samo..., pamiętała, jak ją nim otulał, gdy jeździła pomagać mu w rezerwacie przy chorych.

Słuchając miarowego odgłosu końskich kopyt uderzających o bruk Tess jakoś zdołała się uspokoić i w mroku powozu wreszcie pozwoliła płynąć łzom. Biedny, biedny Marsh Bailey... Myślał, że jej potrzebuje... uważał, że dzięki niej jego życie się zmieni. Doktor przysiągł, że to opium go zabiło, ale Tess wiedziała jedno: gniew i ból Marsha, jego zraniona duma po tym, jak odmówiła poślubienia go, spowodowały, iż zażył śmiertelną dawkę narkotyku. Może chciał ją ukarać za to, że nie chciała zostać jego kochanką... jego żoną... za to, że nie chciała być dla niego niczym więcej niż pielęgniarką. A może chciał tylko uciec od rozpaczliwej sytuacji, w jakiej postawiło go życie? Nigdy się tego nie dowie. Nigdy też nie dowie się, dlaczego Matt nie kocha jej tak, jak chciała, by ją kochał.

Otarła z policzków gorące łzy mając wrażenie, że za moment serce jej pęknie. Ojciec nieraz jej powtarzał, że pielęgniarka nie powinna mieć miękkiego serca ani wrażliwej natury. Choć doktorzy i pielęgniarki powinni współczuć pacjentom, muszą także panować nad swoimi uczuciami i nie angażować się emocjonalnie w problemy chorych, bo nie zdołają wykonywać swoich zadań. Kiedy w rezerwacie wybuchła epidemia dyfterytu, ojciec prosił Tess o pomoc. Jednak gdy zobaczył, jak płacze nad zwłokami maleńkiego dziecka, zbeształ ją ostro. Zamiast pogładzić

ją po głowie czy poklepać uspokajająco po ręce, kazał się jej wziąć w garść: „Musisz być nieco twardsza, Tess, bo na nic mi się nie przydasz. Nie chodzi o to, byś przestała się przejmować, lecz masz panować nad emocjami... nie mogą ci przeszkadzać w pracy. Praca z chorymi wymaga silnych nerwów i chłodnej oceny sytuacji. A teraz otrzyj łzy i chodź ze mną. Musisz mi pomóc”.

To wspomnienie pomogło jej osiągnąć równowagę i spokój. Po chwili odzyskała panowanie nad sobą i gdy wreszcie powiedziała Mike'owi, by zawiózł ją do domu, była już nieomal całkowicie spokojna. Tylko zaczerwieniony nos i podpuchnięte oczy zdradzały, iż przed chwilą płakała.

- Niech panienka szybko biegnie do swego pokoiku i wyśpi się dobrze - powiedział jej na odchodnym Mike, lekko uchylając czapki. - Jutro rano na pewno wszystko będzie wyglądać o wiele lepiej.

- Dziękuję, Mike - odrzekła z wdzięcznością.

- Dobranoc!

Wdrapał się z powrotem na kozioł i skinąwszy jej ręką, odjechał.

Tess powoli weszła po frontowych schodkach i wydała cichy okrzyk, gdy z cienia na ganku wyłonił się ktoś i podszedł do niej.

- Najwyższa pora! - warknął Matt. - Gdzieś ty była, u wszystkich diabłów?! Czy nie mówiłem ci, że po pracy masz wracać prosto do domu? Na miłość boską, kobieto, czy ty umyślnie narażasz się na niebezpieczeństwo, czy tylko chcesz mi robić na złość?

W chłodnym nocnym powietrzu Tess wyczuła bijący od niego zapach cygar i wody kolońskiej. Nie nosił kapelusza, a marynarkę miał rozpiętą na piersi. W świetle padającym z wysokich okien domu widać było, że ma wściekłą minę.

- Mike powoził mnie trochę po mieście - powiedziała cicho.

- Miałam dziś długi i męczący dzień. Jestem bardzo zmęczona i chcę się jak najszybciej położyć.

Ruszyła do drzwi, lecz zanim zdążyła się obok niego precyzyjnie, gwałtownie złapał ją za ramię. Przyciągnął ją tak blisko, że poczuła ciepło bijące od jego ciała.

- Skończyłaś dyżur ponad półtorej godziny temu - rzekł, jakby jej nie słysząc. - Chcę wiedzieć, gdzie się przez cały ten czas podziewałaś!

Tess spróbowała wyszarpnąć się z jego uścisku, lecz na próżno.

- Nie muszę ci się tłumaczyć!

- A właśnie, że musisz!

Pociągnął ją w cień, z dala od światła padającego z okien; ich ciała spotkały się tak gwałtownie, że dziewczyna aż sapnęła z zaskoczenia. Właśnie chciała powiedzieć coś na temat jego brutalności, gdy Matt pochylił głowę i mocno pocałował ją w usta.

Nie tego spodziewała się po pierwszym pocałunku; Matt nie był łagodny ani czuły, a nacisk jego warg sprawiał jej ból. Jednym ramieniem podtrzymywał jej plecy, tak że siła pocałunku przechyliła ją do tyłu. Stała zaskoczona, zmartwiała, dłonie oparła o jego pierś i odpychała go nieudolnie... nawet ten ból był jej miły po tylu długich latach czekania i marzenia o pocałunkach Matta.

Chwila namiętności minęła równie niespodziewanie, jak się zaczęła. Odsunął wargi od jej ust i cofnął się nieco, lecz Tess nie widziała jego twarzy, tylko niewyraźny zarys postaci kryjącej się w mroku.

Dyszał ciężko; po chwili delikatnie dotknął dłonią jej twarzy, jak gdyby koniuszkami palców próbował poznać minę dziewczyny. Kciukiem lekko obwiodł jej dolną wargę... Tess stała jak i zahipnotyzowana. Palec Matta wsunął się między jej wargi i pieszczotliwie gładził. Zabrakło jej tchu.

Sapnęła cichutko, gdy on znowu pochylił głowę, zbliżył usta do jej warg i zaczął je ssać delikatnie, doprowadzając ją do szaleństwa. Drugą dłonią gładził ją po policzku, po szyi... pieszcząc delikatną skórę, aż Tess oparła się o niego drżąca

i podniecona. Wtedy zaczął ją całować bardziej natarczywie... prowokująco... zachęcająco.

Tess zrozumiała, że dzieje się z nią coś bardzo dziwnego. Była jak w transie... kolana ugięły się pod nią, więc złapała go za ramiona, by nie upaść. Poczowała, jak unosi ją ku sobie, przyciska, tuli... i bezwiednie objęła go za szyję.

Jęknęła przerażona nowymi, nieznanymi sensacjami, jakie budził w niej pocałunek Matta... Nie chciała, by to się kiedykolwiek skończyło, więc gdy poczuła, że unosi głowę, wspierała się na palce, próbując zrobić wszystko, by tylko ich usta się nie rozłączały.

Potrzebowała... czegoś. Czegoś więcej. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej i jęknęła gardłowo. Słyszając ten dźwięk, Matt rozchylił wargi i wsunął język w wilgotne wnętrze jej ust. Teraz już drżała na całym ciele, jakby w gorączce. Tuliła się do niego czując potrzebę, o której jeszcze nie wiedziała, że jest potrzebą... pragnąc... sama jeszcze nie wiedząc czego.

Jedną rękę nadal trzymał na plecach dziewczyny, lecz druga wędrowała pod żakietem i bluzką w górę ciepłego ciała. Czując to Tess zeszywniała, lecz nie ze strachu. Sapnęła cicho i tak się przekręciła, by jego dłoń napotkała to, czego szukała... delikatne ciało jej piersi pod cieniutką koszulką tuż nad twardą fiszbina gorsetu.

Odgłos kroków wewnątrz domu przestraszył ich i odskoczyli od siebie jak oparzeni, lecz zaraz Matt pociągnął ją za sobą głębiej w mrok. Przez oszklone szyby widać było dwóch mieszkańców stacji wchodzących do salonu.

Matt tulił Tess do siebie nie mogąc złapać tchu. Słaniała się na nogach i cała dygotała od nadmiaru nowych wrażeń.

Delikatnie przycisnęła ją do siebie tak, że oparła mu policzek na piersi. Wyczuła głuche dudnienie jego serca.

Pogładził palcami jej policzek, szyję, ledwie powstrzymał się od ponownego dotknięcia jej piersi.

Była podniecona... i zaskoczona. Zupełnie jak gdyby jakaś inna, obca, kobieta zawładnęła jej ciałem. Z jej oczu popłynęły łzy. Nagle, niespodziewanie, całe to wspaniałe samopoczucie, radość, namiętność i zaskoczenie przerodziły się w palący wstyd. Zachęcała Matta... prowokowała go., nieomal zmusiła do tych intymnych pieszczot, choć wiedziała, że mierzi go sama *myśl* o kochaniu się z białą kobietą. Usiłowała zdusić łkanie, lecz na próżno.

- Ciii - szepnął. - Nie płacz.

- Tak mi wstyd... -jęknęła Tess.

Delikatnie pocałował jej mokre od łez powieki.

- Zapomnij o swoim wiktoriańskim wychowaniu... Przecież jesteś nowoczesną kobietą! Czyż nie powtarzałaś mi tego tysiąc razy?

- Najwyraźniej nie jestem dość nowoczesna. - Pociągnęła nosem.

Matt roześmiał się cicho.

- Tchórz - mruknął przekornie. - Czy naprawdę jesteś aż tak naiwna, by sądzić, że porządne dziewczynki i porządni chłopcy tego nie robią?

Tess zeszywniała.

- A właśnie, że nie robią. A ja nie jestem porządna.

- Jesteś, jesteś... a każdy to robi - odparł pospiesznie, obawiając się nowej fontanny łez. - Oboje straciliśmy panowanie nad sytuacją. Nie ma o co płakać.

- Zachęcałam cię... prowokowałam... - urwała zawstydzona tym, co chciała powiedzieć.

- Tak, wiem - odrzekł łagodnie. - Będę to wspominać przez najbliższy tydzień.

- To było złe! - Tess aż zadygotała.

- Wcale nie - odparł. Wygładził jej zmierzwiłone włosy. Dopiero teraz zauważył, że w ciągu ostatnich kilku minut zgubił kapelusz, spinki i rękawiczki. - Nie martw się, zaraz znajdziemy twój kapelusz... gdy tylko nogi przestaną mi się trząść.

- Moje też drżą - powiedziała Tess impulsywnie. Matt roześmiał się.

- Tess, czyżbyś nigdy wcześniej z nikim się nie całowała?

- No... cóż... nie - przyznała cicho. - To znaczy... nie w ten sposób.

Słyszając zawstydenie w jej głosie, Matt zapomniał o podnieceniu; górę wzięły w nim opiekuńcze instynkty.

- W jaki sposób?

- Przecież wiesz! - Ukryła twarz na jego piersi.

Delikatnie pogładził ją po karku, musnął ustami skroń.

- Jaka szkoda, że nie znajdujemy się daleko na Zachodzie! Moglibyśmy leżeć w wysokiej trawie nad rzeką... poznawać dotykiem swe ciała... nie przejmować się tym, że ktoś może nas zobaczyć!

Tess roześmiała się cicho, choć wcale nie było jej do śmiechu.

- Zaraz oblażyłyby nas węże... albo komary pogryzłyby nas na śmierć.

On też się roześmiał.

- Pewnie tak. Już lepiej?

- Aha.

Wypuścił ją z objęć, po czym pochylił się, by podnieść jej kapelusz.

- Nie widzę szpilek... za ciemno tu. Ile ich miałas?

- Tylko jedną,, taką długą, z perłą na końcu. Ojej, papa dał mi ją na zeszte urodziny! Nie chciałabym jej zgubić!

Matt po omacku szukał zguby na schodkach, wreszcie znalazł ją i podał dziewczynie wraz z kapeluszem.

- Lepiej załóż to na głowę, bo wszystkie nasze stateczne matrony wezmą nas na języki.

- Pewnie jestem czerwona jak burak - westchnęła, przypinając kapelusik do koka na czubku głowy.

- Mam nadzieję - odparł przekornie.

- Łajdak! - Uderzyła go lekko po ramieniu.

- Dobry Boże, byłabyś cudowną kochanką - westchnął mimo woli.

- Ani mi się waż - odrzekła robiąc świętoszkowatą minkę.

- Nie pozwolę ci się sprowadzić na manowce.

- Nawet bym nie śmiał tego uczynić - powiedział Matt z udaną powagą.

Tess podeszła do światła padającego z okien i odwróciła się.

- Czy to bardzo źle wygląda? - spytała z niepokojem.

Przysunął się bliżej i przyjrzał uważnie.

- Widać, że płakałaś - powiedział. - I to zanim jeszcze cię dotknąłem. Co się stało?

Tess westchnęła ciężko.

- Marsh Bailey popełnił dziś samobójstwo.

- Tess!

- Przemycił do szpitala buteleczkę z opium. Doktor powiedział, że przedawkował narkotyk... że był uzależniony... że przez amputację straciłby pracę i nie stać by go było na zaspokojenie nałogu. - Otarła łzę z policzka i wcisnęła pomiętą chusteczkę do kieszeni spódnicy. - Och, do diabła! Cały czas czuję się winna... Pozwoliłam, by na mnie polegał... a on zakochał się we mnie. Tak mu się przynajmniej zdawało. Dziś po południu poprosił mnie o rękę. Oczywiście, odmówiłam mu. Nie sądzę, by to naprawdę była tylko moja wina... ale, och! Matt!

Przytulił ją mocno.

- Tak mi przykro! Tess, tak bardzo mi przykro - odsunął ją od siebie na długość ramienia. - Gdybym tylko wiedział, nie wściekłbym się aż tak strasznie. Myślałem, że nie wracasz do domu, bo chcesz mi zrobić na złość! Omal nie postradałem zmysłów ze zdenerwowania. Cały czas myślałem tylko o tym, co też mogło ci się przytrafić w mieście. Zwłaszcza po tym, co niedawno się wydarzyło.

- Nie jestem mściwa - powiedziała cicho Tess. - Uważam, że niewracanie do domu tylko po to, by zrobić ci na złość,

byłoby chwytem poniżej pasa. - Zawahała się i spojrzała mu w oczy. - Martwiłeś się o mnie? Naprawdę?

- A niby z jakiego innego powodu mógłbym być aż tak zły? Przepraszam za moje zachowanie... - Skrzywił się lekko.

- Zapomniałem nawet o twojej ranie... bardzo cię przepraszam, Tess.

- Nic się nie stało. W piątek doktor zdjął mi szwy... powiedział, że rana bardzo ładnie się zagoiła.

- W sobotę nic mi o tym nie wspomniałaś.

- Jakoś zapomniałam...

Przypomniał sobie to, co jej wtedy powiedział, i zrobiło mu się przykro.

- Byłem dla ciebie bardzo niemiły.

- A ja byłem nieznośna - odrzekła. - Miałeś prawo być na mnie zły. Nawet nie podziękowałam ci za lody.

- A jednak nie powinienem był być dla ciebie tak okropny. Nie miałem też prawa tak cię wykorzystać... jak to zrobiłem przed chwilą... - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Czy to dlatego było tak dziwne? - zapytała z ciekawością. - Dlatego, że ty byłeś zły, a ja zmartwiona?

- A jak było? - spytał z wahaniem.

- Trudno to opisać - odrzekła cicho. - Czułam gorąco... drżenie... było mi słabo... Nigdy wcześniej nie czułam nic podobnego.

Matt odetchnął głęboko.

- To, co czułaś, to pożądanie - wyjaśnił. - Pragnienie, by... przespać się z mężczyzną.

- By się z nim kochać - poprawiła go odruchowo.

- Taak.

- Ojej! - Tess miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

- Ludzie cywilizowani pokrywają swe pożądanie gadaniem o romantycznej miłości - kontynuował cynicznie. - Wszystko po to, by zachować pozory. Dopiero po zawarciu związku małżeń-

skiego mężczyzna pozwala sobie na okazanie pożądania, bo tak się utarło w społeczeństwie. Przepraszam, że straciłem nad sobą panowanie i, potraktowałem cię tak prostacko.

- Nie ma o czym mówić - odparła Tess pospiesznie. - Większość kobiet w moim wieku ma już mężów i wie wszystko na temat seksu. Ja pewnie nigdy... to znaczy... nie poznam... ojej!

Matt objął ją łagodnie.

- Nie masz się czego wstydzić - rzekł cicho. - Przykro mi, że cię zaszokowałem, ale tak naprawdę nie stało się między nami nic poważnego... a już na pewno nic, czego powinnaś się wstydzić.

Tess westchnęła.

- Czy odczuwanie takiej przyjemności nie jest przypadkiem grzechem?

Matt powoli opuścił ramiona.

- Uważam, że powinniśmy przestać o tym rozmawiać - burknął, choć w żyłach nadal pulsowała mu krew.

- Jak sobie życzysz. Ale cały czas jestem ciekawa... Choć tyle lat pracowałam jako pielęgniarka, istnieją pewne aspekty życia, które nadal są dla mnie tajemnicą.

- Jesteś stworzona do małżeństwa - wypalił nagle, przypominając sobie z poczuciem winy o sekrecie, który nosił w sercu.

- Lepiej, żebym żyła sama, niż z mężczyzną, którego nie jestem w stanie pokochać - odparła myśląc o Marshu Baileyu. Łzy zapiekły ją pod powiekami. - Powinniśmy wejść do środka.

Przeszła obok niego i weszła do hallu właśnie w chwili, gdy pani Mulhaney stanęła w drzwiach prowadzących do salonu.

Widząc wyraz twarzy dziewczyny, wydała z siebie dziwne sapnięcie.

- Ależ moja droga, co się stało!?! - wykrzyknęła rzucając podejrzliwe spojrzenie na stojącego w progu Matta.

- Jeden z moich pacjentów popełnił dziś samobójstwo - wyjaśniła Tess bez chwili wahania. - Bardzo mi przykro, że widzi

mnie pani w takim stanie, ale był taki młody i to... zdarzyło się tak nieoczekiwanie... i... och! - Wybuchnęła płaczem.

- Ojej! - W pani Mulhaney od razu obudziło się współczucie i zapomniała o swoich podejrzeniach, impulsywnie objęła dziewczynę. - Moje biedactwo! Chodź ze mną do kuchni, zaraz zaparzę ci gorącą herbatę! Biedactwo, nic dziwnego, że jesteś taka wstrząśnięta! Musisz mi o wszystkim opowiedzieć!

Tess nie ośmieliła się spojrzeć na Matta. Była tak okropnie zawstydzona, że nawet zachowanie gospodyni - które w innych okolicznościach potraktowałyby jako uciążliwe - było jej teraz na rękę. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie rozmawiać spokojnie z Mattem po tym, co zaszło między nimi tego wieczora.

Za maską współczucia pani Mulhaney kryła się wygłodniała ciekawość. Dobra kobieta, pozbawiona widoku świata poza murami własnego domu, z przejęciem słuchała opowieści o młodzieńcu, któremu amputowano nogę... który nie potrafił radzić sobie z życiem jeszcze przed wypadkiem, a po nim nie widział dla siebie żadnych perspektyw.

- Jaka szkoda - powiedziała potrząsając głową. - Tym bardziej, że był tak młody, jak mówisz. - Przyjrzała się Tess niespokojnie, po czym dodała z wahaniem. - Praca w szpitalu musi być bardzo... pouczająca. To znaczy... pewnie bardzo wiele uczysz się o mężczyznach... O ich ciałach... Ojej! Nie chciałam, by to tak zabrzmiało!

Tess uśmiechnęła się do niej.

- Pani Mulhaney, pielęgniarki wykonują polecenia lekarzy, roznoszą pigułki, zmieniają opatrunki, mierzą temperaturę i ciśnienie, ale na oddziałach pracują także mężczyźni, tak zwani salowi, którzy wykonują wszystkie inne czynności... na przykład kąpią pacjentów, i tym podobne rzeczy. Jesteśmy bardzo chronione przed... hm... nieprzystojnymi widokami.

Pani Mulhaney przyłożyła dłoń do gardła.

- Wielki Boże! Cóż za ulga - powiedziała cicho. - Nie mieliśmy o tym pojęcia... i krążyły pewne plotki... Mój ojciec zawsze powtarzał, że kobieta nie powinna pracować poza domem. Potem, gdy mój mąż jeszcze żył, byłam jego praczką, sprzątaczką i kucharką... Nie miałam czasu ani ochoty wychodzić z domu.

- Wyprostowała jakieś niewidoczne fałdki na spódnicy i spojrzała na Tess z zawstydeniem. - Nie znam nowoczesnych poglądów... nie wiem, jak ludzie się obecnie zachowują, ale uważam, że samotna dziewczyna nie powinna pracować w sklepie ani w szpitalu. To nierozsądne. - Zmarszczyła brwi i spytała wprost: - Tess, czy ty się nie boisz sama chodzić po mieście?

- Nie... przecież to Mike wszędzie mnie wozi - odrzekła dziewczyna. - Ma tyle lat, co miałyby mój ojciec, gdyby żył. Stracił żonę i dziecko podczas epidemii grypy... Wozi mnie do szpitala i z powrotem, a także na wszystkie spotkania na mieście. Zawsze ma przy sobie ogromną pałkę i twierdzi, że wie, jak się nią posługiwać.

W oczach pani Mulhaney pojawił się błysk zadowolenia.

- Mój Boże! - A po chwili dodała z wahaniem: - Bardzo tęsknisz za ojcem, prawda?

- Tak, bardziej, niż potrafię powiedzieć. Przez kilka lat pracowałam razem z nim... Moja mama umarła, gdy byłam jeszcze bardzo mała... ojciec był dla mnie wszystkim. Bardzo mi go brakuje.

- Przynajmniej masz tu kuzyna... zawsze to jakieś pocieszenie. - Gospodyni wypowiedziała to tak, że zabrzmiało jak pytanie.

- Nie jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni. - Tess była zaskoczona, jak łatwo przychodzi jej okłamywanie starszej kobiety.

- Matt i ja jesteśmy przyjaciółmi... bardzo miło z jego strony, że pozwolił mi tu przyjechać i zamieszkać blisko niego. Ale muszę sama zarabiać na własne utrzymanie - dodała poważnie. - Ojciec nie zostawił mi żadnych pieniędzy, a nie mam żadnych innych krewnych.

- Ojej! Nie miałam pojęcia, że tak sprawy stoją - mruknęła pani Mulhaney najwyraźniej zszokowana. - Myślałam, że pracujesz po to, by podkreślić swoje... polityczne poglądy... na temat emancypacji kobiet... Nie wiedziałam...

- Choć Matt jest dla mnie bardzo dobry, nie mogę pozwolić na to, by mnie utrzymywał - wyznała Tess. - Muszę sama zarabiać na chleb... a pielęgnowanie chorych jest tym, co robię najlepiej.

Cała ta rozmowa okazała się bardzo pouczająca dla starszej kobiety: pani Mulhaney zyskała inny punkt widzenia na samodzielność i pracę Tess. Biedactwo było zbyt dumne, by przyjąć jałmużnę od swego kuzyna... tylko dlatego pracowało w tak okropnym miejscu jak miejski szpital. Pani Mulhaney - która w wieku lat piętnastu spod opieki ojca przeszła bezpośrednio pod opiekę męża - gorąco jej współczuła. Poklepała dziewczynę po dłoni.

- Bardzo mi przykro, że życie jest tak okrutne dla tak sympatycznej młodej dziewczyny jak ty. Ale to wyjaśnia, dlaczego do tej pory nie wyszłaś jeszcze za mąż. Podejrzewam, że nie masz żadnego posagu, prawda, kochanie?

Tess powstrzymała jadowitą odpowiedź. Uważała posag za przekupstwo, cenę, jaką rodzina płaci, by pozbyć się dziewczyny. Mierziła ją sama myśl o tym. Słyszała, że dziewczęta na Wschodzie dosłownie sprzedawano zubożałym dżentelmenom z Anglii tylko po to, by uzyskać dla nich tytuł szlachecki.

Ciekawe, jak by zareagowała pani Mulhaney, gdyby Tess jej powiedziała, iż wedle zwyczaju Siuksów to pan młody płaci posag rodzicom swej przyszłej żony. Gdyby nadal mieszkała w Montanie, z zachwytem przyjęłaby wiadomość, iż Matt chce dać jej ojcu za nią dziesięć koni. Zdusiła w sobie histeryczny śmiech. Przecież Matt i tak nigdy nie zechce jej poślubić!

- Nie - odparła Tess na zadane pytanie, siląc się na spokój.
- Nie mam posagu.

- Nie martw się tym zbyt - pocieszyła ją gospodyni. - To nie ma większego znaczenia. Prędzej czy później i tak znajdziesz sobie męża. Bardzo współczuję ci z powodu śmierci tego młodego człowieka... Ale z drugiej strony, cóż za życie go czekało, jeżeli nie miał nogi? Siła fizyczna mężczyzny jest jego kartą atutową w naszym społeczeństwie. No i jest też kwestia dumy... Ubóstwo i współczucie są ciężkie do przełknięcia.

Była to prawda. Mężczyzna bez nogi mógł udać się po pomoc albo do przytułku, albo do przykościelnego domu opieki, albo do jakiejś socjalnej organizacji charytatywnej... A to byłby potężny cios dla dumy Marsha Baileya... tym bardziej, że był przyzwyczajony do fizycznej aktywności.

- Zmykaj już do łóżka. Mam nadzieję, że ta rozmowa nieco ci pomogła.

Tess uśmiechnęła się do starszej kobiety, która nawet nie rozumiała, że oto tuż przed nią otwiera się świat zupełnie nowych możliwości.

- Tak... bardzo mi pani pomogła - skłamała.

- Bardzo się cieszę. Kiedy tu wbiegłaś dziś wieczorem, cała zapłakana i potargana... wyglądałaś na okropnie nieszczęśliwą! - Pani Mulhaney roześmiała się nieco nerwowo. - Pewnie mi nie uwierzysz, ale przez chwilę sądziłam, że stałaś na zewnątrz z mężczyzną... no, wiesz. Jaka ja jestem niemądra... wszak był z tobą tylko pan Davis! Twój kuzyn! - Na szczęście w tej chwili była zajęta wkładaniem naczyń do zlewu, więc nie widziała miny Tess.

- W rzeczy samej, to niemądre - mruknęła dziewczyna słabo.
- Dobranoc, pani Mulhaney... Jeszcze raz pani dziękuję.

- Nie ma za co, moja droga. Śpij dobrze.

- Wzajemnie.

Tess szybko weszła po schodach na piętro i bez wahania skierowała się do swego pokoiku, jednak bardzo długo miała kłopoty z zaśnięciem. Na ustach czuła pocałunki Matta... jej ciało

płonęło na myśl o jego pieśczołach. Była niespokojna i stęskniona. Zamykając oczy widziała twarz Matta... słyszała jego urywany oddech... czuła jego ręce na swoim ciele...

Schowała głowę pod poduszkę. Nie chciała o tym myśleć... wiedziała, że jak najszybciej powinna zapomnieć... bo Matt pewnie właśnie tak zrobi. Stracił panowanie nad sobą i stało się coś, czego żadne z nich się nie spodziewało. To wszystko. Poza tym tak długo mieszkając w wielkim mieście, na pewno był już z niejedną kobietą i podobne incydenty często mu się zdarzały.

Jęknęła i rozpłakała się. Twarz jej płonęła, a na samą myśl o Macie w ramionach innej kobiety robiło jej się niedobrze.

Zamknęła oczy i zaczęła powoli recytować alfabet... jednak minęło jeszcze sporo czasu, zanim zasnęła.

7

Tess obudziła się zmęczona i niewyspana, co było po niej widać, gdy zeszła na dół na śniadanie. Napotkawszy uważne spojrzenie czarnych oczu Matta, zaczerwieniła się gwałtownie. Zdenerwowana tym, że siedzi dokładnie naprzeciw niego za stołem, nie potrafiła powstrzymać drżenia rąk. Wystarczyło, by na niego spojrziała, a już serce waliło jej jak szalone. Brak samokontroli i wspomnienie wydarzeń poprzedniego wieczora omal nie doprowadziły jej do łez. Jakież *to* upokarzające kochać mężczyznę, który nie odwzajemnia twoich uczuć, i nie umieć tego przed nim ukryć!

Matt zachowywał się jak co dzień, pomijając fakt, że wyspał dwie łyżeczki cukru do kawy, której nigdy nie słodził, i że zjadł aż cztery kanapki z szynką, której nie znosił. Było jednak oczywiste, że w odróżnieniu od niej doskonale nad sobą panuje.

Kiedy jednocześnie sięgnęli po solniczkę i ich dłonie się spotkały, Tess miała wrażenie, że uderzył w nią grom.

Najwyraźniej Matt chciał udawać, że nic się między nimi nie wydarzyło; był uprzejmy jak co dzień i wychodząc do pracy życzył jej miłego dnia. Zupełnie jak gdyby była obcą osobą, którą przed chwilą spotkał na ulicy.

Tess odpowiedziała mu w podobnym tonie, po czym udała się

do szpitala, starając się nie myśleć i wydarzeniach poprzedniego wieczora i o pocałunkach, jakie wymienili.

Przez następne kilka dni Tess musiała jakoś nauczyć się żyć z pragnieniami, jakie w niej rozbudził. Cierpiała okropnie, lecz najgorsze było dla niej to, że Matt zdawał się w ogóle nie pamiętać tego, co między nimi zaszło.

Mając umysł całkowicie zaprzątnięty samobójstwem Marsha Bailey'a i okrutnym zachowaniem Matta, Tess niewiele myślała o swojej przyjaciółce Nan, ale gdy w następny czwartek udała się na spotkanie sufrażystek, z zaskoczeniem zobaczyła przyjaciółkę siedzącą w powozie Mike'a Kennedy'ego.

- Nan! - wykrzyknęła, kiedy Mike pomógł jej wsiąść do środka. - Słyszałam, że nie będziesz już więcej przychodzić na nasze zebrania! Co się stało?

- Właściwie nie jadę na zebranie - odparła Nan drżącym głosem. - Dennis *znowu* mnie pobił i wywiązała się z tego potworna awantura. Zamierzam spotkać się z moją siostrą i jej mężem... zamieszkać z nimi.

- Nie rozumiem. Przecież mówiłaś, że on cię nie bije...

Nan odsunęła włosy z twarzy.

- Kłamałam - odparła wprost, choć widać było, że jest przerażona. - Bałam się go i kłamałam... Myślałam, że to się kończy... ale teraz wszystko się zmieniło.

- Co się stało? - powtórzyła Tess, widząc zmęczoną twarzyczkę przyjaciółki, jej podkrążone oczy i ziemistą cerę.

- Koniec świata. - Nan roześmiała się niewesoło. - Ale teraz mam dla kogo żyć... Wreszcie zdobyłam się na odwagę, by opuścić Dennisa... nie pozwolę, by mnie dalej krzywdził,

~ Wspaniale! - zawołała Tess.

Nan westchnęła i oparła się ciężko o poduszki powozu.

~ Miałam okropne wyrzuty sumienia - przyznała po chwili.

- Nie śmiałam ci o niczym mówić, bo nie byłam pewna twojej reakcji. Nie byłam pewna, czy powinnam ci ufać... Ukrywałam

się jak złodziej, ale z tym już koniec. - Spojrzała wyzywająco na Tess. - Muszę ci o czymś powiedzieć... Może mnie za to znienawidzisz... może nie będziesz się chciała ze mną przyjaźnić...

Tess położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki i uściśnęła mocno.

- Nic nie może nas rozdzielić.

- Spotykałam się z pewnym mężczyzną - wypaliła niespodziewanie Nan. - Nie planowałam tego... on też nie. Tak się po prostu stało. Przez kilka tygodni mówiłam Dennisowi, że idę na zebrania z tobą, ale chodziłam do niego. A teraz Dennis się o tym dowiedział. Zaprosił... mojego przyjaciela... na kolację, nawet mnie nie uprzedzając. Musiałam przyrządzić posiłek i siedzieć z nimi przy stole. Aż nagle Dennis poderwał się, zaczął nas przeklinać... a potem mnie uderzył. On i... mój przyjaciel, pobili się. Dennis przysiągł, że mnie zabije, jeżeli jeszcze kiedykolwiek się z nim spotkam. Nie mogę ci powiedzieć jego nazwiska. Obiecałam, że tego nie zrobię... Nie gniewaj się na mnie, Tess, ale po prostu nie mogę. On mi pomógł wydostać się od Dennisa, zaaranżował całą tę sprawę z moją siostrą i załatwił, by Mike po mnie przyjechał... Ja już nigdy nie wrócę do Dennisa, Tess..., Nigdy! Wolę żyć w hańbie, albo w ogóle nie żyć, niż zgadzać się na takie poniżanie! Tym bardziej teraz. Mój przyjaciel powiedział, że mi pomoże. On nie boi się Dennisa... mówi, że zna go doskonale... - Zaciśnęła dłonie w pięści i spojrzała na przyjaciółkę przez łzy. - Dennis to zły człowiek, Tess, bardzo zły... Ludzie nie doceniają potęgi zła czającego się w nim, bo nie wiedzą, jak jest... kiedy zażywa... to świństwo. Mówi, że to jego „lekarstwo”... ale on od tego dostaje napadów szału.

Tess domyśliła się, że Nan mówi o opium, lecz nie powiedziała tego głośno.

- Czy twoja siostra może zapewnić ci opiekę? - zapytała.

- Tak, na pewno. Już od dawno usiłowała namówić mnie, bym odeszła od Dennisa, ale ja nigdy nie miałam dość odwagi. Ale teraz już mam. - Uśmiechnęła się do Tess, a na jej twarzy malowało się ogromne szczęście. - Tess, ja będę miała dziecko.

~ Och, Nan! - Tess nie wiedziała, co powiedzieć; wszystko działo się zbyt szybko.

- To nie Dennis jest jego ojcem - dodała Nan niespokojnie.
- Ale ja kocham... tego człowieka... bardziej niż kogokolwiek na świecie. Musiałam odejść od Dennisa, zanim zrobi mi krzywdę... albo dziecku.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - zapytała łagodnie Tess.

- Dobry Boże! Nie chcę, byś dla mnie ryzykowała - odparła Nan. - Jesteś moją jedyną przyjaciółką.

- Niczym nie ryzykuję - skłamała Tess. Już raz padła ofiarą podstępного ataku Coliera, lecz Nan wcale nie musi o tym wiedzieć. Matt ją obroni i będzie też chronić Nan, jeżeli ona go o to poprosi.

- Dziękuję - odparła Nan poważnie. - Ale nie chcę cię w to mieszać bardziej niż już jesteś zamieszana... Mąż mojej siostry jest policjantem - dodała z cichym śmiechem. - Ogromnym, potężnym policjantem! Niech tylko Dennis spróbuje mu podskoczyć, a będzie miał wrażenie, że przejechał po nim wagon węgla!

- A co będzie, jeżeli Dennis cię znajdzie...?

- Wolę o tym nie myśleć!

Tess ujęła przyjaciółkę za rękę i nagle poczuła pod palcami coś wilgotnego. Właśnie przejeżdżały pod latarnią, więc mogła wyraźnie zobaczyć, że rękawiczki Nan poplamione są czymś... czerwonym.

- Nan! - wykrzyknęła. - Ty krwawisz!

Dziewczyna wyszarpnęła dłoń z uścisku przyjaciółki i zadygotała.

- Och! To... to nic takiego - odparła z wyraźnym zakłopotaniem. - Przygotowywałam kurczaka na kolację... nie zauważyłam, że rękawiczki leżały na stole... Ojej!

Tess odetchnęła z ulgą, że wytłumaczenie było tak prozaiczne.

- Wszystko będzie dobrze, Nan - powiedziała łagodnie.

Za całą odpowiedź musiało jej wystarczyć westchnienie przyjaciółki.

Zgodnie z przewidywaniami Nan na zebraniu sufrażystek zjawiała się jej siostra, Edith Green, wraz z *mężem*, policjantem Brianem Greenem, który przyszedł w pełnym umundurowaniu. W otoczeniu bojowo nastawionych kobiet mieli dość niepewne miny, lecz dzielnie wytrwali do końca zebrania, po czym od razu podeszli do Nan.

Edith, wysoka, chuda poważnie wyglądająca kobieta, na oko z dziesięć lat starsza od siostry, zatrzymała się w drzwiach, by uścisnąć dłoń Tess i podziękować jej za opiekę nad Nan.

- Przecież ja nic nie zrobiłam - zaoponowała dziewczyna z uśmiechem. - Nan jest moją najlepszą przyjaciółką... nie ma takiej rzeczy, której bym dla niej nie zrobiła.

Brian Green przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- Pani jest tą kuzynką Matta Davisa, nieprawdaż? - spytał nagle.

Tess zarumieniła się na dźwięk imienia „kuzyna”.

- Tak - odparła spuszczać wzrok.

- W takim razie to pani została ranna podczas tego ostatniego marszu, tak? - dopytywał się policjant, a jego niebieskie oczy były bardzo zimne.

Tess spojrzała na niego błagalnie, lecz było już za późno: Nan i Edith patrzyły na nich rozszerzonymi z ciekawości oczyma.

- Nic mi nie powiedziałaś! - wykrzyknęła Nan.

- Bo cię od tamtej pory nie widziałam - odrzekła Tess zgodnie z prawdą. Uśmiechnęła się. - Zostałam ranna podczas zamieszek, jakie wybuchły po marszu... ale to nic takiego.

Brian Green ugryzł się w język i powstrzymał słowa cisnące mu się na usta.

- Jest pani dzielną dziewczyną - powiedział wreszcie. - Jeżeli jeszcze kiedyś będzie pani miała jakiegokolwiek nieprzyjemności, proszę dać mi znać. Obiecuję, że się tym zajmę.

Tess uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Brian Green był potężnie zbudowanym mężczyzną, niezbyt przystojnym i na

oko ponurym, lecz Edith trzymała się jego ramienia i patrzyła na niego z takim podziwem w oczach, jakby był samym Adoniszem.

Kiedy cała trójka wyszła na ulicę, Tess jeszcze kilka minut rozmawiała z przyjaciółkami, po czym pożegnała się i wsiadła do powozu Mike'a Kennedy'ego. Cóż za wieczór, pomyślała. Miała nadzieję, że Nan poradzi sobie ze zmianami, jakie nastąpiły w jej życiu... i z reakcją męża na to wszystko.

Matt czekał na nią na ganku, zupełnie jak tamtego pamiętnego wieczora. Tess poczuła, że serce bije jej szybciej, pożegnała się więc z woźnicą, otworzyła żelazną furtkę i powoli weszła na stopnie werandy, gdzie Matt opierał się niedbale o jeden z filarów.

- Jesteś dziś o czasie - zauważył od niechcenia.

- Zazwyczaj, jeżeli nie przytrafiają mi się żadne nieszczęścia, staram się nie spóźniać - odrzekła chłodno.

Matt trzymał jedną dłoń w kieszeni spodni, zaś drugą bawił się złotą dewizką od zegarka.

- Więc dziś wieczorem nie wydarzyło się nic niezwykłego?

Tess potrząsnęła głową.

- Spotkanie przebiegło tak, jak zawsze... z tym jednym wyjątkiem, że Nan wróciła.

- Sama? - spytał Matt podrywając głowę, zupełnie jak pies gończy węszący zwierzynę.

Tess zmarszczyła brwi zdumiona jego reakcją.

- Tak, sama... Odeszła od męża. Do domu wróciła wraz z siostrą i jej mężem, ogromnym policjantem, Brianem Greenem.

- Znam go - burknął Matt.

- Nan będzie z nimi bezpieczna - kontynuowała Tess. - Bardzo się cieszę, że podjęła tę decyzję. Pomyślałam sobie właśnie, że zajrzę jutro do domu państwa Greenów i ją odwiedzę...

- Nie ma mowy - odparł natychmiast tonem wykluczającym sprzeciw. - Nan wcale nie jest bezpieczna... a ty także narazisz

swoje życie, jeżeli będziesz się z nią spotykać. Ty mały głuptasie, czy nadal nie rozumiesz, jakim człowiekiem jest jej mąż?! Nawet po tym, co ci zrobił?!

Tess była zaskoczona gniewem brzmiącym w jego głosie.

- Ale, przecież... skoro jej szwagier...

- Green całymi dniami jest w pracy, a jego żona nie zdoła obronić Nan. Colier będzie bardzo niezadowolony z tego, że żona go rzuciła! Podejrzewam, że jest zdolny ją za to zabić... może i jej siostrę także, za to, że jej pomogła. Zdaje się, że żadne z was nie pomyślało o konsekwencji czynu pani Colier, co?

Tess przyłożyła dłoń do szyi.

- Czy on naprawdę jest aż tak niebezpieczny?

Matt nie odpowiedział jej wprost,

- Zanim Nan go opuściła, powinna była dopilnować, by go aresztowano - rzekł zimno. - Może wtedy miałyby jakąś szansę. Green powinien był porozmawiać z sąsiadami, zdobyć świadków na to, jak Colier traktował żonę... wtedy można by go zamknąć w więzieniu na tak długo, że już nikt nigdy by o nim nie usłyszał.

Tess chciała mu powiedzieć o bójce Coliera z kochankiem Nan, lecz w tej chwili nie wydawało *jej* się to najważniejsze.

- Biedna Nan... - westchnęła bardzo zmartwiona, - Matt, sądząc po tym, co przed chwilą powiedziałeś, domyślam się, że zebrałeś sporo informacji o niej i o jej mężu. Dowiedziałeś się może czegoś, co może nam pomóc?

- Może... - Zawahał się przez chwilę. - Dziś będzie bezpieczna, bo Green nocuje w domu. Z samego rana pójdę na komisariat i porozmawiam z dyżurnym oficerem. Jest przełożonym Greena, a moim przyjacielem.

Tess przestępowała z nogi na nogę; z jednej strony było *już* bardzo zimno, z drugiej nie chciała kończyć tak szybko tej rozmowy.

- Dziękuję, Matt. Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz.

- Nie ma o czym mówić - odparł; potem spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Cenię cię za to, że jesteś lojalna wobec swoich przyjaciół, choć *to* czasami niebezpieczne...

Tess wzruszyła ramionami.

- Nie mam zbyt wielu przyjaciół... - Podeszła do drzwi ściskając w dłoniach torebkę. - Czy my nadal jesteśmy przyjaciółmi? - spytała nagle. Nie patrzyła na niego; zbyt bała się tego, co może wyczytać w jego oczach.

Matt milczał tak długo, że aż się wystraszyła, że w ogóle jej nie odpowie. A potem poczuła, że stoi tuż za nią. Kiedyś nauczył ją, jak poruszać się bezszelestnie, ale zapomniała. On najwyraźniej nie.

- Nie dręcz się jedną chwilą szaleństwa... po prostu straciliśmy panowanie nad sobą - powiedział, a w jego głosie słychać było nutę rezygnacji. - Przyjaźń nie może umrzeć z tak błahego powodu.

Nie mógł już jaśniej powiedzieć, że za nic ma ich pocałunki, że chwila łączącej ich namiętności była błędem. Tess wyprostowała się i zmusiła do uśmiechu.

- Ależ oczywiście.

Lecz gdy ruszyła ku drzwiom, Matt złapał ją wpół i zatrzymał. Przytulił ją do siebie.

~ Nie myśl o tym zbyt dużo - burknął z ustami przyciśniętymi do jej włosów. - Taki związek i tak nie miałyby przed sobą żadnej przyszłości. Wyobraź sobie śliczną blondyneczkę paradującą po Chicago z Siuksem pod rękę.

- Cóż za dziwne słowa w ustach kogoś, kto celowo ukrywa swoje *pochodzenie* - *odrzekła chłodno*.

- To nieprawda! - Matt gwałtownie wypuścił ją z objęć.

- Ależ *prawda*, prawda... Bawi cię, gdy ludzie usiłują odgadnąć twoje pochodzenie, ale nigdy niczego im nie wyjaśniasz,

Twarz Matta była bez wyrazu, lecz w jego oczach paliły się ognie.

- Już wcześniej o tym rozmawialiśmy... To, jak układam sobie życie, jest tylko moją sprawą.

- Jak mam cię przekonać, że nie powinieneś wstydić się przeszłości? - zapytała łagodnie, a widząc, że odwraca się od niej, jęknęła: - Nie, proszę! - Złapała go za ramię i przysunęła się do niego jak najbliżej. - Matt, nie bądź taki!

Jego ramię pod jej palcami wydawało się jak wyrzeźbione z drewna; nawet na nią nie spojrzął. Odizolował się od niej tak kompletnie, jak gdyby był jednym z tych drewnianych posągów, jakie można spotkać przed sklepami z tytoniem. Nic do niego nie docierało.

- No, dobrze - powiedziała wreszcie, rozluźniając uchwyt. - Wygrałeś. Będziemy udawać, że nic nie powiedziałam.... Nie chcesz rozmawiać ze *mną* o sprawach osobistych? Postaram się zapamiętać to na przyszłość.

Zostawiła go stojącego na ganku i weszła do domu, świadoma wpatrujących się w nią oczu. Może właśnie spaliła za sobą mosty? Ale teraz to i tak nie miało już żadnego znaczenia... Matt dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce z nią rozmawiać. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy; że tak bardzo zależy jej na bliskości między nimi... Za dawnych czasów Matt zachowywał się czasem tajemniczo, ale zawsze był ciepły i przyjacielski. Choć z drugiej strony, wtedy jeszcze nie przedstawiała żadnego zagrożenia dla dorosłego wojownika. Jej dziewczęcość i niedojrzałość pewnie go tylko bawiły, ale teraz dorosła i wszystko się zmieniło.

Tess poszła prosto do swego pokoju, zdjęła płaszcz i kapelusz i usiadła w niewielkim bujanym fotelu, stojącym obok okna. Kiedy po raz pierwszy zjawiła się w Chicago, Matt zauważył jej fizyczną zmianę. Niestety teraz zaczął postrzegać ją jako zagrożenie, dla jego równo poukładanego życia i spokoju umysłu. A to oznaczało, że nie będzie z nią więcej rozmawiać, nie będzie się z nią przekomarzać ani zabierać na lody do kawiarni. Będzie

ją trzymać na odległość ramienia... dosłownie i w przenośni. Już nigdy nie pozwoli się do siebie zbliżyć.

Był to ciężki cios dla jej kobiecej dumy i niedoświadczonego serduszka. Matt tak długo był nieodłączną częścią jej życia, że teraz bardzo trudno będzie jej odnaleźć się w świecie bez niego. Ale on dał jasno do zrozumienia, że nie chce jej w swoim życiu i nie pragnie utrzymywać z nią bliskich stosunków. Niech więc i tak będzie.

Zaczęła wątpić w swój zdrowy rozsądek: po co w ogóle przyjeżdżała do Chicago? Nie miała prawa nakładać na Matta obowiązku zajmowania się nią tylko z tego powodu, że kiedyś byli przyjaciółmi. Nawet się nie zastanawiała, jak jej przyjazd do miasta wpłynie na jego życie. Pewnie, że czuł się za nią odpowiedzialny: wszak jej ojciec uratował mu życie, a ona pielegnowała go przez wiele miesięcy... Czuje się w obowiązku zajmować nią... Ale któż by chciał litość, zamiast miłości? Poczucie obowiązku, zamiast szczerzej sympatii?

Może i Matt nie chce się nią na stałe zajmować, ale to przecież wcale nie przekreśla ich przyjaźni... Ani nie zmniejsza jej miłości do niego.

Postąpiła niesłusznie, bezmyślnie i nieodpowiedzialnie. A teraz musi znaleźć jakiś sposób, by to naprawić.

Jak zwykle ostatnimi czasy Tess nie spała dobrze; następnego dnia rano poszła do pracy niewyspana i zdenerwowana po nocy spędzonej na samooskarżeniach. Wychodząc z domu nie spotkała Matta, ale miała nadzieję, że pójdzie na posterunek policji, zanim Nan stanie się coś złego.

Tess starała się szybko i sprawnie wykonywać swoje obowiązki, gdyż była świadoma, że przełożona na jej oddziale niezbyt ją lubi.

Panna Fish, znana wszystkim jej podwładnym jako „Bar-rakuda”, lubiła sprawdzać czystość parapetów i nocnych szafek,

do której to czynności specjalnie zakładała białe rękawiczki. Zawsze sprawdzała, czy narzędzia medyczne zostały odpowiednio długo wygotowane po ostatnim użyciu, czy wszystkie przecieradła są wykrochmalone, a koce złożone jak należy. Sama tak bardzo krochmaliła swoje spódnice, że szeleściły przy każdym jej kroku; na głowie zawsze nosiła wysoki czepiec, podobnie jak wszystkie inne pielęgniarki w szpitalu. Była chlubą swojej profesji i okropnym tyranem dla podwładnych.

Tess z nostalgią wspominała dni, kiedy pracowała wraz z ojcem; wtedy nie było w okolicy żadnej panny Fish, która doprowadzała by ją do szaleństwa; miała czas, by okazać zainteresowanie i współczucie pacjentom. Tutaj dni wypełnione były tak ogromnym natłokiem zajęć, że Tess biegała od jednego pacjenta do drugiego, nie pamiętając nawet ich imion.

Kiedy skończyła liczyć po raz drugi wysterylizowane narzędzia - pierwsze liczenie nie usatysfakcjonowało panny Fish - wróciła na swój oddział... i niespodziewanie stanęła nos w nos z Mailem.

Jeszcze nigdy dotąd nie widział jej w pielęgniarskim kitlu i teraz przyglądał się jej z uwagą. Mimo iż sefca waliło jej jak oszalałe, odwzajemniła spojrzenie Matta z całym spokojem, na jaki było ją stać.

- Nie powinieneś tu przychodzić - powiedziała cicho. - Panna Fish dostanie ataku furii, jeżeli cię tu zobaczy.

- Kto?

- Panna Fish - powtórzyła Tess szeptem, po czym wyprowadziła nieproszonego gościa na korytarz. - Moja przełożona.

Matt rozejrzał się dokoła z niesmakiem.

- Co ty tu robisz całymi dniami?

- Dokładnie to samo, co robiłam w Montanie - odrzekła.

- Opróżniam baseny, ścielę łóżka, mierzę temperaturę, sterylizuję narzędzia i ogólnie rzecz biorąc, robię wszystko, co mi każą.

Matt spozirzał na nią zmrużonymi oczyma.

- Czy nie jesteś czasem zbyt dorosła, by służyć za popychadło?
- spytał.

- Nigdy nie przeszłam oficjalnego szkolenia, a większość pracujących tu dziewcząt ma dyplom ukończenia co najmniej jednego kursu pielęgniarstwa. Ja mam tylko doświadczenie z pracy z ojcem...

- Nie pomagasz w pracy lekarzom?

- Broń Boże! Panna Fish umarłaby ze wstydu!

Spojrzał na nią spod oka.

- Czyżby była aż tak pruderyjna?

- Zaraz sam się przekonasz - odparła patrząc gdzieś w dal.

Matt zdążył zdjąć kapelusz na czas, więc gdy starsza kobieta stanęła przed nimi, ukłonił się najpiękniej, jak umiał.

- Dzień dobry, panno Fish - powiedział uśmiechając się miło, po czym zaskoczył pielęgniarkę podnosząc jej dłoń do ust i składając na niej delikatny pocałunek. Panna Fish nie padła trupem, lecz zarumieniła się po same uszy niczym podłotek.

- Moja kuzynka mówi o pani z takim podziwem! Musi pani być doprawdy niezwykłą kobietą, skoro wzbudza pani tak ogromny szacunek wśród swoich podwładnych!

Panna Fish na chwilę straciła głos. Potem nerwowo otrzepała spódnice.

- Ależ z pana flirciarz, młody człowieku - powiedziała, lecz w jej głosie było słychać zadowolenie. Najwyraźniej była zakłopotana. - Mam nadzieję, że przyszedł pan do panny Meredith w ważnej sprawie?

- Wyjątkowo ważnej - odrzekł pośpiesznie Matt. - W przeciwnym razie nie ośmieliłbym się odciągać jej od obowiązków.

- W takim razie ma pan pięć minut. I nie ociągaj się, gdy już skończycie, Meredith! - Panna Fish zawsze zwracała się do swoich podwładnych po nazwisku. Potem spojrzała na Matta i uśmiechnęła się. - Proszę jej nie zajmować więcej czasu, niż to konieczne, młody człowieku. W obliczu pracy nawet sprawy rodzinne schodzą w cień!

- Oczywiście, proszę pani - odrzekł Matt uśmiechając się do niej ciepło.

Panna Fish znowu się zarumieniła, potem skinęła głową Mattowi i oddaliła się korytarzem szeleszcząc fartuchem.

Odwracając się do Tess, Matt zdusił śmiech.

- Cóż za niespodzianka - odezwała się dziewczyna. - Czy ten szarmancki sposób bycia też ćwiczyłeś przed lustrem?

- Całymi tygodniami - odparł szczerząc zęby w uśmiechu. Zaraz jednak spowaźniał i przeszedł do rzeczy: - Byłem dziś rano na posterunku policji. Nie chciałem tu przychodzić, zanim nie zdobędę jakichś optymistycznych wiadomości dla ciebie, lecz ponieważ tak się nie stało, tak czy inaczej przyszedłem.

- Czy chodzi o Nan? - zapytała Tess z przerażeniem w oczach.
- Czy coś się jej stało?

- To zależy, z której strony na to spojrzysz. - Odetchnął głęboko. - Nan jest w więzieniu.

Sens tego, co powiedział Matt, dotarł do Tess dopiero po dłuższej chwili.

- W więzieniu? - powtórzyła. - Nan jest w więzieniu? Dlaczego?

- Pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia - odparł sucho.
- Dziś rano w mieszkaniu państwa Colier znaleziono Dennisa leżącego na podłodze z nożyczkami wbitymi w gardło. Nie żył.

8

'Tess zachwiała się na nogach i Matt musiał ją podtrzymać.

- Nie bądź głupia - burknął ostro. - Nan jest niewinna... Przekonałem się o tym w chwili, gdy ją zobaczyłem. Rozmawiałem z nią ponad godzinę. Brian Green także wierzy w jej niewinność. Jest tylko jeden szkopuł: Green był na służbie, jego żona poszła odwiedzić chorą przyjaciółkę i Nan przez kilka godzin była całkiem sama. Nie ma żadnego alibi na czas, kiedy Colier został zamordowany, a poprzedniego wieczoru sąsiedzi słyszeli, jak groziła mężowi, że go zabije.

- O, wielki Boże! - Tess poprawiła na głowie pielęgniarzki czepek. - Nan nie skrzywdziłaby muchy... Wiem, że jest niewinna... po prostu to wiem. - Spojrzała na Matta z niepokojem. - Tylko, czy można to jakoś udowodnić?

- Nie mam pojęcia. Green mówi, że to mało prawdopodobne, chyba, że znajdziemy świadków, którzy zeznają, iż widzieli ją gdzie indziej. Ale nawet to może niewiele pomóc. - Spojrzał w głąb korytarza, gdzie stała panna Fish i przyglądała się im krytycznie.

- Musisz jej pomóc - błagała Tess z oczyma rozszerzonymi przerażeniem. Złapała go za ramię. - Proszę...

Matt zesztyniał i odsunął się od niej tak daleko, aż jej ręka opadła bezwładnie.

- Nie musisz się za nią wstawiać - odrzekł ostro. - Green i jego zwierzchnicy już mnie poprosili, bym poprowadził śledztwo w sprawie tego morderstwa... Nawet gdyby tego nie uczynili, i tak starałbym się pomóc Nan.

Tess odetchnęła z ulgą.

- Mogę ci się przydać... - zaczęła, lecz przerwał jej.

- Niby jak?

- Nie jestem głupia ani bezradna - odparła patrząc na niego złym wzrokiem. - Mogę rozpytać ludzi, czy czegoś nie widzieli... albo śledzić jakichś podejrzanych...

Patrząc na nią, Matt uśmiechnął się mimo woli; wyglądała wyjątkowo ślicznie z tymi złotymi włosami i zielonymi oczyma rozszerzonymi poczuciem urażonej dumy. Była doprawdy piękną dziewczyną... zbyt piękną. Uśmiech znikł z jego ust, gdy jego wzrok spoczął na pełnych ustach Tess.

Widząc tak nagłą zmianę jego nastroju, spojrzała na niego niepewnie.

- Muszę już wracać do pracy. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc Nan. To moja jedyna przyjaciółka.

Te słowa go zaboląły; wiedział, że odsunął ją od siebie, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że sprawy zaszyły aż tak daleko. Tess była całą jego rodziną. Kuzynów mieszkających w Montanie nie widział od tak dawna, że nie poznałby ich na ulicy.

- Porozmawiamy o tym później - powiedział, a potem wskazał na pannę Fish: - Lepiej pójdę sobie, zanim narobię ci kłopotów u przełożonej.

- Masz rację... ona nie jest zbyt wyrozumiała ani cierpliwa.

Odszedł parę kroków w głąb korytarza, po czym odwrócił się do niej raz jeszcze:

- Tess, nie chodź sama do więzienia. Oprócz twojej przyjaciółki są w nim zamknięci wyjątkowo nieprzyjemni kryminaliści. Jeżeli chcesz odwiedzić Nan, powiedz mi, to pójdę z tobą.

Tess uniosła podbródek i już chciała zacząć nową kłótnię, **gdy** uświadomiła sobie, gdzie się znajduje.

- O tym też porozmawiamy później - odrzekła słodko.

Matt westchnął i uchyliwszy kapelusza, ruszył w stronę drzwi. Kiedy tylko się za nim zamknęły, panna Fish podeszła do swojej podwładnej.

- Skoro nie ma na razie nic do roboty, wysterylizuj gazę, Meredith - powiedziała krótko.

- Dobrze, panno Fish. - Tess z trudem powstrzymała westchnienie. Sterylizowanie gazy było trudne, gdyż należało w odpowiednich proporcjach zmieszać jodynę, glicerynę, alkohol i eter, potem do roztworu wrzucić gazę i tak długo mieszać, aż uzyska równomierne zabarwienie. Poza tym trzeba było pracować szybko i sprawnie, by spreparowaną gazę powkładać do zakręcanych, szklanych stoików. Było to jedno z najtrudniejszych i najbardziej nielubianych zajęć w szpitalu.

- Meredith, czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad zrobieniem oficjalnego kursu? - zapytała nagle przełożona. - Jak pewnie wiesz, w naszym szpitalu pracuje kilka dziewcząt, które ukończyły Szkołę Pielęgniarską, zarabiają znacznie więcej niż ty teraz. Masz niezbędne kwalifikacje, by uzyskać dyplom, a podejrzewam, że lata pracy z ojcem też zostałyby ci policzone.

- Nigdy o tym nie myślałam, ale wiem, że mogłoby mi się to podobać - przyznała Tess. - Lubię zajmować się chorymi... zupełnie nie widzę się w żadnym innym zawodzie.

- Tak, zauważyłam, z jakim oddaniem pracujesz. Poza tym, większość atrakcyjnych dziewcząt w twoim wieku jest już mężatkami. Ty nie planujesz ślubu w niedalekiej przyszłości? Nie masz narzeczonego?

Tess zmarkotniała.

- Nie, panno Fish - odrzekła smutno. - Nie mam żadnych

planów... - I to była prawda. Ponieważ Matt nie chciał się z nią ożenić, nigdy nie wyjdzie za nikogo innego.

Zdawało się, że panna Fish nieco złagodniała.

- Jeżeli kiedyś zdecydujesz się na taki kurs, przyjdź do mnie. Znam kierownika jednej z takich szkół, a poza tym, dam ci doskonałe referencje.

- To bardzo miłe z pani strony. - Tess uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Bardzo dziękuję.

- Pomimo braku formalnego wykształcenia, jesteś wyjątkowo uzdolniona i inteligentna. Pracujesz ciężiej niż większość moich podwładnych i nigdy nie wykrecasz się od obowiązków. Takie rzeczy się zauważa - odrzekła starsza kobieta. Potem dodała: - A teraz wracaj do swoich obowiązków, Meredith. Kiedy już skończysz z gazą, przygotuj plaster rozgrzewający dla dziecka Watkinsonów.

Wszyscy w szpitalu lubili dziesięcioletniego chłopczyka leżącego na oddziale dziecięcym; miał uciążliwe zapalenie płuc, które zupełnie nie chciało się leczyć.

Tess obawiała się, że może to początki gruźlicy, lecz lekarze, na szczęście, nie znaleźli żadnych objawów potwierdzających tę diagnozę.

Billy był słabym i chorowitym dzieckiem, a w dodatku rodzice nigdy go nie odwiedzali. Mieli pięcioro innych dzieci, z których on był najmłodszy, i oboje pracowali w fabryce odzieżowej. Tess spotkała ich tylko raz i wydali się jej zimnymi ludźmi pozbawionymi rodzicielskich uczuć. Ku wielkiemu zgorzeniu lekarzy pielęgniarki rozpieszczały pogodnego Billy'ego, a nawet surowa i ponura panna Fish nieraz przynosiła mu miętowe czekoladki.

- A jak tam jego płuca? - spytała teraz Tess.

- Przynajmniej nie gorzej - odparła panna Fish bezosobowym tonem. - Wracaj do pracy.

- Oczywiście, panno Fish.

Następnego dnia, w sobotę, Tess miała wolne. Wstała wcześniej rano i w salonie na dole czekała na Matta; chciała być pewna, że spotka go, zanim wyjdzie do pracy, a obawiała się, że nie zostanie na śniadaniu. Nie siedziała na sofie nawet pięciu minut, gdy usłyszała jego kroki na schodach. Spojrzył na nią z niepoko-
jem.

- Wychodzisz? - spytał, widząc, że ma na sobie elegancki czarny kostium i białą bluzkę. Skinęła głową. - Dokąd?

Tess spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

- Pomyślałam sobie, że namówię cię, byś zabrał mnie do Nan w odwiedzin. Powiedziałeś, że nie chcesz, bym chodziła tam sama... ale jeżeli mnie nie odprowadzisz, przysięgam, że pójdę tak czy inaczej.

Matt patrzył na nią nieprzychylnie.

- Ostatnio jesteś nie do wytrzymania.

- A kiedyż to byłam inna? - odpaliła. Mocno zacisnęła dłonie na torebce. - Czy masz jakieś inne naglące plany na dzisiejszy dzień?

- Nic aż tak naglącego... Więzienie to nie miejsce dla damy.

- Właśnie dlatego chcę odwiedzić Nan.

- Doskonale - powiedział z rezygnacją. - Pójdę z tobą, ale aipierw zjedzmy śniadanie.

Nan siedziała sama w maleńkiej celi, lecz więźniowie-mężczyźni byli dostatecznie blisko, oddzieleni od niej zaledwie kratą, by czuła się nieswojo. Tess od razu zrozumiała, dlaczego Matt nalegał, by nie przychodziła tu sama. Była mu wdzięczna za ostrzeżenie i za to, że z nią przyszedł, tym bardziej, że ponury strażnik spojrzał na nią rybio martwymi i wypukłymi oczyma tak strasznie, że zrobiło się jej zimno.

Kiedy weszli do celi, zobaczyli Nan - w pomiętej sukience i bluzce, które miała na sobie dwa dni temu, siedziała z pochyloną głową na wąskiej pryczy.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Tess, podbiegając do niej i klękając obok przyjaciółki. - Moje ty biedactwo! Czyżby nikt nie przyniósł ci ubrania na zmianę?

- Moja siostra przyniosła mi wczoraj nową sukienkę, ale nie ośmieliłam się w nią przebrać... - Nachyliła się ku Tess i szepnęła z zażenowaniem: - Oni cały czas mi się przyglądają!

- Porozmawiam o tym z twoim szwagrem - powiedział ponuro Matt. Pod ciemnymi brwiami jego oczy błyszczały złowieszczo. - Może on zrobi z tym porządek.

- Bardzo to miło z pana strony, panie Davis... Ale ja jestem na jego czarnej liście... mimo iż on wie, że to nie ja zabiłam Dennisa. - Spuściła wzrok. - Wie, że spodziewam się dziecka i wie, że to nie mój mąż był jego ojcem. Jestem złą kobietą!

- Przestań - wtrąciła łagodnie Tess. - Wcale nie jesteś zła!

- Oczywiście, że nie - zgodziła się z nią Matt. - Zrobimy dla pani, co w naszej mocy. Niech mi pani powie, pani Colier, czy wie pani, kto mógł zabić Dennisa? Czy ktoś nienawidził go aż tak bardzo, by posunąć się do morderstwa?

- Tak... ja nienawidziłam go aż tak bardzo - odparła Nan z nieszczęśliwą miną. Potem złożyła ręce na podołku i ze zmęczeniem potrząsnęła głową. - Doskonale wiem, że jestem najlepszym podejrzanym, jakiego pomogą złapać w tej sprawie. Miałam całe mnóstwo powodów, by nienawidzić Dennisa. - Skubała drobną płamkę na spódnicy. - On nic nie wiedział o dziecku... nie wiem, co by zrobił, gdyby się dowiedział. Wierzę, że byłby w stanie mnie zabić... poza tym miał dziwnych znajomych... kryminalistów. Prawdopodobnie nauczyli go różnych sztuczek...

Matt oparł się o kraty i zmarszczył brwi.

- Zdawało mi się, że pani mąż pracuje na poczcie?

- Taak... posługiwał się tą pracą jako przykrywką dla swoich ciemnych interesów... Udawał praworządnego obywatela. - W głosie Nan słychać było wyraźny chłód. - Wiem jednak na pewno, że na boku robił różne złe rzeczy... Miał mnóstwo znajomych

panów, którzy ładnie się ubierali i mieli całe wory pieniędzy. Nie wiem niestety, jak zarabiali te pieniądze... ale na pewno nie w uczciwy sposób.

- Czy słyszała pani kiedykolwiek coś, co mogłoby dać nam jakąś wskazówkę co do tego, czym się zajmowali?

Nan odsunęła włosy z czoła.

- Przy mnie starali się nie mówić zbyt dużo - odrzekła.

- Czasami udało mi się usłyszeć oderwane fragmenty rozmów... ale nic więcej.

- A czy ostatnimi czasy usłyszała pani coś interesującego, pani Colier? - spytał Matt. - To bardzo ważne... Niech pani spróbuje sobie przypomnieć.

- No, cóż... W zeszłym tygodniu przyszło do niego kilku dzentelmenów. Siedzieli w salonie, a ja byłam w kuchni. - Spoglądała to na Tess, to na Matta i wyglądała na coraz bardziej podekscytowaną. - Dennis kazał mi zrobić kanapki... i sałatkę, żeby mieli co jeść przy piwie... Kupił całą beczkę piwa... zupełnie jakby był barmanem... - Spojrzała na ścianę, najwyraźniej rozkojarzona, a potem przeczesła włosy palcami.

- Musiało ci być bardzo ciężko, Nan - odezwała się Tess współczującym tonem. Jakiś czas temu podniosła się z klęczek i stała obok Matta, któremu teraz rzuciła pytające spojrzenie. Skinął zachęcająco głową, więc kontynuowała: - Pracowałam w kuchni i coś usłyszałam, tak?

- Tak, tak... Dennis powiedział, że jakiś człowiek... Marley się nazywa... zna się na rozwalaniu zamków. Dennis powiedział, że „poprosi go o pomoc przy robocie”.

- Marley? - powtórzył Matt.

- Tak, ale nie wiem, czy to jego imię, czy nazwisko? Nawet nie wiem, czy mieszka w Chicago. - Zakryła twarz dłońmi.

- Fatalnie się czuję. Moja siostra zemdłała, gdy policjanci przyszli mnie aresztować... Wierzy, że to nie ja go zabiłam, ale bardzo się boi. Ja też... - Uniosła na nich podpuchnięte, zaczerwienione

oczy. - Panie Davis, przecież jeżeli nie udowodnię im swojej niewinności, powieszą mnie jak psa!

- Żaden sąd nie skáže na śmierć kobiety przy nadziei - odparł pospiesznie Matt.

- Może ich to nic nie obchodzić - jęknęła Nan. - Będą uważać, że jestem nie lepsza od tych dziewcząt w burdelach... Sędziami przysięgłymi mogą być tylko mężczyźni, a tacy na pewno mnie skarżą!

- Cicho już, cicho - zamruczała Tess podchodząc do Nan i mocno ujmując dłonie przyjaciółki. - Nie wolno ci tak myśleć. Pamiętaj o dziecku i nie martw się... I Matt, i ja robimy wszystko, co w naszej mocy, by ci pomóc. - Uśmiechnęła się. - Skrzyknę nasze dziewczęta... wszystkie bardzo cię lubią i na pewno żadna z nich nie wierzy w twoją winę. Może będziemy mogły jakoś ci pomóc.

- One nie zechcą mi pomóc, gdy dowiedzą się o dziecku - odparła Nan łamiącym się głosem.

- Nan, ależ niektóre z nich krzyczą o tym, jak to kobiety powinny mieć prawo do rodzenia dzieci poza związkami małżeńskimi! Uważają, że w ogóle nie powinnyśmy wychodzić za mąż!

- Tak, a mężczyzn należy trzymać tylko do rozplodu, a potem trzeba zaraz ich zabijać, bo w przeciwnym razie... - wtrącił Matt ponuro, lecz Tess zaraz mu przerwała.

- Matt, jak możesz?!

Nan także usiłowała się uśmiechnąć.

- Tess, on ma rację... słyszałam, jak jedna z dziewcząt mówiła kiedyś coś podobnego. Jestem pewna, że tylko żartowała - dodała pospiesznie patrząc z niepokojem na pana Davisa.

- Mną niech się pani nie przejmuj - odrzekł spokojnie. - Lata słuchania opinii Tess uodporniły mnie na wszelkie tego typu uwagi.

- Zgadzaam się, że niektóre z naszych towarzyszek mają dość radykalne poglądy - odezwała się Tess. - Czasem słyszy się

opinie, że najlepszy pomysł na życie miały Amazonki... a mężczyzn powinno się trzymać na smyczy lub w klatce.

Matt roześmiał się cicho.

- Podejrzewam, że jesteś zwolenniczką tej teorii. Może nawet uważasz ją za racjonalną.

- Dla ciebie trzeba by zrobić ogromną klatkę - odparła zerkając na niego spod oka.

Nan popatrzyła na nich niespokojnie. Mięła w dłoniach róg spódnicy.

. - I co my teraz zrobimy?

- Niech się pani o to nie martwi - odrzekł poważnie Matt.

Proszę pamiętać, że jesteśmy po pani stronie. Niestety na razie nie możemy pani stąd wyciągnąć. Jestem pewien, że gdyby istniała taka możliwość, pani szwagier już dawno by to załatwił.

- Apelowali do sędziego, ale ponieważ chodzi o morderstwo, nawet nie było mowy o kaucji - powiedziała Nan ponuro kiwając głową. Potem spojrzała na Tess. - Mogłabyś znaleźć dla mnie jakieś książki do czytania? Mam tu stanowczo za dużo czasu... a moje myśli nie są najweselsze. Albo może mogłabyś przynieść mi tu wełnę i druty?

' - Zobaczę, czy mi się uda to tu przeszmulować - obiecała Tess.

- Panie Davis, niech pan poprosi mojego szwagra, by tu do mnie zajrzał. Bardzo boję się tego strażnika... on jest... strasznie natarczywy, a jego uwagi robią się coraz śmielsze.

Matt spojrzał na nią ponuro,

- Niech się pani nie martwi. To da się załatwić. Tess, musimy już iść.

Dziewczyna poklepała przyjaciółkę po chudziutkim ramieniu.

- Jeżeli przyjdzie ci do głowy coś, co mogłoby nam pomóc, daj nam znać.

- A najlepiej mi - wtrącił Matt. - Nie pozwolę, by Tess przychodziła tu sama... i nie mam zamiaru dyskutować na ten

temat - dodał unosząc dłoń, gdy Tess właśnie chciała zacząć się z nim kłócić.

- Drań! - sapnęła ze złością.

- Nie... pan Davis wcale nie jest draniem - powiedziała Nan cichutko. - Bardzo wam dziękuję za pomoc... i życzliwość. Nie zasługuję na nie... tym bardziej po tym, co cię przeze mnie spotkało, Tess. Proszę, uwierz mi, że gdybym mogła to odwrócić...

- Oczywiście, że ci wierzę,, przecież jesteś moją przyjaciółką - odparła pospiesznie Tess. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc.

- Jest jeszcze coś - rzekła Nan wstając nagle. - Do tej pory nie chciałam go w to mieszać, ale... ojciec mego dziecka może wam pomóc w odnalezieniu zabójcy Dennisa, To on zabrał mnie stamtąd, gdy Dennis mnie pobił. Wiem, że to nie on zabił mojego męża, ale ma różnych znajomych i może...

Widząc niepewność Nan, Matt rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- Kto to taki? - spytał.

Nan skrzywiła się lekko.

- Pewnie o nim słyszeliście. Zna go większość mieszkańców Chicago,.. - Przynęła się do nich i dodała cichutko, by nikt niepowołany jej nie usłyszał: - Nazywa się Jim Kilgallen, lecz wszyscy znają go jako Diamentowego Jima.

Matt spojrzął na nią ze zdumieniem.

- Wielki Boże!

- Znasz go? - zapytała ciekawie Tess.

- A kto go nie zna? - mruknął. - To on kontroluje większość ciemnych sprawek w Chicago... choć słyszałem, że nigdy nie macza palców w handlu żywym towarem. Jest właścicielem kilku saloonów, dwóch rozlewni alkoholu i największej rzeźni w mieście. - Popatrzył na zarumienioną Nan. - Czy pani mąż prowadził z nim jakieś interesy?

Zawahała się, lecz po chwili skinęła głową.

- Tak się poznaliśmy. Kilka razy przychodził do nas do domu... a raz podczas jego wizyty Dennis mnie uderzył. - Znowu usiadła na pryczy. - Odciągnął Dennisa ode mnie i zagroził mu, że jeżeli jeszcze kiedykolwiek mnie uderzy, znajda go w rzece z poderżniętym gardłem. - Widząc wyraz twarzy Matta, Nan potrząsnęła głową i dodała pośpiesznie: - Nie, Jim Kilgallen nie splamiłby sobie rąk krwią Dennisa. Gdyby chciał się go pozbyć, dałby mu pieniądze i wysłał do Nowego Jorku albo do Miami... albo może zmusiłby go, żeby się ze mną rozwiódł. On nie zabija swoich przeciwników.

- Jest pani tego całkowicie pewna? Chce pani ryzykować dla niego własne życie? - nalegał Matt.

- Tak, jestem tego pewna. Poza tym Jim nic nie wie o dziecku. Nie zdążyłam mu powiedzieć... - Wzdrygnęła się. - Nie miałam zbyt wiele czasu na zastanowienie się. Najpierw chciałam uciec od Dennisa, potem chciałam jakoś zdobyć rozwód... i dopiero po rozwodzie planowałam powiedzieć Jimowi o dziecku... by mógł spokojnie zadecydować, czy chce się ze mną ożenić... czy chce mieć to dziecko. On nigdy nie był jeszcze żonaty, choć zawsze kręci się dokoła niego całe mnóstwo pięknych dziewczyn... o wiele ładniejszych ode mnie. Ojej! Jakie to wszystko okropne! Moja matka wychowała mnie na porządną dziewczynę, dlaczego tak marnie skończyłam?

Matt, który widział już niejedną panienkę z dobrego domu kończącą w burdelu, nie odezwał się ani słowem. Natomiast Tess spojrzała na przyjaciółkę ze łzami w oczach.

- Nie poddawaj się! Obiecuję, że ci pomożemy!

- Chciałabym być tak silna jak ty, Tess - wykrztusiła Nan przez łzy. - Ja nigdy nie byłam mądra... Wysłałam za męża za Dennisa, bo wydawał się taki miły! A potem, po dwóch tygodniach małżeństwa, pobił mnie, bo przypaliłam grzanki na śniadanie.

- Już wtedy powinnaś była rozbić mu głowę siekierą! - powiedziała Tess z furją.

- Miałam zaledwie siedemnaście lat! Ojciec bił często i mnie, i moją matkę, gdy byłyśmy mu nieposłuszne, więc chyba po prostu przyzwyczaiałam się do tego, że mężczyźni biją kobiety.

- Spojrzała na przyjaciółkę z zaciekawieniem. - Czy nie wszystkie dziewczyny dostają baty?

- Mnie ojciec nigdy nie bił - odrzekła Tess. - Mój ojciec był wyrozumiałym i łagodnym człowiekiem... takim, jak Matt -- dodała, nawet na niego nie patrząc.

- Oj, nie sądzę, by pan Davis był taki znowu łagodny - mruknęła Nan wycierając oczy. - Czy łagodny człowiek nosi w mieście nóż myśliwski przytroczone do pasa?

- Ale ja nigdy nie biję słabszych - zapewnił ją Matt, po czym obrócił się do Tess. - A teraz naprawdę musimy już iść. Mamy mnóstwo pracy.

- Bardzo dziękuję, że mnie odwiedziliście - powtórzyła Nan. W jej oczach palił się strach, ale i rezygnacja. Widać było, że nie liczy na szybkie wyjście z więzienia, chyba że na szubienicę.

¶Matt kazał Tess poczekać na dziedzińcu więzienia, podczas gdy sam rozmówił się ze strażnikiem. Gdy dołączył do niej kilka minut później, w jego oczach nadal palił się ogień.

- Powinni byli zamknąć ją w więzieniu dla kobiet, albo przynajmniej przydzielić jej strażniczkę - burknął. - Porozmawiam z Greenem i zobaczę, co on zdziała... Ten strażnik to drań!

- Co ci powiedział? - zapytała.

- Nieważne. - Zrównali krok, a po chwili Matt dodał: - Nie przychodź tu sama.

¶Spojrzała na niego przerażona.

- Czy Nan jest z nim bezpieczna?

- Teraz już tak - odrzekł krótko. - Nie będzie ryzykował ponownego spotkania ze mną. Naczelnik policji jest moim dobrym

znajomym i jeżeli go tylko o to poproszę, zamknie drania w tym samym więzieniu, w którym teraz pracuje.

- I bardzo dobrze! - W głosie dziewczyny słychać było zawziętość.

- Ale twoja przyjaciółka wpadła w tarapaty po same uszy - kontynuował. - Nie wiem, jak uda nam się ją ocalić od stryczka. Miała niezły motyw, nikt nie może jej zapewnić alibi na czas, gdy jej mąż został zamordowany, no i jest kobietą. To wystarczy, by ława przysięgłych złożona z mężczyzn uznała ją za winną.

- To nie jest w porządku!

- A co na tym świecie jest w porządku?

Zatrzymali się na rogu ulicy.

- A co z Diamentowym Jimem Kilgallenem?

- Może i prowadzi brudne interesy, może i zabija ludzi, ale na pewno nie robi tego za pomocą nożyczek. Narzędzie zbrodni dość jednoznacznie wskazuje na kobietę. To kolejny argument przeciwko Nan.

- Może jej mąż miał kochankę?

- Może.

- Albo ktoś chciał, by wszystko wyglądało tak, jakby to Nan go zamordowała?

- Nie sądzę.

- Niby dlaczego?

Ujął ją pod ramię i poprowadził na drugą stronę ulicy.

- Bo żeby kogoś zrobić w coś podobnego, trzeba go bardzo nienawidzić, a Nan nie wydaje mi się osobą, która miałaby sporo wrogów. - Widząc jej zdziwioną minę, wyjaśnił: - Pomyśl tylko: ty sama niezbyt lubisz kobiety jako takie, z Nan od razu się zaprzyjaźniłaś. Już teraz rozumiesz?

- Tak. - Uśmiechnęła się ponuro. Szli teraz obok siebie w milczeniu, każde pograżone we własnych myślach. Po dłuższej chwili, zapytała: - Czy Diamentowy Jim nie mógł komuś zlecić zamordowania Dennisa Coliera?

- Oczywiście, ale do takiej roboty wysłałby mężczyznę, który załatwiłby sprawę nożem albo użyłby rewolweru. Nigdy nożyczek.

Tess musiała z tym zgodzić.

- Jeżeli Colier miał gdzieś na boku kochankę i ostatnio z nią zerwał, to byłby to jakiś motyw.

- Niestety, nie mamy na to żadnego dowodu. Domysły nic nam w sądzie nie pomogą. Żeby wybronić Nan, musimy zdobyć porządne dowody i świadków.

- A to nie będzie takie proste. - Tess skrzywiła się mocno.

- Czy zaprosisz mnie do swego biura?

- Naprawdę chcesz je zobaczyć?

- Tak, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Nikogo tam nie ma... większość moich agentów pracuje w terenie...

- A masz sekretarza?

- Tak... ma na imię Garner i przeszedł wraz ze mną z Agencji Pinkertona. Jest wspaniały.... szybko pisze, a na dodatek wszystko można potem odczytać.

- Jeżeli to ma być przytyk do tego, że ja piszę jak kura pazurem, to przypominam ci uprzejmie, że nigdy nie miałam czasu na kaligrafię. Musiałam zapisywać wszystkie polecenia ojca, a on był wyjątkowo niecierpliwy.

Matt uśmiechnął się na wspomnienie Harolda Mereditha.

- To był dobry człowiek... Bardzo mi go brakuje.

- Mnie też... - szepnęła cichutko. - W Montanie byłam bez niego taka samotna, że czasem myślałam, iż nie wytrzymam!

- Zawahała się krótko, po czym dodała patrząc mu w oczy. - Ale powinnam była się chwilę zastanowić, zanim wdarłam się do twojego życia. Wiem, że bardzo chcesz się mnie pozbyć... pierwszym pociągiem odesłać z powrotem do Montany. Przepraszam, że narobiłam takiego bigosu.

~ Jakiego bigosu? O czym ty mówisz?

- O twoim życiu, Matt - odrzekła smutno. - O zamieszaniu, jakie do niego wprowadziłam. Wiem, że cię krępuję... czasem przynoszę ci wstyd przed znajomymi...

- Co też ty opowiadasz?! Mnie nic nie krępuje. Poza tym lubię twoje towarzystwo. Nigdy nie należałaś do tego typu kobiet, które wiecznie siedzą w domu i robią na drutach! Nie byłabyś sobą, gdybyś od czasu do czasu nie zrobiła czegoś szalonego.

- I twoja gospodyni mnie nie lubi.

- Mnie też nie, ale jak długo płacę czynsz, może mnie sobie nie lubić. Jeżeli mnie wyrzuci, znajdę sobie pokój gdzie indziej. Chicago to duże miasto.

- Zauważyłam. Więc jak pomożemy Nan?

- Znajdziemy zabójcę jej męża.

- Razem? - Uśmiechnęła się promiennie. Matt przekrzywił głowę i spojrzał na nią ponuro.

~ A czy dasz się odwieść od pomysłu pomagania mi?

- Oczywiście, że nie!

- W takim razie musisz obiecać, że będziesz bez szemrania spełniać moje rozkazy... tak samo jak wszyscy moi podwładni.

Tess uśmiechała się promiennie. Obudziło się w niej pragnienie przygody, jakiego nie zaznała od lat.

- Doskonale, szefie! - wykrzyknęła. - Tylko mi powiedz, co mam robić!

9

Biuro Matta zrobiło na Tess wielkie wrażenie; w głównym gabinecie stało ogromne biurko, a za nim obrotowy fotel. Fotele obite były ciemnoczerwonym aksamitem, dopasowanym kolorem do wiśniowych zasłon na oknach. Na ścianie wisiał staroświecki zegar z kukułką, a na podłodze leżał wspaniały perski dywan w przepięknym ciemnowiśniowym kolorze. Na ścianach widniały fotografie Matta z różnymi znanymi osobistościami Chicago, ale nie tylko: na jednym zdjęciu Matt stał obok uśmiechniętego Theodora Roosevelta!

- Znasz prezydenta! - wykrzyknęła Tess patrząc z podziwem na fotografię.

- Nie jest, co prawda, moim osobistym przyjacielem, ale spotkaliśmy się kilkakrotnie.

Dziewczyna podeszła do ściany i przeczytała dedykację w rogu zdjęcia: „Dla Matta od Teddy'ego”.

- Jakoś nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jakich ludzi spotykasz w swojej pracy - odezwała się po chwili; potem przyjrzała się innym fotografiom i dodała: - Zdaje się, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat poznałeś całe mnóstwo sławnych ludzi.

- Pewnie tak - zgodził się spokojnie. Stał przy oknie z jedną dłonią wepchniętą w kieszeń spodni i wyglądał na ulicę. - Ale

oni wszyscy noszą buty, mówią po angielsku i co rano czeszą włosy - dodał sucho.

Tess zarumieniła się słysząc te słowa.

- Zachowuję się jak typowy wsioch, prawda? Ale z drugiej strony, przecież jestem nieoświeconą wiejską dziewczyną, czyż nie? Przez większą część życia mieszkałam z ojcem zakopana w głuszy Montany... nigdy zbyt długo nie przebywałam w mieście.

- Jednak nieźle się do miejskiego życia zaadaptowałaś - odparł patrząc na nią spod zmrużonych powiek.

- Nie jestem o tym przekonana - rzekła marszcząc brwi.

Matt spojrział na nią swymi zagadkowymi czarnymi oczyma i uśmiechnął się lekko.

- Sam nie wiem, kiedy miła wiejska dziewczyna, jaką znałem dawno temu, wyrosła na damę z wyższych sfer, którą teraz widzę przed sobą.

Tess założyła ramiona na piersi i popatrzyła na niego wyzywająco.

- No i nie jestem już tak młoda, jak kiedyś... o czym niektórzy ciągle mi przypominają - dodała z odcieniem goryczy w głosie.

- Nie o to mi chodziło. - Zmarszczył brwi i podszedł do niej. - Jesteś teraz bardziej dojrzała... Zniknął gdzieś ten młodzieńczy bunt i gorący temperament.

- Nie warto tracić panowania nad sobą. Sam mnie tego nauczyłeś.

- Ale zbyt wielkie opanowanie też nie jest dobre - powiedział patrząc jej ponuro w oczy. - Masz przede mną sekrety, Tess... a były czasy, gdy mówiłaś mi o wszystkim.

Dziewczyna przeniosła wzrok na perski dywan pod stopami.

- Nie podobałyby ci się moje sekrety - odparła spokojnie, choć w środku gotowała się z wściekłości. Jak on śmiał powiedzieć jej coś podobnego?! Przecież to on trzymał ją na dystans... to on o niczym jej nie mówił... to on unikał rozmów z nią...

Matt zacisnął dłonie w pięści.

- Ty i ja byliśmy, i jesteśmy nadal, przyjaciółmi... ale teraz jesteś już dorosłą kobietą... i potrzeba ci czegoś więcej niż mojej przyjaźni.

Spojrzała na niego z gniewem w zielonych oczach.

- Niczego mi nie trzeba! - warknęła przez zaciśnięte zęby.
- Oprócz twojej pomocy! Sama nie dam rady wyciągnąć Nan z więzienia! Musimy jakoś ocalić ją od stryczka, to teraz najważniejsze! Ale nie musisz mnie tak odpychać! Dostałam nauczkę i już nigdy więcej nie powtórzę tamtego błędu! - Odwróciła się na pięcie i szybko podeszła do drzwi. Matt patrzył za nią oszupiały. Tess spojrzała na mały zegareczek, który miała przypięty do stanika sukni. - Muszę wracać do szpitala... niedługo zaczynam służbę. Dziękuję, że pokazałeś mi swoje biuro... Było mi miło.

Skinęła uprzejmie głową i wyszła zamykając za sobą drzwi; sekretarza obdarzyła równie chłodnym i pospiesznym skinieniem głową, po czym ruszyła ku schodom.

Już na ulicy zatrzymała się na chwilę; tak naprawdę wcale nie musiała iść do szpitala - po prostu chciała uwolnić się od towarzystwa Matta. Poszła do parku i usiadła na małej ławeczce pod drzewem; przez długi czas przyglądała się gołębiom dziobiącym ziarno, które rzucali im przechodnie. Żałowała, że sama nie przyniosła okruszków chleba, by im dać. Była wykończona psychicznie... cały zapas energii zużyła na Matta, lecz do niego nic nie docierało. Był tak samo nieczuły, jak te gipsowe posązki w parku. Zimny i obojętny.

Był człowiekiem, który nie ma własnego miejsca na ziemi. Zastanowiła się, czy jej ojciec naprawdę oddał mu przysługę, oddzielając go od braci i wysyłając do miasta, gdzie musi żyć wśród białych ludzi udając jednego z nich. Teraz już nie umiałyby wrócić do życia w rezerwacie. Tess zastanawiała się, czy Matt wspomina dawne dni z nostalgią i tęsknotą. Jeżeli tak było, trzymał to w tajemnicy i nikomu się nie zwierzał.

Wreszcie wstała z ławki i poszła w kierunku stacji. Pomyślała, że pomoże Nan albo sama, albo razem z Mattem. W końcu nie była taka głupia i wiedziała, jak zabrać się do rzeczy.

Następnego dnia rano poszła do kamienicy, w której mieszkała Nan pod pretekstem roznoszenia ulotek o następnym spotkaniu kobiet domagających się równouprawnienia. Dało jej to sposobność wejrzenia W świat sąsiadów przyjaciółki.

W pierwszych dwóch mieszkaniach, do których zastukała, powitały ją przyjazne kobiety, natomiast drzwi trzeciego otworzył jej ponury mężczyzna, który stał w progu i nie chciał wpuścić jej dalej. Na szczęście zaraz pojawiła się jego żona, niepozorna kobietka o miłym uśmiechu, i zaprosiła ją do środka.

- Niech się pani nie przejmuj Humphreym, moja droga - powiedziała odsuwając męża na bok. - Odpoczywa w domu po ataku serca i jest zły, że nie może wrócić do pracy. Jest bednarzem... to nie jest ciężka praca, lecz doktor mu zabronił i już. Biedny Humphrey nie potrafi siedzieć bezczynnie w domu.

- Jak większość mężczyzn - odparła Tess z uśmiechem. Podała kobiecie ulotkę i wyjaśniła, o co chodzi w emancypacji, a potem, przy okazji, wspomniała, że jedna z członkiń ruchu mieszka w tej właśnie kamienicy.

- Ma pani na myśli panią Colier, tak? - spytała kobieta ponuro potrząsając głową. - Miłe dziecko, a ten jej mąż to taki łotr! Nieraz słyszeliśmy, jak na nią wrzeszczał, a ona tylko płakała. Kiedyś posłałam nawet Humphreya, by go uciszył. Biedactwo często chodziła okropnie posiniaczona. Nie wiem, jak ona mogła z nim wytrzymać. Zdaje się, że łajdak starał się nie bić jej po twarzy, by ludzie nie widzieli... ale nie zawsze nad sobą panował. A potem, ostatniej nocy! - Wzdrygnęła się. - Kiedy usłyszałam jego krzyki, nawet nie powiedziałam Humphreyowi, by poszedł go uciszyć... i dlatego znaleźli go dopiero rano. Może gdyby ktoś zajrzał tam wcześniej, biedaczysko żyłby jeszcze. Policjant, który tu był, powiedział, że słyszał przedśmiertny okrzyk pana Coliera...

Do końca życia tego nie zapomnę! Wykrzyknął jej imię... tylko jej imię, potem długo nic, aż wreszcie ten koszmarny wrzask!

- Czyje imię? - spytała łagodnie Tess.

- No, jak to? Swojej żony! Zawołał: „Nan!” a zaraz potem...

- Nachyliła się ku Tess i dodała scenicznym szeptem: - Podobno zamordowała go nożyczkami!

- Widziała ją pani tego wieczora? - zapytała Tess natarczywie.

- Nie. Ale słyszałam kroki na schodach, a chwilę później odgłos otwierania wejściowych drzwi. Nawet nie przystanęła, by je zamknąć... Nie... nie widziałam jej, ale inni widzieli i przysięgają, że to była kobieta. Biedny pan Colier! To nie był dobry człowiek, ale zabicie go to już przesada! Tak nie można!

Zdegustowana Tess wstała.

- Bardzo pani dziękuję.

- Ależ za co, moja droga? - zapytała kobieta patrząc na nią ze zdumieniem.

W tej samej chwili rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, a potem ciężkie kroki Humphreya w korytarzyku. Usłyszały jego gniewne mamrotanie, a po chwili uprzejme kasznięcie. Tess odwróciła się w chwili, gdy Matt stanął w drzwiach do pokoju.

- Chodźmy, Tess - rzucił krótko.

- To mój kuzyn - wyjaśniła dziewczyna. - Muszę już iść... Jeszcze raz dziękuję za rozmowę.

- Miło było mi panią poznać - odparła kobieta, po czym odprowadziła ich do drzwi i pomachała ręką na pożegnanie.

Matt uchylił kapelusza, rzucił Humphreyowi ponure spojrzenie i ująwszy Tess pod ramię, pociągnął ją korytarzem. Nie odezwał się do niej ani słowem, dopóki nie wyszli z domu i nie znaleźli się na ulicy.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?! Jak możesz sama chodzić do obcych ludzi? - W jego głosie nie było złości, tylko bezmierny chłód. Tess wołałaby, żeby na nią krzyczał.

- Przestań się wściekać - powiedziała zaciągając poły płaszcza.
- Ja tylko przesłuchiwałam świadków. Ta kobieta, którą widziałeś, mówi, że słyszała, jak tuż przed śmiercią Colier wykrzyknął imię Nan... a potem wydał z siebie koszmarny wrzask. Podobno policjanci mówili, że to był jego przedśmiertny okrzyk. - Westchnęła ponuro. - Myślisz, że Nan nas okłamała?

Matt był na nią tak wściekły, że ledwo mógł się zmusić do odpowiedzenia na jej pytanie. Z wysiłkiem przełknął ślinę, powstrzymał złość i wetknąwszy dłonie do kieszeni płaszcza, spojrzął na nią z góry.

- Policja ustaliła, że tamtego wieczora Colier siedział w mieszkaniu po ciemku. Nie paliła się ani jedna lampa, ani świeca. Na stole, przy którym siedział, leżał rewolwer. Najwyraźniej czekał na kogoś, kogo zamierzał skrzywdzić. - Zobaczywszy, że Tess chce coś powiedzieć, uniośł dłoń. - Chwileczkę... daj mi dokończyć. Z tego rewolweru nikt nie strzelał. Colier położył go na stole i zapomniał o nim, gdy w drzwiach stanął gość. Ponieważ w mieszkaniu było ciemno, nie widział, kto wszedł do mieszkania. Pewnie sądził, że to jego żona. Znalaziono go leżącego nieopodal drzwi z nożyczkami wbitymi w gardło. Pierwszy cios przeciął tętnicę i Colier wykrwawił się na śmierć w ciągu zaledwie kilku sekund. - Tess patrzyła na niego z wyczekiwaniem, więc kontynuował ponuro: - To nie była samoobrona, bo w chwili ataku Colier nie był uzbrojony. Drzwi nie były wyłamane, więc napastnikiem była prawdopodobnie kobieta... wskazują na to zarówno nożyczki, jak i to, że Colier wymówił przed śmiercią imię Nan. Nie rozumiesz? Musiał zobaczyć w drzwiach kobietą postać. To go zmyliło.

- Tak. Ale i tak wszystko wskazuje na Nan.

Matt zapiął jej płaszcz pod szyją.

- Nadal ubierasz się jak nieuważne dziecko - zauważył cierpko. Tess uśmiechnęła się leciutko.

- Kiedy byliśmy młodszy, zawsze zapinałeś mi guziki, pamię-

tasz? Widocznie nigdy nie potrafiłam zapiąć płaszcza tak, by cię zadowolić.

- Ani sukienki - dodał zamyślony. - Dwa górne guziki zawsze miałaś krzywo zapięte. Czy ty nigdy nie patrzyłaś w lustro?

Tess potrząsnęła głową.

- Nigdy mi się nie podobała moja twarz. Była taka zwyczajna i brzydka.

Spojrzał jej w oczy.

- To nieprawda,

- Miałam twarz białej dziewczynki... *nie Indianki* - wypaliła i wyszło to o wiele bardziej gorzko niż chciała. Odsunęła się od niego gwałtownie.

Matt nie wiedział, co powiedzieć; był zbyt zaskoczony, by logicznie zareagować. Czy ona nie zdawała sobie sprawy, jak jest piękna? Czy nie wiedziała, że nigdy nie miało dla niego znaczenia to, iż jest biała? Ale z drugiej strony miał niezły powód, by rozgłaszać po mieście, że nie pociągają go białe kobiety, lecz nie mógł zdradzić tego Tess. Jeszcze nie teraz.

- Lepiej będzie, jeżeli zapomnisz, że to powiedziałam - dodała ostro. *Poszła przez siebie, nawet nie oglądając się, by sprawdzić, czy Matt idzie za nią.* - W końcu byłam tylko głupią smarkulą.

Dogonił ją i zrównał z nią krok.

- Nadal nie patrzysz w lustro.

- Teraz zależy mi tylko na tym, by być schludnie i czysto ubraną - odparła szybko, wściekła i na niego, i na siebie.

- Pacjenci, którymi się zajmuję, są zbyt chorzy, by zwracać uwagę na to, jak jestem ubrana.

- Ale nie wszyscy... niektórzy przywiązują się do ciebie, jak na przykład świętej pamięci Marsh Bailey - odrzekł *Matt* po dłuższej chwili. - Podejrzewam, że w szpitalu trafiają się też samotni doktorzy - dodał nagle i ta myśl zirytowała go.

- W naszym szpitalu nie dzieje się nic takiego, co sugerujesz - *powiedziała Tess lodowato.*

- Ależ ja nic nie chciałem sugerować. - Nasunął kapelusz głębiej na oczy osłaniając się przed porywistym wiatrem. - Chcę, byś od tej pory mnie zostawiła przesłuchiwanie potencjalnych świadków.

- Znalazłam powód, by chodzić od drzwi do drzwi... Roznosiłam *zaproszenia na wiec kobiet i...*

Matt popatrzył na nią z jawnym podziwem.

- A niech mnie diabli! - mruknął cicho.

- Nie jestem idiotką, Matt! Nie chodziłam od mieszkania do mieszkania i nie mówiłam: „Przyszłam do państwa, bo prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, więc powiedzcie mi wszystko, co wiecie na ten temat”.

- Widzę.

- Tak, czy inaczej, wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Wiesz, boję się, że to jednak Nan zabiła Dennisa! Wszyscy, z którymi dziś rozmawiałam, powtarzali, że miała mnóstwo powodów, by to zrobić. Wiedzieli, że on ją bije.

- Mam nieco inny pogląd na tę sprawę - rzekł Matt. - Chcę porozmawiać z Diamentowym Jimem.

- Zastrzeli cię, jeżeli oskarżysz go o morderstwo! - wykrzyknęła Tess z przerażeniem.

- Ależ ja nie zamierzam go o *nic* oskarżać. Poza tym nie mogę ot, tak sobie, po prostu, wejść do jego biura i zacząć zadawać mu pytania. Pomyślałem, że pójde na organizowany przez niego bal dobroczynny. Zadziwiająco, że cały dochód z niego ma być przeznaczony na dotację dla sierocińca.

- Pójdiesz sam?

Uśmiechnął się lekko.

- To by wyglądało podejrzanie. Nieczęsto chadzam na tego typu imprezy, więc gdybym przyszedł sam, Diamentowy Jim pomyślałby, że prowadzę jakieś dochodzenie... może w sprawie jego domów gry. A to mogłoby ściągnąć mi na głowę całą masę kłopotów.

- Co zrobisz w takim razie?

- Wezmę z sobą towarzyszkę.

Tess odwróciła wzrok, by w jej oczach nie wyczytał zazdrości.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - mruknął gniewnie. - Na miłość boską!
W kółko ci powtarzam, że nie zadaję się z białymi kobietami!

To już mówiło samo za siebie, lecz Tess nie chciała zadawać mu bardziej osobistych pytań.

- W takim razie zamierzasz pójść na to przyjęcie w towarzystwie mężczyzny? - zapytała z ironią, na co Matt uśmiechnął się szczerze.

- Pomyślałem sobie, że ty mogłabyś pójść ze mną.

Tess zarumieniła się gwałtownie i spojrzała na niego zaskoczona.

- Ale ja nie mam żadnej wieczorowej sukni.

- Kupię ci.

Popatrzyła na niego ze złością.

- Nie ma mowy! Nie przyjmuję drogich prezentów od obcych mężczyzn, a już na pewno nie pozwolę, byś kupował mi ubrania!

- Oj, Tess, wydorosłej! - warknął niecierpliwie. - Zapomniałaś, że tu jesteś uważana za moją kuzynkę? Nie ma nic zdrożnego w tym, że kuzyn kupuje ci sukienkę.

Kuzyn... Hmm... Czy kiedykolwiek będzie między nimi coś więcej?

- Poza tym... - dodał Matt widząc jej minę - ... to tylko interesy. Chodzi o wyjaśnienie morderstwa Dennisa Coliera, pamiętasz? - Potem dodał patrząc prosto przed siebie: - Niedaleko jest taki mały sklepik... Kiedyś prowadziłem pewną sprawę dla właścicielki... to bardzo miła kobieta. Na pewno ją polubisz. Sądzę, że dobierze ci piękna suknię.

Dziewczyna przycisnęła torebkę do piersi; miała bardzo mało pieniędzy, lecz dumy aż za nadto.

- Kupię materiał i jakiś wykrój, i sama uszyję sobie suknię.

- Nie ma mowy. W Chicago ludzie wyjątkowo zwracają uwagę na to, co kto nosi. Poza tym bal charytatywny jest największym możliwym zgromadzeniem snobów!

Tess popatrzyła uważnie na jego elegancki garnitur, doskonale skrojony płaszcz i wysoki kapelusz.

- Rozumiem.

Matt bez mrugnięcia patrzył jej w oczy.

- Chciałaś wiedzieć, jak dopasować się do życia w mieście. Właśnie tak.

- Postaram się nie sprawić ci zawodu.

- Dzięki - odrzekł sucho.

Tess przeboleła już sprawę kupna sukni i wróciła myślami do przyjaciółki.

- A jeżeli Nan naprawdę to zrobiła?

- Zostanie skazana na karę śmierci... ale to nie zmienia faktu, że musimy zrobić dla niej, co w naszej mocy.

- Dziękuję ci, Matt - powiedziała po długiej ciszy.

Nie odpowiedział; po paru minutach zatrzymał się przed wystawą bardzo eleganckiego sklepu.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknęła Tess spoglądając na manekiny stojące na wystawie. - Na miły Bóg, Matt! Przecież te suknie kosztują więcej niż ja zarabiam przez miesiąc!

- Ale są warte swojej ceny - odrzekł bez mrugnięcia.
- Chodźmy.

Otworzył przed nią drzwi, a gdy znaleźli się w środku, podeszła do nich elegancka dama w pięknej sukni.

- Czym mogę służyć, *monsieur* Davis? - spytała po wstępnych powitaniach i obrzuciła figurę Tess krytycznym spojrzeniem.

- To moja kuzynka - powiedział Matt. - Potrzebujemy dla niej wieczorowej sukni.

- Nazywam się *madame* Dubois - przedstawiła się dama z uśmiechem. - Myślę, że wiem, co się pani spodoba. Proszę chwilkę poczekać - dodała i pospieszyła na zaplecze sklepu.

Wróciła niosąc najpiękniejszą suknię z białej tafty, jaką Tess w życiu widziała. Rękawy i spódnica przyozdobione były błękitnymi i blad różowymi wstążkami i koronką.

- Zapiera dech w piersi, nieprawdaż? Została zrobiona dla pewnej klientki, która zbyt szybko nabrała wagi, by móc się nią cieszyć. - Dama uśmiechnęła się przebiegle. - Ale, jak sądzę, dziecko sprawi jej więcej radości niż suknia. Proszę tędy, niech *mademoiselle* przymierzy.

Poprowadziła Tess na zaplecze sklepu, gdzie znajdowała się mała garderoba. Zamknęła za nią drzwi i zostawiła ją w spokoju.

Parę minut zajęło Tess zdjęcie wielu warstw ubrań, a gdy wreszcie nałożyła suknię, była zaskoczona, jak wspaniale na niej leży. *Madame* Dubois wróciła akurat na czas, by pomóc zapiąć ostatnie haftki na plecach.

- Będzie pani potrzebna pomoc przy ubieraniu, ale na pewno znajdzie pani jakąś damę, nieprawdaż, moja droga?

- Oczywiście; mieszkam na stacji - odparła Tess. - Wspaniale pasuje! Czy dobrze w niej wyglądam? - zapytała nerwowo, wyglądając stanik. - Chodzi mi o to, czy nie jest zbyt wycięta?

- Dla dziewczyny z biustem takim, jak pani, *mademoiselle*, jest doskonała - powiedziała z uśmiechem *madame* Dubois. Faktycznie, suknia leżała doskonale. Jasnowłosa Tess w tym stroju zapierała dech w piersi z wrażenia. - Chodźmy, pokażemy panu...

- Nie, nie! Proszę! - Tess przyłożyła dłonie do piersi.

- Aha, rozumiem. Wstydzi się pani, że kuzyn zobaczy ją w takiej sukni... pewnie przeznaczona jest tylko dla wielbiciela! Nic mu nie powiem - wyszeptwała. - To będzie nasza tajemnica. Teraz zostawię panią... niech się *mademoiselle* ubierze... ale najpierw zdejmijmy suknię, bym mogła ją zapakować. Zaraz po przyjściu do domu musi ją pani powiesić na wieszaku, by się nie pogniotła! Rozumie pani?

- Oczywiście - odrzekła Tess. Suknia bardzo jej się podobała...

musi ją mieć, choćby miała kosztować tyle, co jej roczne wynagrodzenie! Czuła się w niej pociągająca i piękna.

Kiedy wreszcie wynurzyła się z przymierzami, Matt nadal cierpliwie czekał.

- Masz - powiedział podając jej pudło z suknią. - Możesz to ponieść?

- O, tak! - Opiekuńczym gestem ujęta pudełko. - To najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek miałam!

- Dodałam też parę długich rękawiczek, moja droga - rzekła *madame* Dubois. - Ale musisz mieć jeszcze pasujące pantofelki.

- Na pewno znajdę jakieś w domu. - W Tess tliła się jeszcze resztką dumy.

- Doskonale! W takim razie, do widzenia! I życzę udanej zabawy!

- Dziękuję! - Tess uśmiechnęła się do damy z wdzięcznością i ruszyła za Mattem.

Kiedy znaleźli się z powrotem na ulicy, ujął ją pod ramię i zaprowadził do sklepu z butami. Nie dał jej spokoju, dopóki nie wybrała pantofelków idealnie pasujących do sukni. Potem zatrzymali się w jeszcze jednym sklepiku, gdzie kupili małą satynową torebkę i kościane grzebienie, którymi modne damy ostatnio upinały włosy.

~ Wydałeś na mnie stanowczo za dużo pieniędzy - narzekała Tess, gdy jechali do domu wynajętym powozem.

- Nie możesz iść na bal w łachmanach, Kopciuszkę - odparł.

Nawet na niego nie spojrzała.

- Nie mam szklanych pantofelków i o północy nie zamienię się w myszkę!

- To konie od karety zamieniły się w myszy - poprawił ją łagodnie.

Pomógł jej wnieść pakunki do domu; w hallu spotkali panią Mulhaney, która popatrzyła na nich z jawną ciekawością.

- To suknia wieczorowa - poinformowała ją podniecona Tess.

- Kuzyn Matt zabiera mnie na bal dobroczynny!

- No i dobrze! Już najwyższa pora, byś zaczęła bywać między ludźmi, moja droga - odrzekła gospodyni. - Nic tylko pracujesz i chodzisz na te okropne zebrania!

- Ma pani całkowitą rację - dodał Matt.

Położył pakunki w pokoju na łóżku i uchyliwszy kapelusza, wyszedł. Tess nie zobaczyła go do wieczora.

Przez kilka następnych dni Tess nie myślała o niczym innym niż pójście z Mattem na bal. Może i był to niezbędny krok, by pomóc Nan, ale był to także pierwszy bal w jej życiu. Tess powiesiła suknię w szafie, lecz często podchodziła do niej i dotykała materiału rozmyślając o tym, jak pięknie w niej wygląda. Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że kiedykolwiek pójdzie z Mattem na prawdziwy bal.

W dzieciństwie przeczytała bajkę o Kopciuszku i czasem zastanawiała się, jak to by było, gdyby miała piękną suknię i czarującego wielbiciela, który zabierałby ją na bale. Co prawda w Montanie odbywały się potańcówki w stodole szeryfa, ale gdzie im tam do prawdziwego balu!

Tess liczyła dni do upragnionego wieczora i harowała w szpitalu, starając się nie pamiętać, że gdyby nie sprawa morderstwa Coliera, Matt nigdy nie zabrałby jej na taką zabawę.

Aż wreszcie nastała sobota i przy pomocy pani Mulhaney Tess ubrała się w swoją piękną suknię. Gospodyni była zafascynowana jej pięknem, a jednocześnie zszokowana tym, jak nisko wycięty jest stanik.

- Musisz mieć narzutkę, moja droga ~ powiedziała autoritatywnie. - Mam taką futrzaną... z norek... pożyczę ci. Będzie wspaniale pasować do tej sukni!

- Z norek! Och, nie mogę! - zaprotestowała Tess słabo.

Pani Mulhaney delikatnie poklepała ją po ramieniu.

- Mężczyźni nigdy nie myślą o takich rzeczach, a przecież

wieczorami bywa bardzo zimno. Nie powinnaś marznąć. Zatem, przyniosę narzutkę!

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, Tess podeszła do lustra i poprawiła grzebień podtrzymujący jej fantazyjną fryzurę. Ledwo rozpoznała piękną, elegancko ubraną kobietę, która patrzyła na nią z lustra. Miała nadzieję, że spodoba się Mattowi.

Wróciła pani Mulhaney i pomogła jej włożyć narzutkę. Potem przyjrzała się dziewczynie krytycznie i powiedziała:

- Wyglądasz pięknie... A perły doskonale pasują do sukni - dodała z podziwem.

- Należały do mojej babki - wyjaśniła Tess dotykając naszyjnika. - Jestem z nich bardzo dumna. -

- Nie wątpię. Baw się dobrze, moja droga.

- Dziękuję pani bardzo - powiedziała dziewczyna. - I bardzo dziękuję, że pożyczyła mi pani tę narzutkę. Obiecuję, że będę na nią uważać.

Pani Mulhaney kiwnęła dziewczynie dłonią na pożegnanie.

| Matt czekał na nią u stóp schodów.

- Przecież się nie spóźniłam - odezwała się Tess obronnym tonem, widząc, że przechadza się niecierpliwie.

i Odwrócił się, spojrzał na nią... i głos uwiązał mu w gardle. Nigdy w życiu nie widział równie pięknej kobiety. Chciał porwać ją w ramiona i unieść jak najdalej stąd, tak daleko, by nie mógł jej zobaczyć żaden inny mężczyzna. Odetchnął głęboko, zaskoczony własną reakcją. Czyżby był zazdrosny o małą Tess?

10

Dziwne spojrzenie Matta wytrąciło Tess z równowagi tak bardzo, że w zdenerwowaniu potknęła się i omal nie spadła z ostatniego schodka. W ostatniej chwili złapała się poręczy.

- Nie miałam odpowiedniej narzutki - odezwała się nerwowo zaciągając poły wierzchniego okrycia, by Matt nie zauważył nisko wyciętego stanika. - Pani Mulhaney pożyczyła mi tę...

- Pięknie wyglądasz - odrzekł Matt ochryple. Jego zazwyczaj ponurą twarz rozjaśniło uczucie podziwu.

Tess patrzyła na niego zaskoczona; po raz pierwszy w życiu Matt ją podziwiał, a to było wspaniałe uczucie. Sprawił, że czuła się jak Kopciuszek przeobrażony nagle w księżniczkę.

Ale już po sekundzie Matt przerwał magię chwili, pytając krótko:

- Idziemy?

Miał na sobie pięknie skrojony smoking, białą koszulę i wypolerowane buty. Narzuciwszy pelerynę, wziął w lewą rękę jedwabny kapelusz i laskę o srebrnej gałce, a potem ujął Tess pod ramię i wyprowadził na ulicę. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie wyglądał tak elegancko.

Kiedy jechali wynajętym powozem do hotelu, w którym miał odbyć się bal, zauważyła z niepokojem, że Matt przygląda się jej z uporem. Poruszyła się niespokojnie.

~ Jakoś nie przyszło mi do głowy, że nie masz odpowiedniego do sukni płaszcza... Bóg jeden wie, dlaczego założyłem, że musisz mieć coś na takie okazje.

- Nie miałam jeszcze powodu... - Odkaslnęła i zaczęła inaczej: - Nie jest mi potrzebny elegancki płaszczyk, bo przecież nie chodzę na bale.... Podejrzewam, że to pierwsza i ostatnia tego typu okazja w moim życiu.

Matt wyjrzał przez okno; wiedział, że jeżeli będzie się jej zbyt długo przyglądać, straci swoje słynne opanowanie. Zawsze uważał, że jest śliczna, nawet gdy biegła w starych spodniach ojca lub chodziła w wyblakłych sukienkach. Ale tego wieczoru była wyjątkowo pociągająca i to doprowadzało go do szału. Zdawało się, że bardziej niż on pasuje do wyrafinowanego towarzystwa. Zważywszy na jego poczucie niższości, jej dzisiejsza elegancja tylko podkreśliła dzielące ich różnice... przez co Matt poczuł się jeszcze bardziej winny. Już dawno powinien był jej zdradzić sekret, jaki nosił w sercu... ale wiedział, że nie może tego zrobić. Miał prawo jej pożądać, lecz ona nie powinna nic o tym wiedzieć.

Tess bardzo chciała dobrze się bawić... więc postanowiła, że nie będzie zwracać uwagi na humory Matta. Przecież na pewno ktoś poprosi ją do tańca. Trudno, niech Matt robi, co mu się żywnie podoba... nawet ją ignoruje. Do diabła! Dlaczego on nie widzi, jak bardzo ją rani?

Hotel tonął w światłach. Wytworne pary wchodziły powoli po szerokich schodach i wymieniały uprzejme pozdrowienia. Na podejździe stały czarne lśniące powozy, do których zaprzęgnięte były prześliczne konie w złoconych uprzężach. Co najmniej dwie pary przybyły automobilami... Tess nigdy dotąd nie widziała tylu bogatych ludzi zgromadzonych w jednym miejscu. Była zaszokowana i zachwycona zarazem.

Matt trzymał ją pod ramię. W pewnej chwili uszczypnął ją lekko.

- Nie gap się tak - burknął ostro. - To tylko ludzie.

- Ale ja nigdy jeszcze nie widziałam takich ludzi - odparła, wyraźnie zafascynowana.

- No, jasne, że nie - rzekł jadowicie. - *Czegóż* można się spodziewać po dziewczynie wychowanej w rezerwacie?

Nadepnęła mu na stopę i uśmiechnęła złośliwie, gdy skrzywił się z bólu.

- Może po prostu zostawisz mnie tu, kochany kuzynie?

- zapytała słodko. - Na pewno znajdzie się ktoś, kto z przyjemnością dotrzyma mi towarzystwa, żebyś ty nie musiał spełniać tego ponurego obowiązku!

Pokojówka wzięła od niej narzutkę, a gdy Matt zauważył, jak bardzo wycięta jest jej suknia, wstrzymał oddech. Gdyby o tym wiedział, nigdy nie pozwoliłby jej kupić! Co prawda musiał przyznać, że Tess wygląda w niej jak księżniczka.... Nagle poczuł, że jest tak podniecony, iż jego ciało pionie!

Zaczął coś mówić, lecz w tej samej chwili podszedł do nich młody człowiek. Ujął dłoń Tess i podniósł do ust. Nazywał się Michael Boson i był jednym z pacjentów, którymi Tess zajmowała się w szpitalu. Niedawno go wypisano i dziewczynie brakowało jego przyjacielskich docinków i niewinnych flirtów.

- Całe życie na ciebie czekałem, piękna pani - powiedział Michael z zachwytem. - Tańcz ze mną do białego rana, a potem po drodze mlecznej polecimy aż na Księżyc!

Tess, zadowolona, że nie musi już znosić humorów Matta, uśmiechnęła się do młodzieńca, po czym klepnęła go po ramieniu wachlarzem z piór.

- Cóż za pochlebca! - odparła lekko. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo!

- Nie masz serca... i to ty, która wyleczyłaś mnie z zapalenia płuc! - Odwrócił się do Matta i obrzucił go taksującym spojrzeniem. - Czy to on? Powinienem był się spodziewać. Wygląda jak płatny morderca. Założę się, że ma przy sobie broń.

- Michael, przestań wreszcie! - błagała Tess.

- Michael Boson do pańskich usług - powiedział młodzieniec kłaniając się zgrabnie. - A pan jest kuzynem Mattem, tym słynnym detektywem. Poznaję pana... Tess wiele mi o panu opowiadała. Opiekowała się mną w szpitalu, a potem okrutnie odrzuciła mą miłość tylko dlatego, że jestem młodszy od niej o cztery lata! Nie sądzę, by wiek był w miłości istotny, ale ona uważa inaczej. Prawda, moja mała? - dodał szczerząc zęby w uśmiechu.

- Tak, to mój kuzyn, Matt Davis - odparła dziewczyna, po czym położyła dłoń na ramieniu Michaela, wdzięczna mu za wyratowanie jej z opresji. Nie potrafiła spojrzeć Mattowi w oczy. - Zatańcz ze mną, Michaelu! Matt zgodził się przyprowadzić mnie tutaj, ale nie chciałabym, żeby przeze mnie nudził się jak mops!

- Cała przyjemność po mojej stronie. Niech się pan nie martwi! Zajmę się pańską kuzynką, a pana zaproszę na wesele!

Porwał dziewczynę na parkiet, zanim Matt zdążył się odezwać. Tess roześmiała się i podażyła za nim, lecz przy pierwszych krokach na parkiecie zawahała się.

- Nie znam tego tańca... bardzo mi przykro - powiedziała cicho. - Mógłbyś mnie nauczyć?

- Wielkie nieba, dziewczyno! Gdzieś ty się uchowała? - zapytał szczerze zaskoczony.

- Wychowałam się na Zachodzie - wyjaśniła. - Mieliśmy co prawda potańcówki w mieście, ale nie przypominały tutejszej gali.

Michael wyszczerzył zęby.

- To walc... wcale nie jest trudny. Zaraz ci pokażę. To idzie tak...

Matt patrząc na nich miał mord w oczach. Najchętniej podszedłby i wyrwał Tess z objęć młodzieńca.

Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił głowę i tuż obok siebie zauważył Diamentowego Jima - Kiłgallen stał z cygarem w dłoni i przyglądał mu się głęboko osadzonymi, szarymi oczyma.

Był to wysoki, postawny mężczyzna o ciemnych, falujących włosach i cienkim wąsiku. Jego skóra była opalona na oliwkowy kolor, jednak nie aż tak ciemna, jak ciało Matta. Miał na sobie wytworny smoking... Matt jeszcze nigdy nie widział go z tak bliska i teraz od razu zorientował się, że nie uda mu się oszukać tego człowieka fałszywą historyjką o tym, jak to chce wesprzeć sierociniec.

- Wiem, kim jesteś - odezwał się Diamentowy Jim po długiej chwili. Potem podszedł do Matta i stanął tuż przed nim. - Ty jesteś Davis.

Matt skinął głową.

- Wiesz, kim jestem?

Matt ponownie skłonił głowę.

Diamentowy Jim roześmiał się cicho.

- A myślałem, że to ja niewiele mówię. Czy ty się kiedykolwiek odzywasz?

- Czasami.

- Hmm... żadnego akcentu. Podobno jesteś wszystkim, od rosyjskiego carewicza do rumuńskiego Cygana. - Szare oczy Diamentowego Jima zwięzły się. - Ale to wszystko bujda. Przypominasz mojego dziadka. Pochodził z plemienia Cree.

Matt uniósł brew.

- Ja nie.

- Nie... ale jesteś Indianinem - powiedział Diamentowy Jim z cichą pewnością siebie. - Człowiek o niezwykłej inteligencji i odwadze, jak to mówią na mieście.

- Mówią też inne rzeczy - odparł Matt spokojnie.

Diamentowy Jim powoli skinął głową.

- Aha. Na przykład o tym twoim nożu myśliwskim.

Matt roześmiał się cicho.

- Już od dawna go nie noszę. Sama moja reputacja wystarczy, by otworzyć każde drzwi. Nie muszę stosować gróźb...

- W rzeczy samej - zgodził się gospodarz balu. - Twoja

kuzynka jest dobrą przyjaciółką Nan Colier. Słyszałem, że niedawno oboje odwiedziliście ją w więzieniu... i że staracie się jej pomóc.

- Taak - odparł Matt poważnie. - Wpadła w nie lada kłopoty. Nie tylko dlatego, że w jej małżeństwie działo się nie najlepiej, ale i dlatego, że morderstwa najwyraźniej dokonała kobieta.

- Chodzi o te nożyczki, tak?

- Tak.

Diamentowy Jim zaciągnął się cygarem i myślał przez dłuższą chwilę.

- Niech to wszyscy diabli!

- Jest jeszcze coś.

- I to bardzo złego, sądząc po twoim tonie.

Matt nie wiedział, jak dalece może ufać temu człowiekowi. Nan Colier była w nim szczerze zakochana, ale uczucia hazardzisty względem niej nadal pozostawały tajemnicą. Zdawał się być mężczyzną, który nie ma zbyt dobrego zdania o kobietach... a jednak zawsze miał kilka kochanek naraz, i to bardziej eleganckich i lepiej wykształconych niż Nan.

- No, dalej! - ponaglił go Jim Kilgallen, gdy Matt zawahał się. - Wykrztuś to z siebie!

- Nan jest w ciąży.

Jim odwrócił wzrok, lecz jego wściekłość była jasno wymalowana na twarzy. Znowu zaciągnął się cygarem.

- A to parszywy sukinsyn! - mruknął pod nosem.

- Że co, przepraszam?

- Colier - wyjaśnił. - Ktoś powinien był go zabić już wiece temu! Jeżeli Nan jest w ciąży, to dlatego, że on ją zmusił! Ona go nienawidziła!

Świadomy tego, że ludzie im się przyglądają, Matt przysunął się bliżej do swego rozmówcy. Wydawało się, że i Jim myślał o Nan poważnie. Matt postanowił zaryzykować.

- To nie Colier jest ojcem jej dziecka.

Słyszając te słowa, Kilgallen nagle zmienił się; jego szare oczy, które jeszcze przed chwilą błyszczały jak dwa stalowe ostrza, złagodniały... Rozpogodził się.

- Tak powiedziała? - spytał Jim z niedowierzaniem. - Powiedziała ci, że to jest dziecko Coliera?

- Powiedziała to Tess - wyjaśnił Matt. - A ona mi powtórzyła.

Jim zatknął dłoń za pasek i zaciągając się cygarem patrzył gdzieś daleko w przestrzeń; na jego ustach błąkał się tajemniczy uśmiech.

- Nan uważa, że to tylko utrudni całą sprawę - odezwał się Matt.

Diamantowy Jim spojrzał na niego z dziwną miną.

- Nie, jeżeli wszyscy uwierzą, że to dziecko jej zmarłego męża - powiedział natychmiast. - Nikt nie skarże kobiety w ciąży. Toż przed sądem zebrałyby się żądny krwi tłum. Żaden sędzia nie wróciłby żywy do domu!

- Pewnie masz rację, ale Nan nie powinna siedzieć w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniła.

Jim spojrzał na Matta przenikliwie.

- Ja wiem, że ona tego nie zrobiła, ale dlaczego ty jesteś o tym przekonany?

- Bo mam za sobą lata praktyki z kryminalistami - odrzekł Matt po prostu. - W takiej robocie człowiek uczy się słuchać instynktu.

- W mojej też - odparł tamten szczerząc zęby w uśmiechu.

- Oczywiście z twojego punktu widzenia ja też jestem kryminalistą.

- Kryminalistą! Toż jesteś atrakcją turystyczną miasta numer jeden! Ludzie przyjeżdżający do Chicago oglądają najpierw ciebie, a dopiero potem ratusz!

- Cóż, jaki jestem, taki jestem, ale nie uznaję zabijania niewinnych ludzi. - Potem strząsnął popiół z cygara do po-

pielniczki i zapytał: - A skoro już przy tym jesteśmy, to jak chcesz udowodnić niewinność Nan?

Matt wsadził obie dłonie do kieszeni.

- Jeszcze nie wiem. Pracuję nad tym... zatrudniłem moich najlepszych ludzi, by rozpytali w sąsiedztwie, czy ktoś czegoś nie widział.

- Miło z twojej strony.

- Wcale nie - odparł Matt szczerze, spoglądając na Tess, która zadawała się świetnie bawić w towarzystwie młodego Michaela Bosona. - Zostałem do tego zmuszony. Ona... - ruchem głowy wskazał z obrzydzeniem na roześmianą Tess - ...chodziła od drzwi do drzwi i wypytywała sąsiadów Nan. Obawiałem się, że pewnego razu wpadnie na jakiegoś faceta, któremu się *to* nie spodoba.

Jim spojrzął ciekawie na Tess.

- Ładna dziewczyna. Szkoda, że jesteście spokrewnieni.

- Nie jesteśmy - rzekł Matt krótko. - Ta historyjka zaoszczędziła nam mnóstwa wyjaśnień, gdy Tess przyjechała do Chicago. Jej ojciec niedawno zmarł... i dziewczyna została sama na świecie. Ja jestem jedynym przyjacielem rodziny.

- Założę się, że to ciekawa historia.

- Jestem Siuksem. W całym Chicago nikt, oprócz Tess, o tym nie wie.

- Mężczyźni wymienili spojrzenia, a po chwili milczenia Jim odezwał się spokojnie:

- A ja jestem małżem. Wszystko, co usłyszę, zachowuję dla siebie.

Matt nie odezwał się. Z coraz większą złością patrzył na tańczącą Tess, Diamentowy Jim podał mu pudełko cygar. Matt przyglądał się im bez słowa.

- Bez obrazy.

Dopiero po paru sekundach Matt zrozumiał, o co tamtemu chodzi: sklepy z cygarami zwyczajowo ustawiały przed wejściami

drewniane figury Indian. Kiedy wreszcie to do niego dotarło, wybuchnął gromkim śmiechem. Diamentowy Jim także się roześmiał.

- Miło się przekonać, że nie masz tylko jednej miny wymalowanej na stałe na twarzy. Zapal.

- Dzięki. Przepadam za dobrymi cygarami.

- Te są z Hawany... kupuję tylko najlepsze. - Podał mu ogień, za co Matt podziękował uprzejmie. - Nie ma sprawy, nie chciałem, by doszło tu do jakiejś bójki. Jeżeli będziesz miał zajęte ręce, może nie zamordujesz tego dżentelmena, który tańczy z twoją... kuzynką.

Matt popatrzył na niego ponuro.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Może i nie, ale twoja mina, gdy na nich patrzysz, mówi sama za siebie. Podejrzewam, że nie myślisz się z nią żenić, co?

- Ona jest biała - odrzekł Matt odwracając wzrok.

- Ty także - powiedział cicho Jim Kilgallen. - To nie zawsze jest kwestia koloru skóry. Żyłeś wśród białych przez bardzo długi czas... Chyba nie mógłbyś już wrócić do życia, jakie pędzą twoi bracia?

Matt zaciągnął się z rozkoszą; cygaro było świetne.

- Gdybym został w rezerwacie, pewnie bym już nie żył. - Odszukał wzrokiem Tess. - Choć może tak byłoby lepiej?

- Bzdura!

- A, do diabła! - Matt westchnął ciężko,

Diamentowy Jim skinął głową przechodzącej kobiecie - eleganckiej damie o zimnych oczach. Obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem, którego Kilgallen nie odwzajemnił. Zauważył ciekawy wzrok Matta i wzruszył ramionami.

- Wiesz, kto jest ojcem dziecka Nan, prawda? - Ten skinął głową, na co Jim uśmiechnął się ciepło. - Nigdy wcześniej nie myślałem o tym, by mieć dziecko. Dopiero kilka miesięcy temu... Nan lubi gotować i zajmować się domem. Kiedy zmywa naczynia,

zawsze coś nuci pod nosem, a w jej oczach zapalają się ogniki przy każdym uśmiechu. Miałem więcej kobiet niż mogę zliczyć, ale to wszystko były błahostki. A z Nan było inaczej. Pragnąłem jej, odkąd tylko ją zobaczyłem. Im dłużej patrzyłem, jak Colier ją iraktuje, tym większą miałem ochotę zabić łajdaka i ofiarować jej lepsze życie. - W jego oczach zapaliły się niebezpieczne błyski, lecz zaraz zgasły. - Nie zabiłem go, choć aż mnie świerbiło. Tamtego fatalnego wieczora Colier pobił Nan... a ja jego. Zrzuciłem go ze schodów. Twoi współpracownicy powiedzą ci o tym, bo widzieli mnie wtedy niektórzy sąsiedzi. Potem zabrałem ją stamtąd i zawiozłem do hotelu, załatwiłem z jej siostrą, że się nią zaopiekuje. Wcześniej przyłożyłem Colierowi... Umówiliśmy się, że Nan nie powie o tym szwagrowi... tylko to, że Dennis ją pobił.

- Czy wiesz, w jakim świetle to cię stawia?

- Aha. Jestem teraz podejrzanym numer jeden. Chyba że weźmiesz pod uwagę to, że gdybym chciał zabić tego drania, zrobiłbym to patrząc mu w oczy. Zabiłbym Coliera gołymi rękami, a nie nożyczkami.

- Dziękuję, że powiedziałeś mi prawdę. Postaram się nie mieszać cię w całą sprawę. Mam przyjaciół w prefekturze.

- Ja nie mam żadnych przyjaciół - odrzekł Jim spokojnie. - Opłacam natomiast paru urzędników w Ratuszu... Tak mówią między nami, może uda się nam wyciągnąć Nan z tego wszystkiego bez zbytniego szumu.

- Ależ z ciebie łotr.

- Aha... bardzo się staram. Ale nie przy Nan. - Odetchnął głęboko. - To jedyna osoba, jaką znam, która naprawdę jest mną zainteresowana. Nie moimi pieniędzmi, nie moją władzą, tylko mną samym. To doprawdy zadziwiające uczucie. Nigdy wcześniej nikt mnie nie kochał...

W rzeczy samej było to zadziwiające - Matt nigdy by nie przypuszczał, że kobieta pokroju Nan może ujarzmić mężczyznę takiego jak Diamentowy Jim. Matt słyszał historie o nim od

czasu, gdy przyjechał do Chicago, ale nikt nigdy nie ośmielił się bąknąć, że Jim Kilgallen ma miękkie serce.

- Zaszokowałem cię, co? - zapytał Jim z uśmiechem, najwyraźniej z siebie zadowolony. - Cóż, podejrzewam, że prędzej czy później wszystkich nas to czeka. Kiedy Nan już wyjdzie z więzienia, ożenię się z nią... Nie myśl sobie, że nie. Kupię jej ładny dom i śliczne fatałaszk... Będę ją rozpieszczęć, ile wlezie. ~- Skrzywił się lekko. - Może nawet skończę z nielegalnymi interesami? Nie chcę, by ktokolwiek pomiatał moim dzieckiem tylko dlatego, że ja prowadzę taki, a nie inny biznes.

Matt roześmiał się słysząc te słowa.

- Jeżeli komukolwiek powtórzysz naszą rozmowę, znajdą cię pływającego w rzece brzuchem do góry - warknął Jim, ale Matt nadal szczyrzył zęby w uśmiechu. Kilgallen poruszył się niespokojnie. - Bardzo chciałbym odwiedzić Nan w więzieniu, lecz nie chcę pogorszyć sprawy. Jeżeli zobaczą nas razem, to może to doszczętnie zniszczyć jej reputację. Mierzi mnie myśl o tym, że ona siedzi samiuteńka w celi, podczas gdy my bawimy się na balu.

- Przynajmniej cel jest zbożny.

Jim Kilgallen wzruszył potężnymi ramionami.

- Taak... Wszystko idzie dla sierocińca, w którym się wychowałem. Potrzebny jest im nowy dach... i piece. - Po raz pierwszy Matt zobaczył wszystkie lata tego człowieka wypisane na jego twarzy. - A ty masz rodzinę? - spytał nagle Jim.

- Ojciec zginął pod Little Big Horn., a matka i siostra pod Wounded Knee. - W oczach Matta zagościł smutek i ból. - Tess jest teraz całą moją rodziną - dodał spoglądając w jej kierunku.

Diaamentowy Jim także tam popatrzył.

- No cóż, niedługo i ona cię opuści, jeżeli szybko czegoś z tym nie zrobisz - powiedział wskazując cygarem na Tess, która stała pod ścianą wraz z przystojnym młodym mężczyzną. Michael Boson trzymał ją poufale pod ramię i opowiadał coś w zapamiętaniu.

- Najwyraźniej go lubi - burknął Matt przez zaciśnięte zęby.
- Może i tak - odrzekł Jim Kilgallen. - Ale kiedy tylko na nią nie patrzysz, wodzi za tobą wzrokiem... Przyglądała ci się przez cały czas, od kiedy tylko zaczęliśmy rozmawiać.

- Naprawdę?

Diamentowy Jim ponuro potrząsnął głową.

- Gdyby jakaś kobieta patrzyła na mnie z taką miłością oczach, nic by mnie nie obchodziły dzielące nas różnice.

Wiesz Matt, wyjątkowy z ciebie dureń!

- O, przepraszam pana bardzo!

- Spokojnie, nie masz na sobie barw wojennych! - Diamentowy Jim roześmiał się krótko, i spokojnie czekał, aż Matt odzyska panowanie nad sobą. - Wiem, że dajesz pieniądze na cele dobroczynne, lecz nigdy nie chodzisz na bale. Dlaczego dziś tu przyszedłeś?

- Z kilku powodów. Po pierwsze, by dowiedzieć się tego, co już mi powiedziałeś... Upewniłem się, że mogę cię skreślić z listy podejrzanych i zająć się szukaniem prawdziwego mordercy.

- Dzięki.

Matt uśmiechnął się widząc zirytowaną minę Jima Kilgallena.

- Przecież do tej pory znałem cię tylko z opowieści plotkarzy. Człowiek o twojej reputacji spokojnie mógłby popełnić to morderstwo... Chciałem\slę upewnić, że to jednak nie ty.

- Powiedziałeś, że były jeszcze inne powody.

- Taak. - Matt rozejrzał się dokoła i przysunął bliżej do potężnego mężczyzny. - Miałem nadzieję, że będziesz w stanie zrobić porządek ze strażnikiem, który pilnuje Nan.

- O co chodzi?!

- Nie spodoba ci się to. Czyni jej nieprzystojne propozycje... I ja, i szwagier Nan usiłowaliśmy interweniować... odsunąć strażnika na inny oddział, przenieść Nan. Wszystko bezskutecznie, choć wiemy, że mają w tym więzieniu strażniczki. Niestety, syn tego drania chodzi do szkoły z synem burmistrza. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Taak. - W głosie Jima czaiła się taka zimna wściekłość, że przez chwilę Matt uwierzył we wszystkie historie, jakie kiedykolwiek słyszał o tym człowieku. - Dopilnuję tego.

- Dzięki. Mam paru wysoko postawionych przyjaciół, ale to nic w porównaniu z twoimi wpływami. - Matt wzruszył ramionami.

- Przyzwyczaj się do gościa - mruknął Diamentowy Jim. - Nie zapomnę ci tego, co robisz dla Nan.

- Właściwie robię to dla Tess - odrzekł Matt po dłuższej chwili. - Jest wyjątkowo lojalna w przyjaźni. Poza tym bardzo lubi Nan. Tess nie ma zwyczaju prosić nikogo o przysługę... a w tej sytuacji błagała mnie o pomoc. Nie potrafiłem jej odmówić.

- I pozwolił jej odejść z tym fagasem? - spytał Jim wskazując ruchem głowy Tess i jej młodego partnera.

- Zdaje się, że ma na to ochotę - powiedział Matt ponuro. - Dawno temu nauczyłem ją strzelać z łuku i mówić w narzeczu Siuksów. Wtedy bardziej przypominała dzikiego chłopaka, niż panienkę z dobrego domu. A potem ja wyjechałem do Chicago i wszystko się zmieniło. - Z ogromnym bólem patrzył na roześmianą Tess flirtującą z Michaeliem Bosonem. - Ona nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wyglądałoby jej życie, gdyby się ze mną związała... i gdyby ludzie w Chicago dowiedzieli się prawdy o moim pochodzeniu.

- Myślisz, że to by jej przeszkadzało?

- Mnie by przeszkadzało - odparł Matt spokojnie.

- Ile ona ma lat? Wygląda na starszą od Nan\

- Dwadzieścia sześć.

- I jeszcze nie wyszła za mąż?

- Nie chciała, jak sama twierdzi - wyjaśnił Matt. - Jest zawziętą sufrażystką, wojowniczką o wolność i równość... i tym podobne bzdury. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Powtarza, że chce się poświęcić dla sprawy.

- Może sądzi, że nie ma innego wyjścia?

Matt popatrzył na niego ponuro.

- Ależ ma. Właśnie stoi obok niego i usiłuje wyrwać dłoń z jego uścisku. - Ruchem głowy wskazał na młodzieńca stojącego obok Tess. - Gdyby tylko zechciała, zaraz ustawiłby się do niej w kolejce.

- Cóż, oczywiście, to twoja sprawa. - Diamentowy Jim powoli pykał cygaro. - Ale gdyby ona należała do mnie, porwałbym ją w ramiona i zaniósł gdzieś... nie wiem gdzie? W każdym razie jak najdalej stąd. Nie ma to jak element zaskoczenia... Takie żywiołowe kobiety to uwielbiają!

- Skąd wiesz, że Tess jest żywiołowa?

Jim Kilgallen wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nan podziwia jej odwagę... to dzięki niej w ogóle odważyła się opuścić Dennisa. Tess powiedziała jej kiedyś, że żadna kobieta nie musi znosić poniżenia ze strony męża... niezależnie od tego, co na ten temat sądzi społeczeństwo. - Zamyślił się, po czym dodał po długiej chwili milczenia: - Właściwie właśnie to pchnęło ją w moje ramiona. W jednej chwili opowiadała mi o tym, jak Colier ją traktuje, a w następnej wybuchnęła płaczem i rzuciła mi się na kolana. - Przy tym wspomnieniu w jego oczach pojawił się jakiś ciepły blask. - To, że ktoś potrzebował mojej akceptacji i mojego wsparcia, było dla mnie całkiem nowe. Nigdy w życiu nie doświadczyłem niczego podobnego. Właśnie wtedy jakoś to wszystko się zaczęło. Nawet przez chwilę nie zastanawiałem się nad tym, że Nan jest mężatką. Jeżeli mężczyzna tak podle traktuje kobietę, nie jest wart tego, by nazywać go jej mężem. Bardzo kocham Nan i nie chcę jej stracić - zakończył po prostu.

- I nie stracisz - przyrzekł Matt poważnie. - Nan jest niewinna... zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by to udowodnić i by znaleźć prawdziwego mordercę.

- Dam sobie głowę uciąć, że to jakaś kobieta.

- Ja też tak sędzę... A to oznacza, że musimy rozmówić się ze

wszystkimi, dawnymi i ostatnimi, kochankami Dennisa Coliera. Boję się tylko, że odnalezienie ich może wcale nie być takie łatwe.

- Wiesz, że zażywał narkotyki?
- Tak.
- Może to jest jakiś trop?
- Może. Sprawdzę wszystko... i dzięki za pomoc.

Diamentowy Jim wzruszył potężnymi ramionami.

- Właściwie pomagam sam sobie. Nan jest jedyną radością mojego życia.

Matt spojrział mu w oczy i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Jeżeli tylko się czegoś dowiem, zaraz dam ci znać. A na razie, dobrze by było, żebyś coś zrobił z tym strażnikiem.

- Jutro rano przejdzie na wcześniejszą emeryturę. Zobaczysz... sam się przekonasz.

Matt nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Musiał przyznać, że nie sposób nie lubić i nie szanować tego człowieka.

Rozejrzał się po zatłoczonej sali i nagle uświadomił sobie, że Tess zniknęła.

- Wyszli na dwór - powiedział usłużnie Jim widząc zaskoczony wzrok detektywa.

Matt zdusił cygaro w popielniczce i gwałtownie ruszył ku drzwiom. Nie miał pojęcia, co powie, ani jak się zachowa, gdy już stanie przed Tess, ale bardzo nie podobało mu się to, że wyszła gdzieś z tym przeklętym dandysem. Nie zamierzał tolerować takiego zachowania z jej strony!

11

\Matt był już niemal przy drzwiach, gdy na jego drodze stanęła piękna młoda kobieta o czarnych włosach, ubrana w suknię wyszywaną klejnotami. Rozpoznał w niej jedną z dziewcząt, które robiły słodkie oczy do Jima Kilgallena.

- Znam cię - powiedziała cichym, lekko ochrypłym głosem.
- Ty jesteś tym detektywem. Nie pamiętasz mnie?

Matt długo jej się przyglądał, lecz nie potrafił się skupić, gdy Tess była na zewnątrz z tym przeklętym młokosem.

- Nie - odparł ostrzej niż zamierzał.

Dziewczyna przysunęła się do niego jeszcze bliżej i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jestem Daphne Mallory - rzekła. - Prowadziłeś kiedyś pewne dochodzenie dla mego ojca, Harta Mallory'ego.

- Aaa... tak. - Rzeczywiście, był kiedyś ktoś o takim nazwisku.
Panna Mallory uśmiechnęła się do niego.

- Zaprosiłam pana wtedy na kolację, lecz pan nie przyszedł.
- Spod niesamowicie długich rzęs patrzyły na niego zadziwiająco błękitne oczęta. - Czy gdybym teraz ponowiła zaproszenie, przyjąłby je pan?

Właśnie chciał ją zbyć, gdy w drzwiach sali stanęła Tess. Wyglądała na z lekka zadyszana i włosy miała w nieładzie.

Michael Boson szedł parę kroków za nią. Tess zatrzepotała wachlarzem i niecierpliwie spojrzała przez ramię, jakby upewniając się, czy jej towarzyszy także idzie. To wystarczyło.

Matt obrócił się i spojrzał w niebieskie oczy Daphne Mallory; wiedział, że Tess go obserwuje.

- Zatańczy pani ze mną, panno Mallory?
- Ależ z przyjemnością, panie Davis.

Poprowadził ją na parkiet, objął i rozpoczął najpiękniejszy taniec, jaki Tess kiedykolwiek widziała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała, jak Matt tańczy. Nie wiedziała nawet, że potrafi tańczyć. Poruszał się z taką niewymuszoną gracją, jakby był zawodowym tancerzem... jakby urodził się do walca. Serce omal jej nie pękło, gdy zobaczyła go w objęciach pięknej, eleganckiej damy, tym bardziej, że przed chwilą musiała siłą odeprzeć amory młodego Michaela Bosona. Flirtowała z nim niewinnie przez cały wieczór, aż nagle przyparł ją do drzwi i próbował pocałować.

Jakaś część jej umysłu pragnęła, by Matt zobaczył, jak wychodzi z sali wraz z Michaeliem... by był o nią zazdrosny. Ale widząc teraz, jak tańczy z tą piękną dziewczyną, zrozumiała, że jej nadzieja była płonna.

- Przepraszam - wykrztusił Michael stając obok niej i patrząc na nią z niepokojem w oczach. - Wiem, że zachowałem się niegodnie... Obiecuję, że to się już nigdy nie powtórzy.

W oczach Tess zapłonęła wściekłość.

- Nie będziesz miał okazji! - warknęła. - Lepiej będzie dla ciebie, jeżeli poszukasz sobie innej kobiety! Bogatszej i bardziej rozwiązłej niż ja!

Michael z sykiem wciągnął powietrze.

- Przepraszam, jeżeli dałam ci kiedykolwiek jakieś złudzenia - dodała zimno odwracając wzrok. - Myślałam, że oboje dobrze się bawimy! Że nasze przekomarzanie nic nie znaczy! Co to było według ciebie? Preludium do pięciominutowego romansu?

Michael już otwierał usta, by coś powiedzieć na swoją obronę, gdy obok nich pojawił się Jim Kilgallen z zapalonym cygarem w ręce. Obdarzył młodzieńca spojrzeniem, które jasno sugerowało, że Michael ma jeszcze mleko pod nosem.

- Idź na spacer, mój mały - powiedział i uśmiechnął się ironicznie. - To nie twoja liga!

- Oczywiście, proszę pana - natychmiast odparł Michael. Rzucił Tess ostatnie przeproszające spojrzenie i oddalił się szybko.

Dziewczyna spojrzała w szare oczy Jima; nie wyglądała na groźnego kryminalistę, o którym tyle słyszała.

- Nie wygląda pan na zabójcę - stwierdziła i uśmiechnęła się przyjaźnie.

Jim Kilgallen uniósł brwi. Roześmiał się cicho.

- Dziękuję!

Tess zacisnęła dłoń na swej małej torebce. Dopiero teraz zrozumiała, jaką gafę palnęła.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się do niego. - Samo mi się wymysknęło.

- On widział, jak pani wychodzi z tym młodzikiem - powiedział Diamentowy Jim, ruchem głowy wskazując Matta, który zdawał się być zafascynowany niebieskimi oczętami panny Mallory. - Właśnie szedł po panią, gdy stanęła pani w drzwiach.

- Naprawdę? - Tess rozpromieniła się i popatrzyła na niego z taką tęsknotą i nadzieją, że Kilgallenowi ścisnęło się serce.

- To ona się na niego rzuciła - wyjaśnił patrząc na ponętą damę w objęciach Matta. - Sądzę, że to pani dziwny wygląd skłonił go do zajęcia się panną Mallory.

- To wcale nie było tak, jak pan myśli.

- Znam Bosona - rzekł Jim Kilgallen niespodziewanie. - To bogaty paniczyk, który ma pociąg do dziewcz.

Dziewczyna aż sapnęła z oburzenia i zarumieniła się po same uszy. Widząc to, Diamentowy Jim uśmiechnął się złośliwie.

- Chyba słyszała pani, że jestem złym człowiekiem - przypom-

niał jej niewinnie. - Powinna była pani uciekać, gdy miała pani szansę!

- Pan... jest... zły!

Matt spozrzał na nich właśnie w tej chwili - w mgnieniu oka dostrzegł zszokowaną minę Tess i szeroki uśmiech Kilgallena. Bardzo szybko pozbył się urodziwej partnerki i zaczął przedzierać się przez tłum w ich kierunku.

- Oho! Nadchodzą kłopoty! - burknął na jego widok Diamentowy Jim i w jego oczach zabłyśły iskierki rozbawienia.

- Zrobił pan to celowo! - wykrzyknęła Tess.

- Ciii! Niech mu pani tylko o tym nie mówi. Proszę zaczekać i zobaczyć, co zrobi!

Matt zatrzymał się tuż prz; i Tess.

- Zostaw go w spokoju - polecił jej w narzeczu Siuksów.
- On jest dla ciebie za sprytny.

Dziewczyna odwzajemniła jego ponure spojrzenie bez mrugnięcia.

- Sama wybieram sobie towarzystwo! - odrzekła w tym samym języku. - Wracaj do swojej damulki!

Diamentowy Jim najwyraźniej doskonale się bawił. Zacisnął usta i udawał, że bardzo się dziwi.

- Cóż... na pewno nie jest to rosyjski - zamruczał pod nosem.

Oboje spojrzeli na niego w tej samej chwili; Tess zarumieniła się jeszcze bardziej, a Matt zacisnął szczęki.

- Co ty jej powiedziałaś? - spytał Jima po angielsku.

- Oj, nic strasznego. Ostrzegłem tylko twoją kuzynkę, że Boson to bogaty nierób gustujący w towarzystwie dziewic. Ty możesz ten wątek rozwinać, jeśli chcesz. Ta panienska jest zadziwiająco niewinna, jak na swój wiek... - dodał, po czym przeprosił ich i odszedł w stronę bufetu.

- Ależ on jest bezpośredni - wyjąkała Tess ze zdumieniem.
- Nawet bardziej niż ty!

- Pomimo całego jego uroku osobistego, jest kryminalistą...

A co do Bosona, miał rację. - Oczy mu się zwięzły, gdy jego wzrok spoczął na dekolcie dziewczyny. Na odkrytej piersi widać było jasnoczerwone znamię.

- On... - Tess rozejrzała się dokoła, a widząc, że ludzie się im przyglądają, przeszła z powrotem na język Siuksów. - To odcisk guzika jego marynarki! Chciał mnie pocałować, ale go uderzyłam! Powinieneś być przyjrzeć się, jak wygląda jego lewy policzek!

Furia zgąsła w oczach Matta równie nagle, jak się pojawiła. Zdawało się, że się odprężył, lecz dziewczyna zauważyła, że jego wzrok wciąż powraca do jej dekoltu.

- Dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem - powiedział spokojnie, po czym ujął ją pod ramię. - Chodźmy już lepiej... robi się późno.

Pokojówka przyniosła narzutkę dziewczyny, a Matt pomógł jej ją nałożyć. Pospiesznie pożegnali się z gospodarzami imprezy, a panna Mallory, stojąca nieopodal drzwi wraz z nowym partnerem, posłała Mattowi ostatnie, żalotne spojrzenie.

- Nie chcesz zostać dłużej? - spytała Tess jadowicie, gdy już wyszli na zewnątrz. - Ona będzie za tobą tęsknić.

Matt nie odpowiedział; ujął ją pod ramię i poprowadził do czekającego na nich wynajętego powozu. Ku ogromnemu zaskoczeniu dziewczyny, nie podał woźnicy adresu domu pani Mulhaney, lecz kazał jechać nad jezioro Michigan.

Pomógł jej wsiąść, sam wszedł do powozu, oparł się wygodnie o poduszki siedzenia i skrzyżował długie nogi. Tess, zawstydzona swym wybuchem, nie odzywała się; siedziała wyprostowana, ściskając w dłoniach swą małą torebkę. Noc była wyjątkowo zimna i dziewczyna właśnie zaczynała żałować, że nie wzięła jakiegoś ciepłego płaszcza, gdyż narzutka pożyczona jej przez panią Mulhaney spełniała jedynie rolę ozdoby. Zastanawiała się, dlaczego Matt kazał jechać nad brzeg jeziora, zamiast prosto do domu. Czyżby chciał się przejść po plaży? O tej porze?!

Niestety Matt jakby zapomniał o jej obecności i nie wyjaśnił,

dłaczego nie jada prosto na stację. Kiedy już zajechali nad jezioro, zostawił kapelusz i laskę na siedzeniu powozu, pomógł dziewczynie wysiąść, po czym poinstruował woźnicę, by na nich zaczekał. Potem ujął ją pod ramię i poprowadził chodnikiem schodzącym nieomal do samego jeziora.

- Za zimno jest dziś na spacer przy świetle księżycy - wycedziła Tess przez zaciśnięte zęby.

- Czyżby ci było chłodno? - Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Na niebie błyszczał księżyc w pełni i w jego blasku dziewczyna zauważyła groźnie zmarszczone brwi i ponurą minę Matta. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że są tak blisko brzegu jeziora, że nie widać ani powozu, ani nawet ulicy.

- Nie mam nic... to znaczy, mam gołe ramiona - wyjaśniła.

- t ramiona i piersi - odburknął gniewnie. - Widziałem, jak ten młody osioł się na ciebie gapił. Powiedziałaś, że to guzik jego marynarki zostawił ten odcisk na twojej piersi, ale nie wierzę ci... Pozwoliłaś, by cię dotknął, prawda?

Tess aż sapnęła z oburzenia.

~ Czy naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym jakimkolwiek mężczyźnie...?

- Mnie pozwoliłaś - przypomniał jej dusząc w sobie dziki gniew. - A może już o tym zapomniałaś?

Jednym płynnym ruchem ściągnął jej z ramion narzutkę z norek i rzucił na ziemię... Tess ledwie zdołała ją złapać, nim delikatne futro dotknęło piasku plaży. Następny ruch Matta kompletnie ją zaskoczył - pochylił się i przycisnął usta do jej piersi, na której widać było jeszcze czerwone znamię po guziku Michaela Bosona.

Dziewczyna sapnęła, złapała go za ramiona i... zeszywniała. Chciała go odepchnąć, lecz jego usta dawały jej zbyt dużo przyjemności; przymknęła oczy czując, jak jego język delikatnie pieści jej skórę.

Nagle odsunął się od niej; jego piękne, silne ręce miękko

gładziły dekolt dziewczyny, a po chwili jednym gwałtownym ruchem ściągnęły cienki materiał obnażając piersi.

W chłodnym nocnym powietrzu przez długą chwilę przyglądał się jej sterczącym, ciemnoczerwonym sutkom, a po chwili znowu skłonił ku nim głowę. Otoczył jeden sutek wargami, a potem chwycił w zęby i delikatnie przygryzł.

Tess była przerażona; nie tylko jego gniewem, jego zębami tuż przy jej miękkiej skórze, ale i własną reakcją na jego pieszczotę. Zadrzała.

Ujął jej piersi w obie dłonie i podniósł głowę.

- Zabolało? - spytał, patrząc jej w oczy.

Chciała mu odpowiedzieć, że tak... chciała odwrócić się i uciec jak najdalej, chciała położyć się na piasku i pociągnąć go na siebie...

- Ugryzłeś mnie! - szepnęła oskarżycielskim tonem.

Patrząc na jej zszokowaną minę, jednocześnie pieścił ją leciutko; jego palce tańczyły dokoła stężonych sutków, i gdy tym razem Tess zadrzała, wiedział już, że to nie z zimna.

- Kilgallen miał rację - mruknął pod nosem. - Jesteś zupełnie niedoświadczona.

- Aha... - Nagle zrozumiała, że Matt czuje dokładnie to samo pragnienie, co ona. Jej ciało wygięło się w łuk... Tess czekała na jego następny ruch wiedząc, że nie będzie mogła - ani chciała - mu się oprzeć. Wszak cały wieczór myślała tylko o tym, jak byłoby cudownie, gdyby Matt ją pocałował... W jej zielonych oczach błyszczało pożądanie.

- Błagam... - szepnęła i objęła go za szyję. - Matt... błagam... zrób to jeszcze raz!

Serce podskoczyło mu w piersi. Ujął jej piersi w obie dłonie, a potem pocałował dziewczynę w usta. Już nie słyszał cichego głosu rozsądku, który kazał mu natychmiast wracać do powozu. Pieścił Tess, a ona mu na to pozwalała... pragnęła go. Podobnie było tego letniego wieczora na werandzie domu Harolda Meredi-

tha, kiedy nawzajem odkrywali swe tajemnice. Ale tym razem mógł dokładnie widzieć jej ciało skapane w blasku księżyca. Była piękna... tak piękna, jak zawsze to sobie wyobrażał.

Długo całował jej usta, a potem przesunął wargi niżej, na szyję i dekolt dziewczyny. Pocałował stężyły sutek i pieścił go tak długo, aż usłyszał cichy jęk Tess; wtedy wsunął go do ust i ssał, dopóki dziewczyna nie wyprężyła się i nie krzyknęła głośno z rozkoszy.

Ten dźwięk podniecił go jeszcze bardziej; wolną dłoń przesunął na pośladki dziewczyny i przyciągnął do siebie jeszcze bliżej... całując jej piersi, jednocześnie zaczął ocierać się biodrami o jej biodra, aż poczuła jego twardą męskość i zszokowana oparła dłonie na jego piersi i odepchnęła go z całej mocy.

Matt uniósł głowę i zobaczył przerażenie w jej oczach; oparł się o niski murek i przyciągnął dziewczynę do siebie, tak że stała między jego szeroko rozstawionymi nogami. Cały czas patrząc jej w oczy, położył obie ręce na jej biodrach i przycisnął ją do siebie. Tess chciała zaprotestować, lecz Matt był nieugięty..., nie puścił jej. Czując rytmiczny ruch jego bioder, przyglądała mu się oczyma rozszerzonymi z przerażenia, zażenowania i fascynacji...

- Jesteś niewinna - powiedział ochryple. - Ale sporo wiesz na temat męskiego podniecenia. Kiedy byłem ranny i leżałem w szpitaliku twego ojca, pewnego ranka, gdy myślałaś, że śpię, podeszłaś do mego łóżka, uniosłaś prześcieradło i spojrzałaś na mnie.

Tess zaczerwieniła się po uszy.

- Nie domyśliłaś się, że nie spałem? To było niezwykle doświadczenie... Byłaś wtedy jeszcze taka młoda, Tess. Ale podobałaś mi się... sama widziałaś, jak bał'dzo. Usłyszałem twoje sapnięcie... po kilku chwilach puściłaś prześcieradło i uciekałaś.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek się dowiesz - szepnęła zawstydzona.

- Ale wiedziałem od samego początku - odrzekł spokojnie.

- Właśnie wtedy zacząłem słuchać opowieści twego ojca o Chicago. Miałś tylko czternaście lat, a jednak byłaś kobietą w każdym calu... i bardzo cię pragnałem.

- Przecież nigdy nic mi nie powiedziałaś... - powiedziała Tess ze zdumieniem.

- Nie ośmieliłem się. Byłaś jeszcze taka młoda! Wstyd mi było, że pożądam dziecka... Jedynym wyjściem z tej sytuacji był dla mnie wyjazd do Chicago. - Tess słuchała jego głosu, lecz nie rozumiała słów... czuła tylko jego twarde ciało ocierające się o nią. Patrząc jej w oczy, Matt wyszeptał przez zaciśnięte zęby: - Czujesz to? Jeszcze nigdy nikogo tak nie pragnałem, a ty jesteś dziewczicą!

- Tylko dlatego... że ty nie chcesz się ze mną kochać - odrzekła drżącym głosem.

- Wiesz, że nie mamy przed sobą żadnej przyszłości.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Bo zbyt wiele nas dzieli. Bo w świecie białych nie mogę ci zapewnić dostatniego życia i należnego ci miejsca w społeczeństwie. Nie mogę ci nic dać... - szepnął ponuro, po czym jego wzrok spoczął na nagich piersiach dziewczyny. Dotknął ich delikatnie ciepłymi dłońmi i dodał cicho: - Nie mogę ci dać nic, oprócz tego...

Odwrócił się tak, że teraz to ona opierała się o murek, i podciągnął rąbek jej sukni. Przesunął dłonią w górę jej obleczonej pończoszka nogi, aż dotarł do miejsca, gdzie zaczynał się gorset i cieniutka bielizna.

Tess sapnęła cicho z oburzenia i odruchowo złapała go za nadgarstek, ale Matt nie zwracał na to uwagi. Jęknął gardłowo i pochyliwszy głowę, znowu ujął jej sutek w zęby. Tess zadrżała czując jego ciepłe palce wsuwające się pod muślin bielizny i sunące w stronę najintymniejszych części jej ciała. Czuła wilgoć w tym miejscu i z zażenowaniem pomyślała, że on też pewnie ją czuje. Matt delikatnie poruszał palcami, aż wygięła się w łuk i krzyknęła głośno.

Wtedy on unióśł głowę i nie przestając jej pieścić, patrzył jej w oczy. Patrzył, jak z trudem łapie powietrze, jak drży pod jego dotykiem,...

- Nie miałś o tym pojęcia, prawda? - wyszeptał ochryple.
- A to jest dopiero początek...

Nie odpowiedziała... Została porwana do innego świata, a którym panowała rozkosz i cudowne, słodkie napięcie... Jego dotyk podniecał ją do granic wytrzymałości; otworzyła usta i sapała cicho w rytm jego pieszczot... a potem nagle wygięła się w łuk i... rozkosz stała się nie do zniesienia. Dziewczyna wykrzyknęła jego imię w mrok nocy, po czym opadła na niego drżąca, przytrzymując się go, by nie upaść na piach. Serce waliło jej jak oszalałe... nie wiedziała, na jakim świecie się znajduje.

Matt zaczekał, aż Tess złapie oddech, po czym, z ustami tuż przy jej ustach, pociągnął jej rękę w dół swego brzucha, aż na twardą wypukłość. Tess szarpnęła dłonią zaskoczona, zażenowana, lecz on nie dał za wygraną. Pokazał jej, jak przesuwac dłonią w górę i w dół, by dać mu rozkosz, i jęknął z cicha.

- Pomóż mi - szepnął. - Nie... błagam, nie odsuwaj się... Pomóż mi, Tess... nie zniosę tego dłużej!

Przywarł do jej policzka i drżąc szeptał do ucha dziwne, czułe, podniecające i szokujące zarazem słowa, jakich nigdy wcześniej nie słyszała. Pozwoliła, by poprowadził jej rękę, nadał tempo i rytm. Pozwoliła, by nadal pieścił ją w ten sam powolny, cudowny sposób, co do tej pory. Nagle jego ciało stężało i Matt zadrzał z rozkoszy. Cichym, ochryłym głosem wyszeptał jej imię, a jego dłoń powędrowała głębiej między uda dziewczyny.

Tess krzyknęła, lecz tym razem z bólu, bo wsunął palec tak głęboko, że zaczęło ją boleć. Matt unióśł głowę i spojrzal jej w oczy wzrokiem zamroczonym pożądaniem i ekstazą.

- Nie odwracaj wzroku - powiedział dziwnie ochryłym głosem. Kolanami przytrzymał jej uda, i przesunął dłoń jeszcze dalej, w głąb jej najbardziej intymnego miejsca.

Tym razem dziewczyna poczuła ostry ból i pieczenie.

- Matt... co ty robisz?! - szepnęła przerażona.

- Naprawdę nie wiesz?

Tess zeszytniała, w jej oczach ukazały się łzy. Potem, z wolna, ból przeszedł... Matt nadal trzymał tam dłoń i wyczekująco patrzył jej w oczy. Nagle dotarło do niej, co on zrobił... na co mu pozwoliła. Zaczerwieniła się po uszy... nie potrafiła mówić, ani myśleć.

- Nie było chyba aż tak źle? - wyszeptał; w jego głosie słychać było dziwną czułość, nieomal smutek. Patrzył jej w oczy z niepokojem. - Czy rozumiesz, co zrobiłem przed chwilą?

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu; skinęła głową.

Spojrzał na jej opuchnięte usta, na stężałe piersi. Delikatnie wysunął dłoń spod jej sukni i Tess drgnęła. Poczowała nową wilgoć... cienki strumyczek spływający po udzie.

Matt wyciągnął z kieszeni chusteczkę i raz jeszcze sięgnął pod jej suknię. Poczowała miękki materiał ocierający się o jej ciało i znowu drgnęła.

- Przepraszam - szepnął Matt czule. - Wiem, że to musi być bolesne.

- - Więc już nie jestem dziewicą, tak? - Przełknęła z trudem.

- Jesteś... bo nie wszedłem w ciebie... - odrzekł cicho.

- A jednak, mimo wszystko, wziąłem twoje dziewictwo. - Pozwolił opaść jej spódnicy na ziemię i dodał łagodnie: - No i już... Może będzie ci trochę niewygodnie, ale przynajmniej nie poplamisz tej pięknej sukni.

Potem przytulił ją bez słowa i czekał, aż przestanie drżeć; gładził ją po plecach i szeptał cicho jakieś słowa, których nie mogła zrozumieć.

Dziewczyna pozwalała mu na te pieszczoty... stała spokojnie i ponad jego ramieniem wpatrywała się w ciemną toń jezioru zaskoczona tym, co się przed chwilą zdarzyło. Nigdy w życiu nie

doświadczyła niczego podobnego. Choć słyszała od innych kobiet, że można pozwolić mężczyźnie na pieszczoty, które zaspokoją ich oboje, a jednocześnie nie obawiać się ciąży, ale nie przywiązywała do tych rozmów większej wagi. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że sama odważy się na coś podobnego. Przytuliła się do niego mocniej i zadrżała.

Matt uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Potem podciągnął z powrotem dekolt jej sukni i podniósłszy narzutkę z piasku, okrył nią dziewczynę.

- Powinniśmy już iść - odezwała się Tess spiętym głosem.

- Chcesz, żebym cię przeprosił? - zapytał cicho.

Ale ona tylko machnęła ręką i poszła w stronę powozu; była tak wstrząśnięta tym, co przed chwilą robili, że nawet nie próbowała zachować pozorów.

Kiedy zeszli już z plaży i wrócili na chodnik, zatrzymała się na chwilę i spojrzała Mattowi w oczy. Spoglądał na nią obojętnie, jak zawsze.

- Czego szukasz w mojej twarzy? - zapytał łagodnie.

- Poczucia winy... Wstydu... Żalu...

Matt uśmiechnął się lekko.

- Tego nie znajdziesz... Niczego nie żałuję.

- Czy to, co się stało, miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie? A może tylko chciałeś zaspokoić swoją chuć, a ja znalazłam się pod ręką?

- Ależ Tess! Jak możesz?! Szokujesz mnie!

- Nie żartuj sobie ze mnie, Matt. Po prostu odpowiedz na pytanie.

- No, dobrze... - Westchnął. - Miało to dla mnie znaczenie... Pragnąłem cię już od bardzo dawna... tak, jak i ty mnie. Ale nadal nie zmieniłem zdania na temat mieszanych dzieci.

Tess nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Otuliła się szczerlnie narzutką pani Mulhaney i ruszyła znowu w kierunku czekającego na nich powozu.

- W takim razie podejrzewam, że ożenisz się tylko z rodowitą Indianką? - zapytała zniecierpliwiona.

- Nie mogę się ożenić - odparł przypominając sobie sekret, o którym nie mógł jej powiedzieć.

- I co? Chcesz żyć w samotności do końca życia?

- Podobnie jak ty. Przecież ty też nie chcesz wychodzić za mąż!

- Nie warto żyć złudzeniami - odrzekła smutno.

- Jesteś wspaniała, Tess - powiedział nagle. - Taka namiętna... cudowna...

- I chciałeś mnie posiadać, prawda?

- Tak - przyznał. - Zawsze tego pragnąłem. Ale nie możemy robić nic więcej... niż te pieszczoty, które dziś wymieniliśmy.

Serce w niej podskoczyło; obróciła się do niego i spojrzała mu w oczy.

- Może to nam wystarczy. - Patrzyła mu w oczy i nagle zobaczyła w nich dziką żądzę. Sapnęła cicho i dodała: - Wiedziałam! Ty też tego pragniesz!

- Pożądanie to niesłuchanie potężna siła.

- Przysunęła się do niego i wyszeptała:

- Chcę leżeć naga w twoich ramionach, w twoim łóżku. Chcę cię widzieć tak, jak widziałam cię tamtego dnia w szpitalu. Kiedy teraz na ciebie patrzę, widzę, że mnie pragniesz. Widzę to...

- Tess... - zaczął ochryple.

- Moglibyśmy leżeć razem. Moglibyśmy kochać się tak jak przed chwilą i nie martwić się, że zajdę w ciążę.

- Czy naprawdę sądzisz, że gdybyś leżała naga w moich ramionach, zadowolilibym się takimi pieszczotami? - zapytał ze zdumieniem. - Na miły Bóg! Byłbym w tobie, zanim byś się spostrzegła!

- We mnie? - powtórzyła, po czym zadrżała wyobraziwszy to sobie.

Przez długą chwilę Matt przyglądał się jej szeroko rozwartymi

oczyrna, po czym sapałszy cicho chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę powozu.

- Musimy wracać do domu! Natychmiast!

Tess poddała mu się oszołomiona; szła za nim potykając się co krok i myślała ze smutkiem, że Matt nigdy się nie zmieni. Zaprzepaści ich miłość tylko z tego powodu, że ona nie jest Indianką.

12

Tess nawet nie usiłowała z nim rozmawiać; szedł obok niej wściekły, a dokoła nich gęstniała mgła. Zanim doszli do czekającego na nich powozu, zaczął padać deszcz. Woźnica zeskoczył z kozła i otworzył przed nimi drzwi.

- Za zimno i za mokro na tak długie spacery, proszę pana - odezwał się nieśmiało, po czym dodał z uśmiechem. - Ale w powozie jest miło i ciepło. - Matt podał mu adres domu pani Mulhaney. - Niech się państwo otulą pledami, a ja was zaraz zawiozę, gdzie trzeba.

- Zawieź nas pod adres, który ci podałem - odrzekł Matt, po czym wsiadł za Tess do powozu i zamknął drzwi.

Dziewczyna odsunęła się od niego jak najdalej i wciśnięta w kąt powozu patrzyła w okno; była zbyt zawstydzona, by spojrzeć na Matta. Było jej zimno, więc zacisnęła poły narzutki, którą pożyczyła jej pani Mulhaney, lecz niewiele to pomogło. W świetle ulicznych latarni zauważyła, że na dekolcie wystąpiły jej czerwone odciski... pamiątki po gorących pocałunkach Matta.

Siedział teraz naprzeciw niej i niespokojnie przebierał palcami po rondzie swego cylindra. Nie wiedział, jak ma przed nią wytłumaczyć swoje postępowanie; nie chciał posunąć się aż tak daleko... po prostu stracił głowę. Problem polegał na tym, że

skoro już raz miał ją tak blisko, zapragnął więcej... dużo więcej. Niestety, to było wykluczone; gorące pieszczoty to jedno, a prawdziwy seks i ryzyko, że urodzi się dziecko, to całkiem co innego. Nigdy nie ośmieli się z nią kochać naprawdę.

- A właśnie, że chcę - odezwała się nagle Tess.

Poderwał głowę i spojrzał na nią zaskoczony.

- Czego chcesz? - spytał marszcząc brwi.

Popatrzyła na niego z gniewem.

- Chcę, byś mnie przeprosił.

- Doskonale. - Skinął głową. - Przepraszam. Bardzo mi przykro...

- Mnie również. - Znowu odwróciła się do okna.

- Chyba rozumiesz, że nigdy nie możemy sobie pozwolić na nic więcej?

Przymknęła oczy ze wstydu.

- Nigdy nie wyobrażałam sobie, że ludzie mogą razem robić coś podobnego.

- Czasem jest to konieczność w naszym restrykcyjnym społeczeństwie, które nie uznaje dzieci spoza małżeńskiego łoża - odrzekł ponuro.

Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy ty nigdy nie zaryzykowałeś z kobietą?

- Kobiety, które znałem, były na tyle świadome i doświadczone w sprawach seksu, że wiedziały, jak zapobiegać niechcianej ciąży - odparł, jednocześnie nie odpowiadając wprost na pytanie.

Tess poczuła rozgoryczenie, słysząc jak Matt przyznaje się do utrzymywania kontaktów z innymi kobietami; co prawda nie powinna była się temu dziwić... wszak był doświadczonym mężczyzną i ktoś musiał go nauczyć, jak zaspokoić kobietę. Jednak zazdrość wyzwoliła w niej niespodziewaną złość.

- Jaka szkoda, że podobna wiedza jest niedostępna dla kobiet, które mają już dwanaścioro dzieci i na tyle głupiego męża, że nie chce ich zostawić w spokoju!

- Być może ich pociąg do siebie nawzajem jest tak silny, że wyklucza wszelką absynencję. - Ciemne oczy Matta zwięziły się w dwie czarne szparki.

Tess odwróciła wzrok i zaczerwieniła się po uszy. Nerwowo zacisnęła dłonie na swej torebce i przypomniała sobie, jak straszną gorączką byli owładnięci jeszcze przed kilkoma minutami. Przymknęła oczy; jakże łatwo było jej wyobrazić sobie, że leży naga w ramionach Matta, że on całuje ją... pieści... dotyka jej gorącymi palcami...

Przełknęła z trudem ślinę i odetchnęła głęboko.

- Czy my wreszcie dojedziemy do domu? - spytała niecierpliwie.

Matt założył nogę na nogę i przyjrzał się jej uważnie; on także rozpamiętywał ich namiętne uściski.

- Może i nie powinienem teraz o tym mówić, ale zatrzymałbym się, gdybyś mnie o to poprosiła - powiedział opryskliwie.

Tess spuściła wzrok na własne dłonie zaciśnięte na kolanach.

- Nie chciałam, byś przestał - przyznała cicho, bardzo zażenowana. - Byłam ciekawa...

- Ja też... - wyznał szeptem. - Tyle razy w nocy myślałem o tobie... marzyłem... Zupełnie straciłem dla ciebie głowę.

- Tak jak i ja. - Spojrzała mu w oczy. - Czy to właśnie jest tak? - zapytała. - To znaczy, w łóżku? Czy to tak jest, gdy mężczyzna i kobieta kochają się ze sobą?

- Tak - odrzekł siłąc się na spokój. W każdym razie, pomyślał, tak sędzę.

- Czy teraz też by bolało? Po tym, co zrobiłeś?

- Nie sędzę - powiedział łagodnie.

- Chciałabym się z tobą kochać - rzekła Tess nie czując już wstydu. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich zaskoczenie. - Słyszałam o różnych sposobach... o tym, jak można zapobiegać ciąży. Niektóre są przedziwne, ale chyba skuteczne. - Widząc, że Matt przygląda się jej bez słowa, ciągnęła: - Obawiam się

niestety, że element ryzyka zawsze istnieje... - Przyglądała mu się z rosnącym pożądaniem, po czym dodała zdławionym głosem:

- Chyba oszalałam! Tak bardzo cię pragnę!

- Tess!

- Czyżbym cię szokowała? - zapytała z lekkim zdziwieniem.

- Aż mnie boli na wspomnienie przyjemności, jaką mi dałeś. Chcę, żebyśmy to powtórzyli...

- To nie powinno było się zdarzyć!

- Dlaczego nie? - W głosie Tess brzmiało szczere zdziwienie.

- Nie jestem z nikim zaręczona... ty też nie. Oboje jesteśmy dorośli i nie zrobiliśmy nic złego,

Matt uniósł brwi.

- Czy opowiesz pani Mulhaney o naszej małej eskapadzie i poprosisz ją o wyrażenie poglądu na temat naszej moralności?

Tess poruszyła się niespokojnie.

- Ja nie miałam poczucia, że robię coś niemoralnego - spre-cyzowała.

Matt oparł się o poduszki siedzenia i poparzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Ano nie... To nieomal graniczyło z cudem.

- Byliśmy nieomal jak... kochankowie.

- Jesteśmy kochankami - poprawił ją spokojnie.

- I niczym więcej. - W oczach dziewczyny utkwionych gdzieś w dal błyszczał smutek. Matt wyciągnął rękę i ucisnął zimną dłoń Tess.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo zmieniłoby się twoje życie, gdybyś urodziła dziecko.

Przeniosła wzrok na ich złączone dłonie.

- A gdyby był jakiś sposób na zabezpieczenie się? Gdybym znalazła jakieś wyjście?

- To nierealne - odparł krótko. - Nierealne i niebezpieczne.

- Znam kobiety, które głoszą pochwałę wolnej miłości i zapo-biegania ciąży - szepnęła. - Może one mogłyby mi coś poradzić.

- Taak... pewnie to samo, co każda burdelmama w mieście - rzekł tak okrutnie, że Tess wyrwała dłoń z jego uścisku i spojrzała na niego z odrazą. - O, na miłość boską! Przestań zachowywać się jak dziecko! Daj temu spokój! Powiedziałem ci już, że nie podejmę tego ryzyka. Nigdy więcej nie powtórzymy też tego, co robiliśmy dziś wieczorem, bo to jest jak zabawa dynamitem!

Tess omal go nie uderzyła; ich wspólne dziecko byłoby darem niebios... ich wspólne małżeństwo byłoby cudem. Problem polegał na tym, że Matt pragnął tylko jej ciała, niczego więcej; a już na pewno nie chciał dzielić z nią życia ani przyszłości. Zanim przyjechała do Chicago, miała nadzieje, wbrew nakazom zdrowego rozsądku, że gdy spotkają się na neutralnym gruncie, Matt pokocha ją równie mocno, jak ona od lat kocha jego. Jakaż była głupia!

- Skoro tego chcesz, Matt... - szepnęła wyglądając przez okno.

- Właśnie tego - odparł krótko. - I tak musi być.

Tej nocy nie zamienili ze sobą już ani słowa; po powrocie do domu pani Mulhaney każde z nich udało się do swego pokoju nie mówiąc drugiemu nawet „dobranoc”.

Tess zeszła na dół następnego dnia po nieprzespanej nocy; aż do rana przewracała się w łóżku z boku na bok i rozpamiętywała to, co zdarzyło się na balu i po nim. Jej ciało nadal płonęło wspomnieniem pierwszej namiętności i ekstazy, i choć nadal nieco ją bolało, pragnęła Matta bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Nawet jeżeli on czuł podobnie, nie dał tego po sobie poznać; przy śniadaniu oboje zachowywali się poprawnie, jak na kuzynostwo przystoi i cierpliwie słuchali paplaniny pani Mulhaney o tym, jaki to bal pewnie był wspaniały i jak pięknie Tess wyglądała.

Tess była zaskoczona, że gdy po śniadaniu wyszła z domu

i udała się na dyżur do szpitala, Matt dogonił ją i zaproponował, że ją odprowadzi. Zgodziła się uprzejmie, po czym odprawiła Mike'a Kennedy'ego, który uśmiechnął się do nich, mrugnął porozumiewawczo i trzasnąwszy z bata, ruszył swoją drogą.

- Nie nadrabiasz przeze mnie drogi? - zapytała Tess.

- Ależ skąd. Mam do załatwienia pewien interes, a człowiek, z którym mam się spotkać, mieszka niedaleko szpitala. - Spojrzał na nią dziwnie. - 'Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. - Uniosła dumnie głowę.

- Czy nie... nie wyrządziłem ci krzywdy?

Tess stanęła na środku chodnika i spojrzała mu w oczy.

- Zraniłeś mnie - odrzekła prosto z mostu. - Ale to naturalne... tak właśnie każda z nas staje się kobietą. A ciebie nic to nie powinno obchodzić, tym bardziej że nie chciałeś ode mnie niczego poza tanim dreszczykiem emocji!

- Tess, jak możesz?!

- A właśnie że tak! Czuję się jak uliczna dziewczka! - wypaliła gorzko. - Nie czujesz do mnie nic oprócz pożądania i gdybym to wcześniej wiedziała, nigdy nie przyjechałabym do Chicago!

Matt oparł się ciężko na lasce i usiłował opanować gniew, gdyż z naprzeciwnika zbliżał się ku nim jakiś mężczyzna.

- Ty nic nie rozumiesz... Nie wiesz, co do ciebie czuję.

- Wiem tylko, że z idiotycznym uporem nie chcesz pogrzebać duchów z przeszłości, i że w końcu zniszczy to nie tylko twoje, ale i moje życie!

- Duchów?! - krzyknął z wściekłością.

- A tak! Właśnie, że duchów! Nie masz prawa... - Urwała w pół słowa, gdyż mężczyzna, który nadszedł z naprzeciwnika, nagle zatrzymał się i z uwagą zaczął się przyglądać twarzy Matta, teraz zastygłej w masce furii.

Mężczyzna miał na sobie elegancki garnitur, a w rękę niósł laskę o srebrnej gałce, bardzo podobną do tej, na której opierał się Matt. Po chwili roześmiał się ironicznie.

~ A niech mnie kule biją! Indianiec! Tu w mieście! Nic dziwnego, że my, biedni żołnierze, nie mogliśmy was znaleźć na prerii! Wszyscy uciekliście do miast, jak te wielkie byki, co podróżują wraz z Buffalo Billem Codym i zarabiają pieniądze na tym jego show z Dzikiego Zachodu.' Ty też jesteś w showbiznesie, chłopcze? - Oparł się na laseczce i patrzył na Matta najwyraźniej ignorując groźny błysk w jego oczach. - Z jakiego szczepu pochodzisz, chłopcze?

Matt wyprostował się, zeszywniał i powoli wypuścił dłoń Tess.

- Moje życie prywatne to nie pański interes - odpowiedział z perfekcyjną dykcją i idealnym akcentem.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Pyskаты jesteś jak na Indiańca, co?

- Proszę pozwolić nam przejść - odrzekł Matt.

Ale tamten przeniósł wzrok na Tess.

- Czy ty nie masz za grosz honoru, żeby prowadzić się z Indiańcem? - zapytał patrząc na nią z odrazą. - Żadna szanująca się kobieta nie chodzi pod rękę z Indiańcami! Czego ty chcesz, moja mała, zostać jego squaw? - To powiedziawszy zarechotał głośno, najwyraźniej rozbawiony własnym żartem.

Tess bez słowa, nie namyślając się długo, rąbnęła go prosto w żołądek, nie przejmując się tym, że znajdują się w miejscu publicznym. Właściwie nie wiadomo, kto był tym bardziej zdziwiony, Matt czy nieznamy.

Zabolały ją kłykie, więc pocierała je patrząc mężczyźnie z wściekłością w oczy; z pewną satysfakcją zauważyła jego pełną bólu i niedowierzania minę, a także fakt, że obiema dłońmi kurczowo ścisnął się za brzuch.

- I niech to będzie dla ciebie lekcja! - warknęła z gniewem. - Nie pozwolę, by jakkolwiek mężczyzna mówił do mnie w ten sposób i uszedł cało! Szkoda, że nie spotkaliśmy się dwanaście lat temu, gdy zawsze nosiłam przy sobie łuk i kołczan pełen

strzał. Przeszylabym twoje plugawe serce, zamiast brukać sobie tobą dłonie!

Mężczyzna był tak zaskoczony, że nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Po prostu patrzył na nią z ogłupiałym wyrazem twarzy i mamrotał coś pod nosem.

Zdegustowana Tess powiedziała mu wtedy płynnie w języku Siuksów, że jest podłym wężem o zimnym sercu.

- Co takiego? - wyjąkał mężczyzna słysząc ten dziwny język w ustach białej dziewczyny. - Ty mówisz... w ich języku?

- I co w tym dziwnego? - odparła patrząc na niego płonącymi z gniewu oczyma. - Każdy przekłety żołnierz o morderczych instynktach jest gorszy od najpodlejszego zapchlonego psa w obozie Siuksów! - Odwróciła się do Matta i ująwszy go pod ramię, zapytała głosem nadal drżącym z gniewu: - Idziemy? - Potem raz jeszcze spojrzała na zaskoczonego mężczyznę i warknęła: - Świnia!

Matt nie wiedział, czy ma się pokładać ze śmiechu, czy też zbesztać Tess za oburzające zachowanie. Obejrzał się przez ramię na mężczyznę, który nadal stał w tym samym miejscu na chodniku i trzymając się za brzuch toczył dokoła błędnym wzrokiem.

- No cóż! Nieźle dałaś mu popalić!

- Szkoda, że nie miałam przy sobie noża! Żywce obdarłabym go ze skóry! Cóż za podły, wstrętny, żaloszny mały kretyń! - powiedziała podnosząc głos tak, by tamten na pewno ją usłyszał. Najwyraźniej tak się stało, gdyż oglądając się za siebie, Matt zauważył, jak podrywa głowę i ucieka gdzie pieprz rośnie, było jak najdalej od nich.

- Uspokój się - mruknął spokojnie. - Nie ma potrzeby tak krzyczeć.

- Jak ja nie znoszę głupich mężczyzn! - syknęła Tess z wściekłością; potem popatrzyła na Matta i dodała nieco spokojniej: - Dlaczego aż tylu płacze się po tym pięknym mieście?

Nadal rozśmieszony i trochę zły, Matt zatrzymał się po środku

chodnika i spojrzął dziewczynie w oczy. Jej agresywne zachowanie w stosunku do bezczelnego mężczyzny byłoby naprawdę szalenie zabawne, gdyby nie to, że nie chciał, żeby Tess go broniła; to budziło w nim sprzeciw: nie znosił czuć się bezradny.

- Ten człowiek mnie obraził, więc to ja powinienem być zareagować - powiedział z lekką wymówką w głosie.

Tess machnęła ręką.

- Doskonale. Pozwolę ci uderzyć następnego osobnika, który cię obrazi, żebyś mi potem nie mógł wypominać, że wtrąciłam się w sprawę męskiego honoru.

Matt nie potrafił już opanować rozbawienia; odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Wielki Boże! I co ja mam z tobą począć?

Tess oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego z dziwnym, smutnym uśmiechem.

- Możesz się ze mną ożenić.

Przez ciemną twarz Matta przebiegło nagle dziwne uczucie, coś pomiędzy poczuciem winy a żalem. Znikło równie szybko, jak się pojawiło, i Tess nie potrafiła rozszyfrować jego znaczenia. Gwałtownie odwrócił wzrok i nic nie odpowiedział.

- Tak, wiem, że nigdy nie poślubisz białej kobiety - dodała Tess znużonym tonem. - Cóż, ojciec zawsze mi przepowiadał, że w końcu zostanę starą panną. Nie zostało mi nic innego, jak tylko poświęcić się opiece nad chorymi i żyć wspomnieniami ostatniej nocy.

- To było czyste szaleństwo. - Matt poruszył się niespokojnie.

- To było cudowne - odrzekła cicho, głosem ochrypłym z emocji. - Śniłam o tym całą noc.

Matt nie chciał przyznać, że on tak samo to przeżył. Uniósł wysoko podbródek i poszedł przed siebie. Nie powiedział już ani słowa o tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy, ani o ich spotkaniu z byłym żołnierzem.

- To chyba nie pierwszy raz, gdy spotykasz w mieście jakiegoś

żołnierza, który domyśla się twojej tożsamości? - spytała, gdy już podeszli do szpitala.

- Ano nie. To się zdarza od czasu do czasu.

- I co zazwyczaj wtedy robisz?

- Ignoruję ich - odrzekł spokojnie, lecz w jego oczach palił się jakiś ogień.

- Aha... No i oczywiście obdarzasz ich tym twoim słynnym spojrzeniem.

- Że co, przepraszam? - spytał unosząc brwi.

- Spojrzeniem - powtórzyła niewinnie. - Tym ponurym, pogardliwym spojrzeniem, pod którym ludzie czują się jak robaki nabite na szpilkę. Już nieraz widziałam, jakie ono wywiera wrażenie. - Matt nie raczył jej odpowiedzieć, po prostu nadal szedł przed siebie. - Tak czy inaczej, kulturalni ludzie nie obrażają nieznajomych przypadkowo spotkanych na ulicy. Nie przejmuj się tym aż tak bardzo.

- Dlaczego nie? - zapytał poważnie, po czym wreszcie zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. - Bo jestem czarną owcą z carskiego dworu albo hiszpańskim szlachcicem w przebraniu.

- Rozejrzał się dokoła z rozpaczą. - Jestem pełnokrwistym Indianinem z plemienia Siuksów! - dodał ochryple, a w jego głosie brzmiała lodowata furia. - I nic nigdy tego nie zmienię! Nic!

- A niby dlaczego miałbyś to zmieniać? - zapytała ze szczera ciekawością.

- Chcesz, żebym ci powiedział, co by się stało, gdybym nagle, wszem i wobec, oznajmił moje prawdziwe pochodzenie? Naprawdę chcesz wiedzieć? Byłbym czarną owcą nawet między moimi braćmi! Straciłbym wszystko, co posiadam, bo Indianie nie mają w tym kraju prawa własności, ani nawet prawa do głosowania! Nie mam nawet obywatelstwa, choć mają je najgłupszy emigranci, którzy nie potrafią mówić poprawnie po angielsku! Każdy, kto kiedykolwiek był w wojsku i walczył na preriach,

nadal jest moim śmiertelnym wrogiem! W całych Stanach Zjednoczonych nie ma miejsca dla czerwonoskórego!

- Ale przecież twoja skóra nie jest czerwona - przypomniała mu Tess. - Jest ślicznego brązowego koloru!

- Przestań, Tess!

- Przepraszam. - Spojrzała na niego zielonymi oczyma, w których widać było całą jej miłość dla niego. - Gdybyś się ze mną ożenił, moglibyśmy wszystko przepisać na mnie... Wiem, że twoja męska duma bardzo by na tym ucierpiała, ale przynajmniej mielibyśmy z głowy prawne komplikacje. - Matt nie uśmiechnął się; nie odpowiedział. - Zbyt się tym przejmujesz. Problem polega na tym, że nie nauczyłeś się jeszcze żyć ze swoją przeszłością. Przez dwanaście lat wypierałeś się swego pochodzenia... ale nadszedł wreszcie czas, gdy nie możesz dłużej temu zaprzeczać.

Oczy Marta zwały się w dwie czarne szparki, jak gdyby widok jej złotych loków sprawił mu ból.

- Należymy do innych ras. Ja należę do typu mongolskiego, a ty kaukaskiego.

- Wiem. I co z tego?

- Chcesz mi powiedzieć, że wcale ci to nie przeszkadza?

Tess spojrzała mu w oczy i odrzekła łagodnie:

- Znam cię od dwunastu lat. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jesteś inny niż ja. No... może z wyjątkiem oczywistych różnic - dodała z żartobliwym uśmiechem. Kiedyś uśmiechnąłby się na tę figlarną insynuację, ale przez tego idiotę spotkanego niedawno, ani drgnął. Tess przysunęła się do niego i dodała cichym tonem: - Matt, nie pozwól, by aż tak cię to dotknęło. Nie pozwól na to! Och, dlaczego nie możesz przestać zwalczać tego, co do mnie czujesz?!

Na te słowa uniósł dłoni władczym gestem i spojrzał jej w oczy.

- A gdybyśmy mieli dziecko? Gdzie byłoby jego miejsce?

- Z nami, rzecz jasna - odrzekła gniewnie.

Matt westchnął ciężko i potarł dłonią kark. Natrafiwszy na gruby warkocz schowany pod kołnierzykiem koszuli, nagle znieruchomiał. Jak miał zapomnieć o swoim dziedzictwie, jeżeli warkocz stale mu o nim przypominał. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby ściąć włosy; była to co prawda lekka niekonsekwencja, skoro nie chciał być Siuksem.

Spojrzał na Tess z bólem; starał się zapomnieć o swoich uczuciach do niej,, ale nawet gdy nie chciał się do tego przyznać, należał do niej. Zawsze tak było i zawsze będzie. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby należeć do kogoś innego.

Jednak oprócz pożądanego, paliła się w nim potrzeba zapewnienia dziewczynie szczęścia... a wyjście za mąż za Indianina byłoby dla niej najgorszym możliwym rozwiązaniem.

Jakoś nie przyszło mu do głowy, że zbytnio przejmuje się wszystkim, że robi z igły widły, ani że przecież już nieraz jakiś były żołnierz rozpoznał w nim Indianina. Co prawda po raz pierwszy tak się tym przejął. Obrażliwe uwagi tego półgłówka może i nie wywarły na nim większego wrażenia, lecz w przyszłości mogłyby sprawić przykrość Tess lub ich dziecku.

Całkiem niedawno rozwiązał pewną sprawę dla klienta, który był synem Murzyna i białej kobiety. Młody mężczyzna walczył o przyznanie mu prawa do dziedziczenia ziemi po rodzicach, lecz skończyło się to tylko śmiercią jego ojca i uwięzieniem jego samego. Matt udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że młodzieniec jest niewinny, uwolnił go z więzienia, ale nie był w stanie wrócić życia jego ojcu ani zapewnić klientowi należnego mu dziedzictwa.

Młodzieniec był tym bardzo rozgoryczony, czego nie omieszkął głośno powiedzieć; to tylko wzmogło niepokój Matta co do jego własnej przyszłości z Tess. Mieszane dzieci nie należały do żadnego społeczeństwa: Mulat przeklinał i matkę, i ojca za to, w jakiej sytuacji go postawili. Był człowiekiem bez korzeni, bez rasy, bez przynależności. Pewnego dnia podzielił się z Mattem

gorzkimi wspomnieniami ze swego dzieciństwa i od tego czasu Matt myślał o tym coraz więcej.

Tess obserwowała grę uczuć na twarzy ukochanego i wiedziała, co go trapi: te same demony, przed którymi uciekał przez ostatnie lata. Wiedziała, że pewnego dnia Matt będzie musiał zatrzymać się, odwrócić i spojrzeć w twarz prześladowającym go duchom przeszłości. Ona nie mogła zrobić tego za niego; mogła tylko stać przy nim i służyć mu oparciem w trudnych chwilach, zachęcać go i pomagać przetrwać. Dopiero teraz, gdy patrzyła, jak walczy sam ze sobą, Tess zrozumiała, że tak naprawdę Matt żywi dla niej głębokie uczucie. Jeżeli nie będzie go dręczyć, jeżeli będzie cierpliwie czekać, to może kiedyś...

- A co z Nan? - spytała nagle.

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi, jak gdyby pytanie zbiło go nieco z tropu. Już od jakiegoś czasu nie potrafił skupić się na chwili obecnej, ani na sprawie, nad którą powinien pracować.

- Pamiętasz Nan? - nalegała Tess. - Moją przyjaciółkę? Te, co siedzi w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniła?

Matt wsadził obie dłonie do kieszeni spodni i popatrzył na dziewczynę rozkojarzonym wzrokiem.

- Taak, oczywiście - mruknął po dłuższej chwili. - Przepraszam, ale wypadło mi to z głowy.

- Musimy znaleźć prawdziwego mordercę - powiedziała.

- JA muszę... - odparł, ale Tess nie dała mu dokończyć.

- Przepraszam cię bardzo, lecz ta sprawa dotyczy także mnie rzekła niecierpliwie. - Obiecałam Nan, że jej pomogę, zamierzam dotrzymać słowa. - Matt chciał oponować, lecz wystarczyło mu jedno spojrzenie na zdecydowaną minę Tess. Uśmiechnęła się do niego zwycięsko. - Miło mi, że się ze mną nie sprzeczasz. Muszę już iść na dyżur, lecz gdy tylko skończę pracę, zobaczę się z paroma osobami...

- Jeżeli jeszcze raz zbliżysz się sama do tej kamienicy, powiem Greenowi, by cię zaaresztował za bezprawne wkroczenie na teren cudzej posiadłości.

Aż sapnęła z oburzenia.

- Nie ośmielisz się!

- Tak sądzisz? Chcesz się przekonać?

Tess wykonała gniewny ruch ręką, lecz Matt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, więc założyła ramiona na piersi i spojrzała na niego ponuro.

- Muszę porozmawiać z siostrą Nan. Nawet jej mąż nie może mi tego zabronić!

- No, dobrze... ale z nikim więcej - zgodził się niechętnie, po czym zmarszczył brwi i zapytał: - Dlaczego właśnie z nią?

- A dlaczego nie? Może wiedzieć o mężu Nan coś, czego my nie wiemy. Na pewno warto spróbować.

- Chyba masz rację.

Podjęli dalszą wędrówkę do szpitala; z sinych chmur zaczął padać drobniutki śnieg. Tess złapała drobny płatek na rękę i uśmiechnęła się do siebie.

- Jak ja lubię zimę i śnieg! Uwielbiam, gdy naokoło jest biało! Ale z drugiej strony pamiętam taką zimę czy dwie, gdy już nie mogłam doczekać się odwilży!

- Ja także. - Matt nie uśmiechał się. Pamiętał ciała zabitych leżące na zmarzniętej ziemi pod Wounded Knee. Pamiętał, jak żołnierze w granatowych kurtkach wrzucali ciała do zbiorowej mogiły... ramiona i nogi porozrzucane pod dziwnymi kątami, jak gdyby stworzył je jakiś szalony artysta...

Tess po minie poznała, o czym Matt myśli, ale nie odezwała się ani słowem. W obecnym stanie ducha Matt sam powinienem uporać się ze swymi wspomnieniami... i choć bardzo pragnęła mu pomóc, wiedziała, że w tej chwili byłby to daremny trud.

Zatrzymali się tuż przed szpitalem. Tess odwróciła się i popatrzyła na niego swoimi niesamowitymi oczami.

- Podejrzewam, że masz mnóstwo pracy - powiedziała. - Pewnie dzisiaj już się nie zobaczymy.

- A to dlaczego? - zapytał przyglądając się jej bacznie.

- Nie chcę zajmować twego cennego czasu. - Tess wzruszyła lekko ramionami.

To pozornie niewinne zdanie wzbudziło jego ciekawość i nieufność zarazem. Przyjrzał się jej uważnie.

- Co ty znowu knujesz?

- Dziś wieczorem idę na zebranie - odrzekła. - Po dyżurze nie wrócę już do domu, a ponieważ zebrania zazwyczaj trwają do późna, nie sądzę, byśmy się jeszcze dziś zobaczyli. To wszystko.

Matt wyglądał na zaniepokojonego.

- Myślisz, że nieco przesadziłem z reakcją na tego gościa tam - powiedział ruchem brody wskazując kierunek, z którego przyszli.
- Ale ty nie rozumiesz, jakie to uczucie. Nie pochodzisz z mego ludu, choć wiesz o nim pewnie więcej niż większość białych.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że dziewczynę przeszedł dreszcz; czyżby Matt w ten sposób wznosił między nimi niewidzialny mur?

- Czy to tym właśnie stałam się dla ciebie? - zapytała cicho.

- Jeszcze jedną białą kobietą? Jeszcze jedną bladą twarzą?

Matt zacisnął szczękę.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie zamierzam wpychać się na siłę do twojego życia - odrzekła po chwili. - Jeżeli chcesz, bym przeprowadziła się na inną stację, wystarczy, byś mi o tym powiedział. Chicago to duże miasto. Nie musimy się ciągle widywać, jeżeli tego nie chcesz...

Matt doznał szoku; wciągnął powietrze z głośnym sapnięciem.

- Nie powiedziałem nic podobnego.

- Nie... ale widzę to w twoich oczach. Stoisz tu przede mną taki spokojny i opanowany, lecz wiem, że aż cię skręca z chęci wzięcia mnie do łóżka!

Matt zarumienił się; obrócił się i rozejrzał dokoła niespokojnie.

- Tess, nie mów w ten sposób! Jeszcze cię ktoś usłyszy!

- Dlaczego? Bo to, co mówię, jest takie naturalne? - Oparła dłoń na biodrze. - Wiem, że nie chcesz pamiętać o tym, co razem przeżyliśmy... ale ja się nie wstydzę tego, że kochaliśmy się tam, na plaży. Jeżeli ty się tego wstydzisz, to już twój problem!

- Wcale nie powiedziałem, że się wstydzę! - Matt jeszcze bardziej poczerwieniał i w jego oczach pojawiły się wściekłe błyski. - Jesteś jednym wielkim utrapieniem!

- I kto tu się teraz wścieka! - odpaliła unosząc brwi. - W końcu to świat mężczyzn, czyż nie? Kobiety nie odchodzą, nie dają kosza... leżą spokojnie i czekają, aż mężczyźni je porzucą!

- Wcale cię nie porzuciłem!

- A właśnie, że tak! Powiedziałeś, że nie chcesz białej kobiety za żonę, ani dziecka z białą kobietą, ani mnie w swoim życiu! I bardzo dobrze! Możesz sobie iść, dokąd chcesz, mój ty ważniaku!

- Pomachała mu ręką na pożegnanie. - Ja tymczasem pójdę poniańczyć kogoś, kto doceni moje pielęgniarskie umiejętności!

- Kogoś takiego, jak ten dandys na balu, który nie potrafił trzymać rąk przy sobie? - zapytał z wściekłością.,.

- A dlaczego nie? - warknęła w odpowiedzi. - Jemu przynajmniej nie przeszkadza kolor mojej skóry!

Matt zaczął coś mówić, lecz Tess nie dała mu szansy: odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do szpitala. Weszła do środka ani razu nie obejrawszy się.

Matt zawrócił w stronę biura, lecz był tak rozkojarzony, że omal nie wpadł pod przejeżdżający powóz. W duchu przeklinał się za to, że jest ślepy i głupi. Za to, że nie zareagował na wyzwiska tamtego drania. Powinien był od razu powalić go na ziemię i zdrowo przetrzepać mu skórę. Nie zmieniłoby to sytuacji, ale czułby się teraz o wiele lepiej.

Potem przypomniał sobie wściekłą reakcję Tess i nie potrafił opanować wesołości. To prawda, że była utrapieniem, ale miała

nieugięte serce wojownika i nikt, bez względu na płeć, nie mógł bezkarnie nią pomiatać.

Spod zmarszczonych brwi przyjrzał się niebu; ciekawe, czy będzie burza? Na niebie gęstniała pokrywa chmur, śnieg padał coraz gęstszy, a i wiatr z minuty na minutę przybierał na sile.

Poszedł do biura, przejrzał najpilniejsze sprawy, wyznaczył agentów do ich rozpracowania, a potem udał się do kamienicy, w której mieszkała Nan, i podjął porzucone przez Tess przepytывanie sąsiadów.

Pod koniec dnia Matt wiedział niewiele więcej niż Tess, ale mimo wszystko nie był to czas stracony. Jedynymi gośćmi państwa Colierów byli młodzi, zamożnie wyglądający mężczyźni. Jeden z nich szczególnie utkwił w pamięci sąsiadów: przystojny, barczysty mężczyzna o ciemnych włosach i wąsach. Jego cechą charakterystyczną było to, że na małym placu prawej ręki nosił sygnet z diamentem.

Matt nie musiał nawet pytać, kto to taki: Diamentowy Jim Kilgallen.

Kiedy już skończył przepytывać sąsiadów, zajrzał do więzienia, by zamienić słówko z Greenem. Poprzedni strażnik został zastąpiony młodym mężczyzną, uprzejmym i przyjaznym, który bez przeszkód wpuścił Matta i Briana Greena do Nan, a także bardzo życzliwie i uprzejmie odnosił się do samej więźniarki.

Nan bardzo ucieszyła się na ich widok, ale nadal była bardzo przygnębiona całą sytuacją.

- Tego okropnego strażnika nie ma już od rana - powiedziała potrząsając głową. - Sama nie wiem dlaczego... a sądząc po tym, co słyszałam, nikt inny też nie ma pojęcia, co się z nim stało. - Uśmiechnęła się nerwowo. - Cieszę się z tego niesłychanie... Był niegrzeczny... i czynił mi nieprzystojne propozycje.

Matt nic nie powiedział na temat swojego udziału w zwolnieniu nachalnego strażnika, ani o tym, kto za tym stał.

- Wyglądasz na zmęczoną, dziewczyno - burknął Brian Green.
- Może chcesz, żebyśmy ci coś przynieśli?

- Po prostu chcę wrócić do domu - odparła Nan cicho i żałośnie. - Źle się czuję... Jak oni mogą sądzić, że zabiłam człowieka... nawet takiego, który mnie bił.

- Wiele kobiet, w ostatnim odruchu rozpacz, właśnie tak czyni - powiedział cicho Matt. - Wierzę w pani niewinność, ale nie jestem ani sędzią, ani przysięgłym. Poza tym, choć bardzo się staram, nie mogę znaleźć nikogo, kto miałby równie dobry motyw, jak pani. Nie trafiłem na ślad ani jednej kochanki pani zmarłego męża...

- Davis! - wykrzyknął oburzony Green.

- No, cóż... po prostu nie znalazłem - odparł Matt niewzruszony. - Szkoda, bo inna kobieta byłaby doskonałym podejrzanym!

- Nie... Dennis nie lubił kobiet... nawet mnie - spokojnie powiedziała Nan. - Zbyt był zajęty piciem i braniem tych swoich proszków, by uganiać się za kobietami.

- Skąd brał narkotyki?

Nan westchnęła i spojrzała na nich bezradnie.

- Nie mam pojęcia. Zdawało się, że zawsze miał przy sobie mnóstwo pieniędzy... i mnóstwo proszków... ale nigdy mi nie mówił, skąd je bierze.

- Mógłbyś popytać tego dzianego kryminalistę, z którym Dennis się prowadzał - wtrącił gniewnie Green. - Tego Diamentowego Jima...

- Kilgallen nie używa narkotyków - szybko odparł Matt, by powstrzymać cierpką uwagę cisnącą się na wargi Nan. - On nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

- I jesteś tego taki pewny, co? - zapytał Green z sarkazmem.

- Tak, jestem pewny - odparł Matt. - Mam własne kontakty w podziemnym świecie i wiem o nim to i owo.

Brian Green wzruszył potężnymi ramionami.

- Cóż, przyznaję, że sam nie bardzo wierzyłem, by Kilgallen go załatwił... Po prostu bardzo martwię się o Nan i o moją żonę. Bardzo się tym wszystkim przejęta... Odkąd aresztowano Nan, nie odezwała się do mnie ani słowem... siedzi tylko w kącie, kołysze się jak dziecko i płacze...

- Myśli, że mnie powieszają, prawda? - spytała Nan z niepokojem. - Może i ma rację? Może ja jednak umrę...

- Wykluczone! - powiedział Matt szybko. - Choćbyśmy mieli wyciągnąć stąd panią siłą! Wierzymy w pani niewinność... trzeba jej jeszcze tylko dowieść!

Nan uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd weszli do celi.

- Jest pan dobrym człowiekiem, panie Davis!

- Moja kuzynka bardzo panią lubi - odrzekł.

- Jest wspaniałą przyjaciółką - cicho szepnęła Nan. - Każdy na jej miejscu odwróciłby się do mnie plecami... Jest wyjątkowo oddana i lojalna... Szkoda, że jest sama na tym świecie. Czasem dziwię się, dlaczego jeszcze nie wyszła za mąż? Mężczyźni bywają doprawdy ślepi!

Matt odwrócił wzrok.

- Jak nietoperze - burknął.

13

Siostra Nan otworzyła drzwi. Miała pobladłą twarz i chrobliwie rozszerzone źrenice, Na jej dłoniach i fartuchu Tess zauważyła ślady mąki.

- Musiałam zająć się czymś, by nie oszaleć, więc upiekłam ciasto - wyjaśniła pani Green po wstępnych powitaniach. - Proszę, niech pani usiądzie. Wiem, co pani i pan Davis robicie dla mojej biednej Nan. Jestem wam za to bardzo wdzięczna:

Tess usiadła na wskazanym jej przez gospodynię bujanym fotelu i przyjrzała się jej z nie ukrywaną ciekawością.

- Jest pani dużo starsza od Nan, prawda?

- O piętnaście lat - odrzekła pani Green. - Było nas sześcioro, lecz czwórka zmarła wkrótce po narodzinach. Z całej naszej rodziny została tylko ja i Nan... - W jej oczach zagościł smutek, gdy dodała:

- Ja sama straciłam dwoje dzieci, gdy z zaziębienia wywiązało się im zapalenie płuc... Teraz szaleję ze strachu, kiedy z pozostałą dwójką coś się dzieje. - Westchnęła. - W każdym razie robię, co w mojej mocy... - Ucichła. Najwyraźniej nie chciała dłużej o tym mówić. Po dłuższej chwili poprawiła się na krześle i spojrzała Tess w oczy.

- Czym mogę pani służyć, panno Davis?

- Meredith - poprawiła ją Tess. - Jestem z Mattem spokrewniona przez matkę - skłamała.

- Aaa... rozumiem. W takim razie, panno Meredith, czy mogę pani jakoś pomóc?

- Taką miałam nadzieję - odrzekła dziewczyna. - Czy zna pani kogoś, kto mógłby mieć powód, by zabić Dennisa Coliera?

Twarz starszej kobiety zmieniła się w maskę gniewu.

- Ten drań znęcał się nad żoną - odparła. - Nie miał żadnych ludzkich uczuć w sercu! Obchodziły go tylko jego własne zachcianki... Bił moją siostrę... okropnie ją bił. - Przymknęła oczy i zadrżała. - A Nan to takie słodkie dziecko! Nigdy w życiu nie skrzywdziła nawet muchy! A on... on tak strasznie ją traktował...

- Wiem o tym - rzekła Tess najłagodniej, jak umiała. - Nan nie potrafiłaby nikogo skrzywdzić.

- Cieszę się, że on nie żyje - powiedziała gwałtownie pani Green. - Mam nadzieję, że cierpiał przed śmiercią! Może to któraś z jego kochanie go zabiła... i daj jej Boże za to zdrowie!

Tess podchwyciła ten wątek.

- Colier miał kochanki?

Pani Green zdawała się ledwie nad sobą panować; zerknęła na Tess, lecz pospiesznie odwróciła wzrok.

- A pewnie, że tak. Nan nic o tym nie wiedziała.,, ale przede mną nic się nie ukryje. Mam przyjaciółkę, która mieszka niedaleko nich."Mówiła mi, że gdy Nan chodziła do kościoła albo do mnie z wizytą, do tego drania ciągle przychodziły kobiety.

- Czy zna pani nazwiska tych pań? - spytała Tess; w jej oczach paliło się podniecenie. Może w końcu jednak znalazła podejrzanego? - Czy pani przyjaciółka wie, gdzie mieszkają albo gdzie pracują?

Pani Green wzruszyła ramionami.

- Nie... ona ich nie znała... widywała je czasami, ale to wszystko. To były pospolite kobiety, nie żadne tam damy. - Nachyliła się do Tess i wyszeptała: - To były kobiety z burdelu!

Tess słyszała o tych przybytkach i często spotykała prostytutki, gdyż większość z nich dokonywała żywota w szpitalach, umierając

na jakieś wstydliwe choroby. Przypomniała sobie wszystkie zasłyszane od tych pacjentek historie i nagle wydało się jej dziwne, że kobieta pracująca w burdelu odwiedzała klienta w domu, pod nieobecność żony. Nie tak załatwiałoby się podobne interesy. Większość mężczyzn korzystających z usług panienek w burdelach to szanowani obywatele, ojcowie rodzin i bogobojni mężowie... Był to jeden z tych aspektów podwójnego życia mężczyzn, którego jej znajome sufrażystki najbardziej nienawidziły.

- Dlaczego Colier sam nie chodził do burdelów, tylko sprowadzał prostytutki do swego domu? - zapytała Tess.

- No... cóż... - Pani Green usiłowała wziąć się w garść.

- Podejrzewam, że chciał jeszcze bardziej upokorzyć Nan... Nie dość mu było, że sprowadza do domu swoich znajomych kryminalistów, to zapraszał jeszcze takie ladacznice....

To nie miało najmniejszego sensu. Tess omal nie wypowiedziała tych słów głośno, lecz coś w minie pani Green nakazało jej trzymać język za zębami. Zawahała się i uśmiechnęła z przymusem.

- Obawiam się, że nigdy nie dowiemy się całej prawdy - powiedziała spokojnie. - Problem polega na tym, że jeżeli nie znajdziemy prawdziwego mordercy, sąd może skazać Nan na karę śmierci.

Pani Green pobladła jeszcze bardziej.

- Wiem. - Przymknęła oczy i znowu zadygotała. - Podobno te sznury od stryczków są strasznie szorstkie... - dodała bez sensu przykładając dłoń do szyi, jak gdyby poczuła na niej dotknięcia katowskiego stryczka.

- Słyszałam, że to dość szybka śmierć - odrzekła Tess.

- Jeżeli kat ma w sercu choć odrobinę współczucia. - Edith Green patrzyła przed siebie niewidzącym spojrzeniem. - Nie mogę pozwolić na to, by powiesili moją siostrę.

- Nie powieszają jej, jeżeli odnajdziemy prawdziwego mordercę - rzekła Tess pewnym głosem. - Musi mi pani pomóc odszukać te kobiety, które przychodziły do Coliera.

- Jak? - Skrzywiła się gorzko.

- Proszę zapytać przyjaciółkę... może ktoś jeszcze coś słyszał lub widział? I proszę jej powiedzieć, by się pospieszyła... Nie mamy zbyt wiele czasu!

- Czy mogę zrobić coś jeszcze?

Tess zastanowiła się dłuższą chwilę.

- Pani nie, ale ja owszem. Dziś wieczorem idę na zebranie sufrażystek... Może mogłybyśmy pomóc Nan, gdybyśmy zorganizowały wiec albo marsz z pochodniami, gdybyśmy pokazały ludziom, jaka Nan jest dobra i jak mąż okropnie ją traktował. Może dotarłoby to jakoś do sądu i...

- To może być niebezpieczne... nawet bardzo niebezpieczne - odrzekła pani Green z obawą. - Ostatni taki marsz zakończył się zamieszkami, a mąż wspominał mi, że została pani poważnie ranna, panno Meredith.

- Tym razem będę bardziej uważać - powiedziała Tess nie wspominając ani słowem, że ostatnim razem to właśnie Dennis Colier ją zaatakował. - Poza tym bezpieczeństwo Nan jest teraz ważniejsze niż moje...

Pani Green zagryzła dolną wargę i zacisnęła dłonie na kolanach.

- Jest pani wspaniała! Żakże bym chciała być tak odważna jak pani!

- Proszę się nie martwić - odparła łagodnie Tess. - Wszystko będzie w porządku, uratujemy Nan! Obiecuję!

4

4 Uporawszy się z całą masą papierkowej roboty, którą odkładał już od dawna, Matt wrócił do domu pani Mulhaney. Zjawił się przed drzwiami dokładnie w tej samej chwili, co młody mężczyzna.

| - A co to takiego? - zapytał, gdy młodzieniec, zapytawszy go o nazwisko, wręczył mu liścik.

- Pewna pani z więzienia prosiła, bym to panu doręczył. Dała mi za to półdolarówkę!

- Więc tu masz drugą! - Matt rzucił posłańcowi monetę;

tamten schwycił ją w locie i uchyliwszy z uśmiechem kapelusza, odszedł w swoją stronę.

Matt poszedł do hallu, gdzie przy iwiotle gazowej lampy mógł spokojnie odczytać wiadomość. Spodziewał się, że to wiadomość od Nan Colier... może jakiś nowy trop, który mógłby sprawdzić?

Ku jego ogromnemu zaskoczeniu, na karteczce była nagrymolone w wyraźnym pośpiechu: *Aresztowano mnie. Proszę, przyjedź do więzienia. Tess.*

Pani Mulhaney właśnie wychodziła z kuchni wycierając dłonie w ściereczkę; zobaczywszy dziwną minę Matta i słysząc, jak pod nosem burczy przekleństwa, wykrzyknęła:

- Ależ panie Davis! Co się stało?
- Moja kuzynka została aresztowana - odrzekł bez zastanowienia.

Pani Mulhaney usiadła na pobliskim krześle, lecz zanim się uspokoiła, Matta dawno już nie było w domu.

Dotarłszy do więzienia, Matt poszedł szybko do wspólnej celi, gdzie przetrzymywano Tess, i pomachał jej przed nosem. liścikiem.

- Co to ma znaczyć, u wszystkich diabłów?! - wrzasnął z furją.
- Ależ proszę pana! Cóż za słownictwo! - oburzyła się strażniczka.

Matt uchylił grzecznie kapelusza.

- Serdecznie panią przepraszam - powiedział uprzejmie - ale aresztowanie mojej kuzynki jest dla mnie szokiem!

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego - odrzekła Tess. - Wszak musiałeś się chyba spodziewać, że kobieta mego pokroju marnie skończy!

Zrozumiawszy tę insynuację, Matt oblał się rumieńcem. Zmiał liścik w dłoni.

- Pani Mulhaney omal nie zemdłała. Na pewno wyrzuci nas oboje na zbity pysk za to, że szargamy imię jej stancjif Ta kobieta przesadnie strzeże moralności!

- Nic mnie nie obchodzi to, czy mnie wyrzuci, czy nie! I lak miałam zamiar się stamtąd wyprowadzić. - Potem wskazała na siedzącą obok kobietę, na oko niewiele od niej starszą. - Daisy powiedziała, że mogę u niej zamieszkać. Jest studentką! To, co mówiła mi o studiach, jest tak interesujące, że kto wie? Może sama się zapiszę!

- To nie ma w tej chwili żadnego znaczenia - wtrącił Matt ze złością. Tego dnia zbyt wiele zważyło mu się na głowę; zaczynał mieć dość. - Wpłacę za ciebie kaucję, a potem pójdziemy tam, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- O tej porze? - zdziwiła się Daisy ironicznie. - Wszak jest już noc! Zrukuje pan kuzynce reputację!

Matt obdarzył ją nieprzychylnym spojrzeniem.

- Reputacja mojej kuzynki to nie pani sprawa!

- Matt, jak możesz?!

Ale on nie słuchał; odwrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

- Twój kuzyn wygląda na niezłego osiłka - odezwała się Daisy. - Im mniej będziesz mieć z nim do czynienia, tym lepiej dla ciebie.

Tess przez długą chwilę przyglądała się jej w milczeniu.

- Poradzę sobie z Mattem. - Już żałowała tego, że pochopnie zgodziła się zamieszkać z tą dziewczyną; Daisy najwyraźniej nie znosiła mężczyzn. Nigdy by się nie dogadały. - Chyba nie mogę skorzystać z twojej propozycji, Daisy, choć bardzo jestem ci za nią wdzięczna - dodała. - Może Matt pomylił się co do naszej gospodyni?

- Obawiam się, że nie - rzekła nagle Ellen O'Hara. - Tess, możesz zamieszkać ze mną i moimi siostrami - zaproponowała, po czym dodała patrząc na Daisy: - A pan Davis będzie cię mógł odwiedzać, gdy tylko zechcesz.

- To bardzo miło z twojej strony - odrzekła Tess.

Ellen zachichotała.

- Oj, dodałaś takich emocji do mego żałosnego, nudnego

życia, że chyba już nie potrafię się bez ciebie obejść. Jestem pewna, że moje siostry też cię polubią. Są dużo młodsze ode mnie, ale wszystkie ciężko pracują... Razem pracujemy u pewnych bardzo miłych i kulturalnych państwa, którzy mieszkają w takim ogromnym domu tuż nad brzegiem jeziora.

- Służące! - Daisy skrzywiła się z niesmakiem.

- Żadna uczciwa praca nie hańbi - zauważyła Tess spokojnym tonem. - Poza tym uważam, że nie powinniśmy sobie nawzajem przyczepiać etykietek. To nielojalne.

Większość kobiet zgromadzonych w celi przyklasnęła, a Daisy wycofała się do kąta, gdzie wbiła wzrok w ścianę i zagłębiła się w świat własnych myśli.

Parę minut później wrócił Matt wraz ze strażniczką.

- Musisz wpłacić kaucję także za Ellen - powiedziała Tess przyciągając do siebie pulchną blondyneczkę. Jeżeli pani Mulhaney naprawdę mnie wyrzuci, zamieszkać z nią i jej siostrami.

Matt wytrzeszczył na nią oczy z niedowierzaniem.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że musisz wpłacić kaucję za Ellen.

Wyszedł bez słowa. Gdy wrócił po paru minutach, obie kobiety zostały bez słowa zwolnione z aresztu.

- Czy zanim wyjdziemy, mogę zobaczyć się z Nan? - zapytała Tess, kiedy Ellen już podziękowała Mattowi za pomoc.

- Dlaczego nie? - odrzekł ponuro. ~ Przecież i tak jest już późna noc.

Tess skrzywiła się i bez słowa ruszyła w stronę budynku, w którym przetrzymywano więźniów oczekujących na rozprawę.

Na jej widok Nan zalała się łzami i usiłowała przytulić ją przez kraty.

- Och! Jak się cieszę, że cię widzę! - wykrzyknęła. - Z dr la na dzień ogarnia mnie większe przerażenie. Czy dowiedziałas się już czegoś nowego? I pan tu jest, panie Davis? Co się stało?

- Tess została aresztowana i właśnie **przed chwilą wpłaciłem** za nią kaucję - wyjaśnił sztywno.

- Zostałaś aresztowana?! Za co?!

- Za podżeganie do buntu - odparł usłużnie Matt.

- Dziękuję ci bardzo! - warknęła Tess przez ramię.

- Ależ nie ma o czym mówić - powiedział Matt z zabójczą ironią. Nan przyglądała się im z niedowierzaniem.

- Za podżeganie do buntu? - powtórzyła.

- Taak - przyznała niechętnie Tess. - Poprowadziłam marsz na ratusz i wygłosiłam mowę o tym, że trzeba skończyć z bezmyślną brutalnością mężczyzn.

Nan śmiała się i płakała na przemian.

- Och, Tess! Ty naprawdę jesteś moją przyjaciółką!

- Oczywiście... i obiecuję, że jakoś cię z stąd wyciągnę. Uszy do góry, moja kochana. Nie możesz się poddawać.

Nan położyła dłoń na brzuchu.

- Ja już nawet nie potrafię się modlić - powiedziała cicho.

- Mój szwagier mówi, że policja nie ma żadnych innych podejrzanych. W całym Chicago nie mogą znaleźć ani jednej osoby, która by bardziej ode mnie pragnęła śmierci mego męża.

- Ale to nie ty go zabiłaś - rzekła Tess. - I my jakoś to udowodnimy.

Nan uśmiechnęła się do przyjaciółki, lecz był to uśmiech smutny i pełen rezygnacji.

Podwieźli Ellen do sypiącego się gotyckiego domu stojącego nieopodal torów kolejowych, w którym mieszkała wraz z trzema siostrami. Zanim się obejrzel, już wchodzili do domu zaproszeni na filiżankę herbaty.

Dom, w którym mieszkały panny O'Hara, był w fatalnym stanie, domagał się gruntownego remontu i było w nim zimno, gdyż jedynym źródłem ciepła był ogromny piec stojący w kuchni. Mimo to

mieszkanko było przytulne, a dziewczęta przyjazne. Domagały się, by Matt, Ellen i Tess opowiedzieli im wszystko o aresztowaniu i pobycie w więzieniu. Kiedy już wszystko opowiedzieli i wypili herbatę, Matt i Tess zebrali się do wyjścia. Myślała jednocześnie, że z chęcią zamieszka w domku sióstr, które były miłe i dobre... a ona już czuła się u nich jak u siebie.

- Pani Mulhaney cię nie wyrzuci - rzekł krótko Matt, gdy wracali na stację wynajętym powozem.

- Ależ wyrzuci, wyrzuci... - odparła Tess ze znużeniem.
- Tak czy inaczej, nic mnie to nie obchodzi... Może tak będzie lepiej?

Matt spojrział na nią z ukosa; słowa dziewczyny tylko podsyciły tłące się w nim poczucie winy. Odwrócił twarz do okna i zaczął się przyglądać mijanym domom. Była już późna godzina i mroki nocy rozświetlały tylko nieliczne gazowe latarnie.

Tess przyglądała mu się przez długą chwilę; potem westchnęła smutno i pomyślała, że więcej ich dzieli niż łączy.

- Czy ty w ogóle coś do mnie czujesz, Matt?

Nawet na nią nie spojrzął.

- Oczywiście. To, co zawsze.

- To znaczy co?

Właśnie w tej chwili powóz zaczął zwalniać.

- Nie ma teraz czasu na takie rozmowy - powiedział, gdy stanęli przed domem pani Mulhaney. - Teraz musimy zająć się o wiele poważniejszym problemem.

- Panią Mulhaney - dodała dziewczyna z lekką obawą.

- Właśnie.

Starsza pani krążyła po hallu mruczając coś gniewnie pod nosem. Na widok Matta i Tess wchodzących do jej domu, zatrzymała się jak wryta. Dziewczyna podeszła do niej bez chwili wahania.

- Moja przyjaciółka została oskarżona o morderstwo, którego

nie popełniła - powiedziała. - Razem z kilkunastoma kobietami, które znają i kochają Nan, pomaszerowałyśmy pod ratusz, by okazać jej poparcie. Zostałyśmy aresztowane przez mężczyzn.

- Uniosła dumnie podbródek. - Ma pani pełne prawo wyrzucić mnie na bruk, pani Mulhaney, i jeżeli taka będzie pani decyzja, nie odezwę się ani słowem, a jutro już mnie tu nie będzie. Potrzeba odwagi, by walczyć o słuszną sprawę, tym bardziej, że w naszym społeczeństwie, w którym liczy się tylko zdanie mężczyzn, jest ona uważana za niesłuszną.

To powiedziawszy, Tess wyprostowała się i czekała na decyzję gospodyni.

Pani Mulhaney czerwieniła się i bladła na przemian. Zawahała się, wytarła dłonie w fartuch, zamruczała coś pod nosem i skrzywiła się lekko.

- Panno Meredith, postawiła mnie pani w wyjątkowo trudnej sytuacji - powiedziała.

- W jakiz to sposób? - zapytała cicho Tess. - Czyżbym zrobiła coś niemoralnego?

- Nie! Oczywiście, że nie - odparła pospiesznie pani Mulhaney. - Chodzi mi o rozgłos...

- O moim kuzynie też mówią ludzie w całym mieście - wytknęła jej dziewczyna. - Często naraża życie...

- Ale jest mężczyzną! - dodała gniewnie starsza dama.

- Czyżby uważała pani mężczyzn za lepszych od kobiet? Odważniejszych? Sprawniejszych? Bardziej wartościowych?

Pani Mulhaney zaczęła się jąkać ze zdenerwowania.

- Chodzi mi tylko... znaczy się... muszę mieć na uwadze dobro moich lokatorów...

Tess uniosła dłoń.

- Niech pani nie mówi nic więcej - rzekła krzywiąc się lekko.

- Mam przyjaciółki, z którymi mogę zamieszkać. Proszę tylko pozwolić mi spędzić tu noc. Rano spakuję rzeczy i już więcej nie zakłócę pani spokoju.

Starsza dama miała poczucie winy.

- Proszę, panno Meredith! Musi pani zrozumieć moje położenie!

- Ależ oczywiście, że rozumiem - odparła Tess. - Resztę może pani wytłumaczyć Stwórcy, gdy obie już opuścimy ten padół łez. Jestem pewna, że On zrozumie pani brak współczucia i zrozumienia dla kobiety, którą fałszywie oskarżono... zupełnie tak, jak rozumiał tłum domagający się uwolnienia Barabasza i ukrzyżowania Chrystusa za zbrodnię, której nie popełnił!

To powiedziawszy obróciła się na pięcie i poszła do swego pokoju. Pani Mulhaney została w saloniku z otwartymi ustami; obok niej tkwił Matt zżerany zazdrością o to, że Tess jest taka elokwentna. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, zdjęła kapelusz i płaszcz, po czym ciężko opadła na bujany fotel. Nagle poczuła się strasznie samotna - nie dość, że jutro straci dach nad głową, to jeszcze będzie z dala od mężczyzny, którego kocha. A wszystko to stało się w ciągu zaledwie jednej nocy! Inna kobieta załamałaby się pod presją takich przeżyć, ale nie Tess. Z doświadczenia wiedziała, że potrafi poradzić sobie z każdą Iriodą, jaką życie rzuci jej pod nogi.

Pani Mulhaney odwróciła się do Matta; była blada i nagle wyglądała na dziesięć lat starszą, niż była w rzeczywistości,

- Czuję się wyjątkowo podle - odezwała się cichym głosem.

- Ja także. Moja kuzynka jest bardzo elokwentna, prawda?

- Czy to ja popełniam błąd? Czy powinnam pozwolić jej zostać? Wiem, że wszystko, co robi, czyni w dobrej wierze... a ja ją za to karzę. - Potrząsnęła głową ze smutkiem. - Och, panie Davis! Ten nowoczesny świat nie nadaje się dla kobiety mojego pokolenia! Obawiam się, że nie potrafię sobie z nim poradzić. Zachodzi zbyt wiele zmian... - Jeszcze raz potrząsnęła głową i z niepokojem spojrzała Mattowi w oczy. - Przecież nikt tu nic

nie wie o jej aresztowaniu... poza tym to dobra i miła dziewczyna... Czy mógłby pan porozmawiać z nią w moim imieniu? Niech jej pan powie, że pokornie proszę ją o wybaczenie i mam nadzieję, że jednak zostanie pod moim dachem.

Matt nie wiedział, co odpowiedzieć; napięcie między nim a Tess dochodziło już do punktu szczytowego. Jeżeli dziewczyna szybko nie zniknie z jego życia, czuł, że już do końca straci panowanie nad sobą. Serce podpowiadało mu jedno rozwiązanie, rozum - drugie... lecz wiedział, że musi mieć na względzie dobro Tess.

- Panie Davis? - nalegała starsza dama. - Powtórzy jej pan moje słowa?

- Myślę, że Tess powinna się stąd wyprowadzić - odrzekł poważnie, zaskakując panią Mulhaney i siebie zarazem. - Może zamieszkać z czterema siostrami, które zdają się być porządnymi i zacnymi niewiastami... Zdaje mi się także, że mają niejaki wpływ na moją kuzynkę. Może przy nich się usatkuje... Poza tym uważam, że powinna raczej przebywać z kobietami w swoim wieku.

Starsza dama zawahała się, ale tylko na chwilę.

- Byłoby mi bardzo przykro rozstawać się z nią w gniewie.
- Dopilnuję, by nie zostały między paniami żadne urazy
- obiecał Matt spokojnie. - Wszystko będzie dobrze.

Pani Mulhaney uśmiechnęła się smutno.

- Naprawdę tak pan uważa? Przyznam się szczerze, że jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak podle jak dziś... Bardzo panu dziękuję za pomoc, panie Davis. - Zawahała się. - A czy pan zostanie z nami?

- Ależ naturalnie - odrzekł.

Pani Mulhaney uśmiechnęła się słysząc te słowa, przeprosiła go, mówiąc, że musi iść do swoich obowiązków i życzywszy mu dobrej nocy, poszła do swego pokoju. Matt udał się na górę, lecz znalazłszy się w sypialni, wiedział, że minie jeszcze dużo czasu,

zanim zaśnie. Usiadł na fotelu obok łóżka i wrócił myślami do okrutnych- słów byłego żołnierza, którego spotkał rankiem na ulicy.

Odkąd przyjechał do Chicago, oszczędzone mu zostały w większości przesady i uprzedzenia, jakich doświadczali jego bracia na zachodzie kraju, w Montanie czy Dakocie. Wypierając się swego pochodzenia i dziedzictwa, uniknął wszystkich problemów związanych z byciem Indianinem w świecie białych ludzi. Ukrywał się w Chicago od 1891 roku. Po zakończeniu nauki w szkołach zaczął swą grę w udawanie... Grał kogoś, kim naprawdę nie był... i po co? Dla bogactwa? Prestiżu? Wpływów? Dla tych wszystkich rzeczy, które kiedyś, wedle słów Tess, pozwoliłyby mu żyć w tym mieście, nawet gdyby przyznał się do swego pochodzenia? Przecież Indianie podróżujący z show Billa Cody'ego spokojnie żyli wśród białych ludzi. Ale - zastanawiał się Matt - czy oni kiedykolwiek starali się zyskać aprobatę białego społeczeństwa, czy tylko zadowalali się rolą jarmarcznych małpek?

Pomyślał cynicznie, że Tess ma tak ogromną wiarę w dobrą wolę i dobrą naturę ludzi, podczas gdy on jest tej wiary całkowicie pozbawiony. Dlaczego? Od najmłodszych lat widywał okrucieństwa, do jakich zdolny jest człowiek. Pomijając Tess i jej ojca, niewiele dobrego doznał ze strony białych, kiedy nosił skórzane spodnie, łuk i kołczan pełen strzał. Tess znała go wtedy, wiedziała o nim wszystko, znała jego sekrety... i nigdy jakoś jej to nie przeszkadzało. Właściwie odnosił wrażenie, że jest z niego dumna... I nadal była przepełniona tą samą dumą, mimo iż całkowicie zmienił swój świat wartości.

Przypominając sobie, jak Tess uwielbia rozpamiętywać przeszłość i sposób, w jaki wtedy żyli, Matt poczuł się nieswojo; nie odczuwała żadnego wstydu na myśl, że jej ojciec pracował w rezerwacie wśród Indian, nie wstydziła się tego, że kocha Indianina; mówiła w języku Siuksów bez żadnych zahamowań, miała wybuchowy temperament i niezależnego ducha, którego tak w niej podziwiał.

Sprawiła, że zawstydził się własnego postępowania; nie bała się prawdy, która jego tak przerażała. Była odważna i zdecydowana; nie bała się nikogo i niczego. Udowodniła to tego wieczora prowadząc marsz pod ratusz i domagając się uwolnienia niewinnie uwięzionej przyjaciółki. Oddałaby własne życie za tych, których kochała... czyli właściwie za każdego. Nie zdziwiłby się, gdyby to samo zrobiła dla niego, nawet gdyby go nie kochała.

Wreszcie rozebrał się do bielizny - czyli długich kalesonów - i rozpuścił włosy - uwolnione z warkocza, w ciężkich puklach opadły mu aż do połowy pleców. Spojrzał w lustro wiszące nad toaletką i długo przyglądał się własnemu odbiciu. Gdy stał tak rozebrany, z rozpuszczonymi włosami, trudno było go wziąć za kogoś innego niż pełnej krwi Indianina.

Prychnął pod nosem nienawidząc własnego konformizmu; *co* też Tess powiedziała kiedyś o lustrach? Że nie lubi swojej twarzy, gdyż jest biała. Był zły na siebie za to, że przeżywa takie wahania. Nie chodziło o to, że boi się wyjawić światu swe prawdziwe pochodzenie. Po prostu czuł, że nie mógłby patrzeć na to, jak ludzie poniżają Tess tylko dlatego, że żyje z Indianinem. Teraz była jeszcze młoda i silna; miała chęć walczyć o to, co uważała za słuszne. Ale jak długo kobieta *może* walczyć sama przeciw całemu światu? Na jak długo starczy jej sił, zanim pograży się w rozpacz i zwątpieniu? Była taka mądra, odważna i piękna! Nie chciał, by jej duch załamał się pod wpływem zbyt wielu okrutnych słów rzucanych na nią tylko dlatego, że ma męża Indianina. A po tylu latach spędzonych w Chicago on nie potrafiłby już żyć w rezerwacie; wiedział, że już nigdy nie potrafiłby żyć jak prawdziwy Siuks.

Odrzucił się od lustra i pomyślał o jutrzejszym dniu, kiedy Tess wyprowadzi się ze stacji i już nie będą się widywać każdego dnia. Dobry Boże, chyba pęknie mu serce! Poza tym musiał przyznać, że martwi go pomysł mieszkania z przyjaciółkami po drugiej stronie miasta.

A jeżeli znowu się komuś narazi jak Dennisowi Colierowi? Co prawda wiedział, że nie jest całkowicie bezbronna - wszak nauczył ją podstaw samoobrony - a jednak czuł się w obowiązku ją chronić.

Zaskoczyło go cichutkie pukanie do drzwi. Podszedł i otworzył je ostrożnie zostawiając tylko wąską szparę.

- Matt?

Na progu stała Tess w nocnej koszuli i szlafroku, którego poły trzymała zaciśnięte pod szyją; miał rozpuszczone włosy.

Pospieszenie otworzył drzwi rozglądając się na boki, a potem wciągnął ją do środka; zatrzasnął drzwi i obrzucił ją ponurym wzrokiem.

- Czego chcesz? - zapytał krótko.

Tess przyglądała mu się z jawnym uwielbieniem; dawno nie widziała go prawie nagiego, z długimi włosami opadającymi na plecy.

- Wyglądasz dokładnie tak, jak dwanaście lat temu - powiedziała tęsknie. - Tak lubiałam na ciebie patrzeć.

Uniósł podbródek i popatrzył na nią krzywo.

- Czego chcesz? - powtórzył ostro. Jej jawny podziw wywołał w nim zrozumiałą reakcję, a nie chciał, by zauważyła jego podniecenie.

- Zapomniałam ci powiedzieć, czego dowiedziałam się od siostry Nan - odparła.

- I nie mogło to poczekać do jutra? - Patrzył na nią nieprzyjaźnie.

- Nie będzie mnie tu jutro rano. A na pewno nie będę miała czasu z tobą gadać... sam wspominałeś, że jesteś rano umówiony na spotkanie. Nie zajmę ci dużo czasu.

Wskazał jej fotel pod oknem.

- A ty nie usiądziesz? - spytała.

- Czy potrwa to aż tak długo? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Tess westchnęła ciężko.

- No, dobrze... będę się streszczać. - Zrelacjonowała mu pospiesznie, co pani Green powiedziała jej o prostytutkach i o tym, że postara się dowiedzieć czegoś bliżej o tych kobietach. Matt przyglądał się jej ponuro.

- Nie, to niemożliwe - powiedział po paru minutach zastanowienia. - Zrobiłem małe dochodzenie i sporo dowiedziałem się na temat nocnych wypraw Dennisa Coliera... Chodził po opium, a nie do burdeli. Poza tym żaden mężczyzna nie sprowadza prostytutek do własnego domu.

- A dlaczego nie? - zapytała. - Jeżeli chciał zhańbić Nan, to mógł to zrobić.

- Nie robił tego, uwierz mi na słowo. Gdyby sprowadzał sobie do mieszkania kobiety, wiedziałyby o tym właściciel kamienicy i wyrzuciły ich oboje *na* ulicę. Poza tym, gdy mężczyzna jest odurzony opium, nie ma ochoty na kobiety.

- Nie rozumiem.

- Kobiety go nie podniecają - wyjaśnił Matt.

- Aha.

- Powinnaś o tym wiedzieć - nalegał. - Przecież twój przyjaciel Marsh Bailey zażywał laudanum... Nie było tak?

- Tak, ale nie miałam okazji zobaczyć u niego efektów, o których mówisz - odrzekła spokojnie. - Jedyнным nagim mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam, jesteś ty - dodała po prostu.

- Czy chciałaś mi coś jeszcze powiedzieć? - spytał z trudem; nie mógł oderwać wzroku od jej smukłego ciała pod zwiewnym szlafrocikiem.

- Tylko to, że Edith Green strasznie martwi się o siostrę... Jej miłość dla Nan jest naprawdę pocieszająca. Ja nigdy nie miałam rodzeństwa...

- Pamiętam.

Tess przyglądała mu się swymi jasnymi oczyma, w których płonęło pożądanie; było ono tak wyraźne, jak bicie pulsu na jej szczupłej szyi. Wstała.

- Muszę wracać do swego pokoju - powiedziała usiłując ukryć przed nim swe uczucia. - Nie chciałam ci przeszkodzić. Widzę, że szykujesz się do snu...

- Nie - odparł krótko. - Sypiam bez ubrania.

- Och!

Cisza panująca w pokoju pełna była napięcia. Tess spojrzała mu w oczy i już nie mogła oderwać od nich wzroku.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to niebezpieczne?
- zapytał ostro Matt.

Nie potrafiła wydobyć słów ze ściśniętej krtani, więc tylko kiwnęła głową.

- Chcę, byś na mnie patrzyła. Dobry Boże, pomóż mi! Niczego na świecie nie pragnę równie mocno!

To powiedziawszy powoli zsunął kalesony; gdy opadły na podłogę, Tess wstrzymała oddech. Matt był pięknym mężczyzną, smukłym, harmonijnie zbudowanym i... podnieconym.

Matt podszedł do łóżka i wyciągnął się na nim. Jego czarne włosy rozsypały się po poduszce. Leżał, drżąc z oczekiwania i pożądania.

Tess przysunęła się do niego; w jej oczach paliło się pragnienie i zarazem wahanie.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - zapytała o c h r y p l e . |

Odwrócił głowę i utkwiał w niej spojrzenie czarnych błyszczących oczu.

- Wszystko, co tylko zechcesz.

Zrzuciła szlafrok, a potem drżącymi dłońmi sięgnęła do wąskich " ramiączek koszuli.

- Wszystko, tylko nie to.

Tess przełknęła ślinę.

- Nie chcesz na mnie patrzeć? - spytała drżącym głosem.

- Bardzo. - Zacisnął szczęki aż do bólu. - Ale to zbyt niebezpieczne.

- Proszę. - Zsunęła ramiączka, cały czas patrząc mu w oczy.

- Błagam... pozwól mi! Tak bardzo tego pragnę!

Matt skrzywił się, lecz nie odezwał się ani słowem, gdy dziewczyna zsunęła koszulę z ramion i zrzuciła ją na podłogę. Przymknął oczy i zadrżał.

- Umrę, jeżeli to jest wszystko, co możemy mieć - wykrztusiła Tess udręczonym głosem.

- Ja też... - W jego głosie słychać było ulgę i rozpacz jednocześnie; pokonała go. Wyciągnął do niej ramiona.

Upadła na niego, a on natychmiast przekręcił ją na plecy, tak że leżała pod nim, jej nogi splecione z jego nogami, ciało "ocierające się o ciało, skóra o skórę.

- O, Boże... -jęknęła czując jego męskość przyciśniętą do jej miękkiego brzucha. W pokoju paliły się wszystkie lampy gazowe, lecz ona nie była zawstydzona; byli nadzy... a on taki piękny! Jakże podniecał ją sam jego widok!

Matt uniósł się lekko i przyglądał się jej przez długą chwilę, dopiero potem pochylił głowę nad jej piersiami... ale i wtedy nadal był łagodny i czuły. Cały czas szeptał jakieś dziwne, czułe słowa. Długo tylko całował jej ciało, a gdy wreszcie zaczął ssać brodawki, Tess przycisnęła zaciśniętą pięść do ust, by powstrzymać jęk rozkoszy. Czuła jego długie włosy otulające ją niby skrzydła kruka, jego usta na swoim ciele, jego nogi, zaplątane między jej uda. Mart wsunął jedną rękę pomiędzy jej uda i pieścił ją łagodnie, aż wreszcie wygięła się w łuk i wyprężyła w ekstazie.

Ale i tego było im za mało. Patrzyła na niego oczyma rozszerzonymi z nie spełnionego pożądanego, gdy prowadził jej dłoń w dół swego ciała.

- Musi... być... jakiś sposób - szepnęła Tess. - Och, Boże! Jak ja cię pragnę! Chcę mieć cię w sobie... całego we mnie!

- Tess!

Leżała pod nim, ocierała się o niego, potem objęła go aksamitnymi udami i cały czas patrząc mu w oczy przyciągnęła go do siebie. Nie miał siły się opierać. Przez długą chwilę leżał wpatrując

się w jej oczy, błagając niemo o opamiętanie, a potem - widząc jej pragnienie i rozpacz - wszedł w nią jednym długim pchnięciem, tak że aż sapnęła z zaskoczenia. Mimo inicjacji sprzed dwóch nocy, zabolą ją to... Matt poruszył się łagodnie i po chwili ból ustąpił miejsca niewysłowionej przyjemności. Dziewczyna zeszywniała i wbiła mu palce w ramiona.

- Wiem, że cię zabolą, ale już więcej nie będzie boleć... obiecuję. Obejmij mnie.

Posłuchała go zafascynowana nowym błyskiem w jego oczach i dziwnymi, nowymi doznaniem.

- Tylko nie krzycz i nie jęcz - szepnął cicho z ustami tuż przy jej ustach. - Odgłosy miłości łatwo jest rozpoznać. - Niestety, rozpaczliwie skrzypiały pod nimi sprężyny materaca. - Wiem... narobimy mnóstwo hałasu...

Odsunął się od niej, aż jęknęła ze strachu, że go utraci. Wstał z łóżka i pociągnął ją za sobą.

- Pozwoliłabyś mi posiąść cię w salonie na dole przy otwartych drzwiach - mruknął patrząc z podziwem na jej nagie, drżące ciało. - Teraz już rozumiesz, jakie to gwałtowne? Jakie niekontrolowane? Próbowałem cię ostrzec, ale mnie nie słuchałaś. A teraz oboje musimy ponieść tego konsekwencje.

- Pragnę cię - jęknęła rozpaczliwie Tess.

- I będziesz mnie miała - odparł ochryple. Położył ją na miękkim dywanie i przez długą chwilę stał nad nią drżąc z pożądania; potem podszedł do drzwi, pospiesznie zamknął zasuwę i obrócił klucz w zamku.

Wrócił do niej, podziwiając jej pełne piersi, sterczące w podnieceniu, drgające biodra i to, jak jej oczy szklily się pożądaniem.

Położył się obok niej, potem przetoczył na nią i wszedł w nią jednym pchnięciem; zalkała i zadrżała. Przesunął dłonie na jej miękkie pośladki i zaczął przyciągać je do siebie w odwiecznym rytmie namiętności. Dziewczyna zarzuciła ramiona nad głowę i mrużąc cicho, płacząco, pozwalała, by ją brał.

Nigdy nie podejrzewał, że Tess jest zdolna do takiego wybuchu namiętności, do tak dzikiego, niczym nie skrępowanego pożądania. Poruszała się pod nim z drapieżnością dzikiej kocicy i zagryzała wargi do krwi, by stłumić jęki. Poruszał się w niej tak, jak chciała, lecz nadal nie mogła osiągnąć upragnionego rozładowania.

- Przestań... -jęknęła wreszcie unosząc ku niemu ciało wygięte w łuk. - Już dłużej nie mogę! Przestań, proszę!

- Nie krzycz - szepnął ochryple, Wszedł w nią mocno i niemal brutalnie. Prawie natychmiast osiągnęła szczyt, gryząc go w ramię, by nie krzyczeć z rozkoszy; dopiero gdy niemal nie straciła przytomności i opadła bezwładnie na podłogę, on wreszcie znalazł rozładowanie. Przymknął oczy i poddał się wstrząsającym nim spazmom.

Później leżeli tuż przy sobie, oblani potem mimo chłodu panującego w pokoju. Tess nie mogła złapać tchu; jej długie włosy były wilgotne i splątane. Kurczowo trzymała Matta, jakby się bała, że zaraz wstanie i odejdzie od niej.

~ Nigdy nie myślałem, że mógłbym aż tak pożądać kobiety
- szepnął Matt ochryple. - Byłaś taka piękna...

- I ty też - odparła cichutko. Tuliła się do niego z całej siły.
- Dobry Boże, co my teraz zrobimy?

- Żebym to ja wiedział - odparł ponuro. Nadal drżał po przeżytych spełnieniu i ledwo łapał oddech.

- Wcale nie żałuję - szepnęła. - Nigdy nie będę tego żałować!

- Ja też nie... to było cudowne - rzekł cicho. - To było najpiękniejsze, najwspanialsze doświadczenie w moim życiu.

t Uśmiechnęła się do siebie słysząc te słowa.

- Miło mi to słyszeć, nawet jeżeli naprawdę tak nie myślisz.

Matt przeturlał ją na plecy i oparłszy się na łokciu, spojrzał jej poważnie w oczy.

- Oj, naprawdę tak myślę. Nie potrafiłbym skłamać w tak ważnej sprawie.

Spoglądała w jego czarne źrenice świadoma wyrazu, jakiego

do tej pory w nich nie widziała: mieszaniny dumy, pożądania i... czegoś jeszcze. Czegoś ciepłego, smutnego i spokojnego, czego nigdy wcześniej nie ujawnił.

Delikatnie przesunął dłonią po jej nagim ciele.

- Teraz należysz do mnie - powiedział. - W każdy możliwy sposób.

- A ty do mnie, Matt.

- Nic nie rozumiesz... Jest jeszcze *coś oprócz* gorącej namiętności, której przed chwilą doświadczyliśmy. Znacznie więcej.

Patrzyła na niego wyczekująco.

- Co?

Odetchnął głęboko i na chwilę przymknął oczy.

- *Zaraz ci powiem* - rzekł *po* dłuższej chwili, - Odkładałem to na później przez wiele lat, lecz po tym, co się stało, nie mogę tego dłużej przed tobą ukrywać.

Wstał nagle i podszedł do toaletki; nalał wody do miednicy i zmoczywszy dwa ręczniki, podał jeden dziewczynie. Usiadł obok niej na dywanie i otarł pot z ciała. Ona uczyniła to samo.

- Krwawiłaś tym razem? - zapytał nagle.

- Nie. - Zarumieniła się po uszy. - Poprzednio'tak, ale teraz już nie.

Matt uśmiechnął się łagodnie.

- Dzięki temu nie było tak źle, jak czasem bywa za pierwszym razem.

- Wiem. - Odłożyła na bok wilgotny ręcznik i spojrzała na niego z uwielbieniem; był piękny, niczym doskonała grecka rzeźba w muzeum.

- Podobasz mi się naga - szepnął z uśmiechem,

- Co chcesz mi powiedzieć? - zapytała Tess nagle poważniejąc. - Czy to coś nieprzyjemnego?

- Właściwie to nie. - Oparł się plecami o łóżko i przyciągnął ją do siebie. - Pamiętasz ten dzień, gdy poszliśmy razem do rezerwatu i spotkaliśmy tam starego Rączego Jelenia?

BEZDOMNA

- Tak - szepnęła przymykając oczy. - Czuła się kochana potrzebna i bezpieczna; chciała, by to trwało wiecznie, - Pewnie że pamiętam.

- To spotkanie nie było przypadkowe. Poprosiłem go, by przyszedł.

- Tak?

- Był szamanem i moim krewnym. Spotkaliśmy się wkrótce po tym, jak spojrziałaś na mnie w szpitalu.

- To także pamiętam - odrzekła rumieniąc się lekko.

Z uśmiechem pogładził jej wilgotne włosy.

- Bałem się, że coś się wydarzy... mimo iż robiłem wszystko, co w mojej mocy, by zachować między nami bezpieczny dystans.

- Westchnął. - Może przewidziałem jakoś to, co się zdarzyło dzisiejszej nocy? Tak czy inaczej, chciałem cię ochronić... a na to był tylko jeden sposób. Rączy Jeleń pomógł mi w tym.

- Jak?

- Pamiętasz ten rytuał, który odprawił? Wtedy jeszcze nie znałaś naszego języka.

- Pamiętam.

- Nigdy wcześniej ci tego nie wyjaśniłem.

- Wiem, *często* zastanawiałam się, dlaczego.

- Bo nie było takiej potrzeby. *To, co* zrobił Rączy Jeleń, nie ma żadnego znaczenia w twoim świecie. Było to ważne tylko w świecie moich braci... w świecie, do którego wtedy i ja należałem. Ale gdyby coś miało się stać, chciałem, byś nie była sama.

- Nie rozumiem.

Matt zawahał się, jego ręka na włosach dziewczyny znieruchomiała.

- Tess, Rączy Jeleń udzielił nam ślubu.

14

Przez chwilę Tess nie wierzyła własnym uszom... nie odezwała się ani słowem i czekała, aż jej otępiały umysł pojmie to, co Matt powiedział. Potem spojrzała mu w oczy.

- Udzielił nam ślubu? - powtórzyła zaskoczona.

Matt skinął głową.

- Tak. Wedle praw Siuksów jesteśmy małżeństwem, mimo iż nie dałem twemu ojcu koni, ani nie zalecałem się do ciebie w odpowiedni sposób. Rączy Jeleń wiedział, co do ciebie czuję. Niektóre dziewczynki z naszego plemienia wychodzą za mąż w wieku czternastu lat... czasem nawet wcześniej. Mimo młodego wieku, byłaś już wtedy kobietą... Nie mniej niż dzisiaj,

- Nigdy nawet mnie nie dotknąłeś.

- Ale pewnego wieczora podglądałem cię przy kąpieli... Teraz wstyd mi za to, ale wtedy było to najpiękniejsze doświadczenie mojego życia. Nie wiedziałaś, że cię obserwuję... Byłaś taka piękna!

- I ty mi wypominałeś, że zerknęłam na ciebie w szpitalu!

Matt uśmiechnął się lekko.

- Już wtedy pożąдалиśmy się nawzajem... Powinniśmy byli przewidzieć, że gdy będziemy przebywać razem, tamy trzymające nas na przyzwoitą odległość, prysną! Po tym, jak pieściliśmy się

tamtej nocy, **po balu u Jima Kilgallena, wiedziałem już, że to nieuniknione...**

- Żałujesz?

- Nie.,, i mam nadzieję, że i ty niczego nie żałujesz - odrzekł potrząsając głową. - Biali mogą nas potępić" za to, że spiamy ze sobą nie będąc w formalnym związku, lecz wedle prawa Siuksów jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat!

Tess aż sapnęła; potem spojrzała na niego z ogniem w oczach.

- A ty mnie zdradzałeś!

Matt uniósł brwi; w jego oczach zapaliły się wesołe ogniki, lecz nic nie odpowiedział na to oskarżenie.

- Przecież ty nic nie wiedziałas o naszym małżeństwie! - A po chwili dodał spokojnie: - A być może doświadczenie, jakiego nabyłem, sprawiło, że dzisiaj mogłem ci dać tyle przyjemności.

Tess zarumieniła się po uszy i przytuliła mocno do niego.

- Ta przyjemność była nieco przerażająca.

- Wiem. - Przyciągnął ją do siebie i pogładził po włosach.

- Ja też nigdy jeszcze nie doświadczyłem niczego podobnego.

- Czy mogę dziś spać z tobą?

- Chcę tego bardziej, niż czegokolwiek na świecie... ale wiesz, że w tym społeczeństwie jest to niedopuszczalne.

- Aha. A ty bardzo byś nie chciał opowiadać swoim białym znajomym, jak i dlaczego zawarliśmy związek małżeński.

Matt nie odpowiedział; przyjemność zatarła wszystkie jego wątpliwości na jakiś czas, lecz gdy teraz spojrzał na Tess, wróciły do niego ze zdwojoną siłą. Zmarszczył brwi i położył rękę na jej brzuchu. Dziewczyna przekręciła się na plecy i cały czas patrząc mu w oczy pozwalała, by wodził palcami po gładkiej powierzchni jej skóry. Doskonale wiedziała, o czym Matt myśli.

- Czy to byłoby naprawdę aż tak okropne, gdyby się stało?

W jego oczach czaił się smutek; nie odpowiedział, tylko nadal delikatnie gładził jej brzuch. Tess patrzyła na niego i myślała

o tym, jak bardzo pragnie mieć z nim dziecko. Co zrobiłby Matt, gdyby zaszła w ciążę? Czy posłałby ją do jednej ze swych obytych w świecie przyjaciółek, by pomogła jej pozbyć się go? Na twarzy Tess pojawił się nagle strach i Matt to zauważył.

- O co chodzi?

- Te kobiety... twoje znajome... - zaczęła, nie wiedząc, jak skończyć. - Powiedziałeś, że one wiedzą, jak przerwać ciążę...

Przygryzła wargę tak mocno, że w jej oczach pojawiły się łzy bólu.

- Och... nie! - szepnął Matt pospiesznie. - Nie, Tess! Nie mógłbym prosić cię o coś podobnego! Nigdy! - W jego głosie słychać było takie przerażenie, że Tess uwierzyła mu, jednak nadal była zmartwiona. Zbyt często Matt powtarzał jej, że nie chce mieć z nią dziecka. Zmusił go do tego, by się z nią kochał, by zaspokoił jej potrzeby, lecz nie zastanowiła się nad konsekwencjami. Dopiero teraz poczuła ukłucie poczucia winy.

- Jeżeli będziesz miała dziecko, to nie będzie to tragedia - powiedział Matt krótko. - Nigdy nie powiem ci, że żałuję tego, co dziś zrobiliśmy. Pragnąłem cię aż do bólu... Nie mogłem się powstrzymać.

- Ani ja... Ale przykro mi, że zmusiłam cię do czegoś, czego wołałbyś nie robić.

- Jak mógłbym żałować? W twoich ramionach było mi jak w niebie - rzekł łagodnie. - Wiem, że i tobie było dobrze.

Tess przymknęła oczy i oparła policzek o jego pierś.

- I co my teraz zrobimy?

Matt nie odpowiedział; nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Postąpili nierozważnie, podjęli straszliwe ryzyko wbrew jego rozsądkowi i wbrew jego woli... ale nie mógł jej za to winić; pragnął jej równie gorąco, co ona pożądała jego. Poza tym, jak mógłby żałować tak wstrząsającego orgazmu? Było dokładnie tak, jak zawsze marzyły; a teraz będą musieli stawić czoło wszelkim możliwym konsekwencjom. I modlić się, by nie wynikły.

Jakiś czas potem ubrali się i Tess niechętnie, z ociąganiem, podeszła do drzwi; obejrzała się na niego przez ramię.

- Nie martw się - odezwał się Matt cicho. - Najważniejsze jest to, byśmy się nie spieszyli.

- Pani Mulhaney chce, bym się wyprowadziła.

Matt skinął głową.

- Niezupełnie, ale uważam, że będzie najlepiej, jeżeli się wyprowadzisz. - Spojrzał na dywan, na którym niedawno się kochali. - Wiesz, że robilibyśmy to ciągle, dopóki ktoś by nas na tym nie przytapał i nie naplotkował. Wiesz przecież, że tak by było...

Tess wciągnęła powietrze z cichym jękiem.

- Pewnie tak. Ale czy nie zapomnisz o mnie, kiedy już zamieszkał z Ellen? Nie wyrzucisz mnie całkowicie ze swego życia?

- Ależ oczywiście, że nie! Za kogo ty mnie uważasz?

- odparł, a potem uśmiechnął się, by nieco rozładować napiętą atmosferę. - Poza tym mamy przecież sprawę do rozwiązania.

- Nan! - sapnęła Tess. - Och, Boże! Zupełnie o niej zapomniałam!

- Biorąc pod uwagę okoliczności, wcale mnie to nie dziwi!

- odrzekł Matt z uśmiechem.

- No, cóż... biorąc pod uwagę okoliczności... - Tess odwzajemniła uśmiech.

- Lepiej idź już do swego pokoju, zanim ktoś nas przytapie tak rozebranych, ty bezwstydną ładacznico! - dodał tak czule, jakby te słowa były najpiękniejszym komplementem.

- I kto to mówi!

- Dobranoc! - Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobranoc - odrzekła Tess w języku Siuksów i wystawiwszy ostrożnie głowę na korytarz, upewniła się, czy nikogo nie ma w zasięgu wzroku. Potem wyszła pospiesznie i udała się do

swego pokoju; zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Nogi miała jak z galarety, a serce waliło jej jak szalone. Matt kochał się z nią na podłodze, przy zapalonym świetle! Nadal nie mogła złapać tchu po tak wstrząsającym przeżyciu! Chciała kochać się z nim jeszcze raz, i jeszcze... aż do rana, ale musi się stąd już jutro wyprowadzić. I co Matt czuje do niej teraz, gdy już zaspokoił swą żądzę? Jak będzie patrzył na wszystko jutro, w zimnym świetle dnia? Czy nie będzie na nią zły za to, że przyszła do niego prawie naga i uwiodła go bezwstydnie? Czy będzie się martwił ryzykiem ciąży? Czy nie wyrzuci jej raz na zawsze ze swego życia, gdy tylko okaże się, że nie będzie dziecka?

Położyła się do łóżka, lecz długo nie mogła zasnąć.

Schodząc następnego dnia rano na dół, ubrana w swój najelegantszy kostium, z walizką w dłoni, Tess nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Musiała wyteńczyć wszystkie siły, by przybrać bojową minę i nie dać po sobie poznać, jakie piekło przechodzi wyprowadzając się z tego domu. Podeszła do drzwi jadalni; na szczęście Matta nie było wśród domowników. Pani Mulhaney spojrzała na nią znad talerza z poczuciem winy jasno wypisanym na twarzy.

- Zadzwoiłam po Mike'a Kennedy'ego, pani Mulhaney - rzekła Tess do gospodyni. - Dołączyłam koszt połączenia do tygodniowego rachunku - dodała podając starszej damie kopertę.

Pani Mulhaney wstała od stołu i podeszła do dziewczyny; w dłoniach miętoszyła rąbek fartucha, co było oznaką najwyższego zdenerwowania.

- Naprawdę nie miałabym nic przeciwko, gdyby zdecydowała się pani zostać - powiedziała cicho. - Nikt tu nic nie wie o wczorajszych wydarzeniach... Ale pan Davis zdaje się uważać,

że najlepiej dla pani będzie, jeżeli zamieszka pani z przyjaciółkami. Mam nadzieję, że nie rozstaniemy się w złości...

- Niech pani nie będzie niemądra - odparła Tess, żałując szorstkich słów, jakie wczoraj wypowiedziała pod adresem gospodyni. - Wiem, że była pani dla mnie bardzo dobra... i proszę mi wybaczyć to, co wczoraj powiedziałam. To było głupie i okrutne! Nie chciałam, by wypadło to aż tak melodramatycznie.

- Nie ma o czym mówić. Pani przyjaciółka znalazła się w wielkich tarapatkach, a pani tylko chce jej pomóc. Każdy by to zrozumiał. Czy na pewno da pani sobie radę, moja droga?

- Oczywiście. Ellen i jej siostry to dobre dziewczęta i na pewno poradzą sobie razem. Do widzenia, pani Mulhaney.

- Do widzenia, panno Meredith.

Na dworze czekał na nią powóz; Mike Kennedy wrzucił jej walizkę na górę i pomógł Tess wsiąść do środka.

- Dokąd tym razem, panienko? - zapytał uprzejmie, a kiedy podała mu adres domu Ellen, dodał z uśmiechem: - Aaa... to będzie dom panien O'Hara... znam je wszystkie. W całym Chicago nie ma lepszych dziewcząt. Takie porządne i ciężko pracujące.

- Mam nadzieję, że przeze mnie nie stracą tej opinii - odparła Tess ponuro.

- Przez panienkę?! A to dobry żart! - Mike chichotał zamykając drzwi powozu i wdrapując się na kozioł.

Tess oparła się o poduszki potrząsając głową. Mike Kennedy nie miał pojęcia, ile szumu narobiła Tess w swoim krótkim życiu i ile jeszcze narobi. Położyła sobie dłoń na brzuchu i przymknęła oczy; miała niejasne wrażenie, że mimo dzielących ich różnic, przed nią i Mattem jest jeszcze wspólna przyszłość.

Ellen bardzo się ucieszyła na jej widok. Dała Tess własny pokój, niezbyt duży, lecz jasny i czysty. Niestety miały bardzo mało czasu na bliższe zaznajomienie się, gdyż podobnie jak Ellen i jej siostry, Tess musiała spieszyć się do pracy.

- No, co prawda nasza praca nie jest tak szlachetna jak twoja - powiedziała żartobliwie Ellen - lecz w końcu jesteśmy tylko biednymi, niewykształconymi dziewczętami z przedmieścia.

- O jej! - zezłościła się Tess. - Przecież cała różnica polega na tym, że ja miałam możliwości, a wy nie.

- Bardzo się cieszę, że zamieszkas z nami - dodała łagodnie Ellen. - Miałam przeczucie, że ta stara Mulhaney cię wyrzuci, kiedy tylko usłyszysz, co się stało. Jest taka przyzwoita, że prowadzi swój pensjonat niczym klasztor.

- To bardzo miła kobieta - odrzekła Tess spokojnie. - Raz, gdy Matt zabrał mnie na bal charytatywny, pożyczyła mi nawet swoją etolę z norek.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Ellen z niedowierzaniem. - Kto by pomyślał!

Przypomniawszy sobie, co zdarzyło się po tym balu, Tess zarumieniła się lekko, lecz szybko zapanowała nad emocjami i wesoło pożegnawszy się z Ellen, pobiegła do szpitala.

Miała nadzieję, że dzisiejsza nieobecność Matta przy śniadaniu nie miała nic wspólnego z jego wyrzutami sumienia po wspólnie spędzonej nocy. Potem przypomniała sobie jego słowa, że ma do załatwienia pilny interes z samego rana... Poczowała się nagle tak, jakby po długim deszczowym dniu wyszło słońce. Uśmiechnęła się do siebie i zaczęła nucić pod nosem jakąś wesołą melodyjkę. Życie byłoby doprawdy cudowne, gdyby tylko zdołała wyciągnąć Nan z więzienia, namówić Matta do spojrzenia w oczy duchom przeszłości... no i gdyby udało się wywalczyć prawo głosowania dla kobiet! Ale jeżeli uda się jej osiągnąć tylko pierwsze dwie z tych rzeczy, także będzie szczęśliwa!

Z samego rana Matt odszukał Stanleya; miał dla młodego człowieka zadanie do wykonania, które wymagało sprytu, inteligencji i odwagi. Młodzieniec był zachwycony tym, że szef wreszcie uwierzył w jego zdolności i chce powierzyć mu zadanie nieco bardziej odpowiedzialne, niż napełnianie piór atramentem. Niestety, kiedy dowiedział się szczegółów, serce w nim zamarło.

- Chce pan, żebym poszedł do burdelu?! - zapytał z niedowierzaniem. - Ależ panie Davis! Ja obiecałem matce, że...

- Nie chcę, żebyś tam coś robił! - odrzekł Matt z irytacją.
- Chcę tylko, żebyś zadał parę pytań. Zdobyłem nieco nowych informacji w sprawie zamordowania Dennisa Coliera i proszę, byś je sprawdził. Chcę wiedzieć, czy znała go któraś z zatrudnionych tam pań... - Skinął głową w stronę słynnego przybytku rozpusty.

- T mam udawać... klienta? - Stanley przełknął z trudem.

Matt zaczynał już tracić cierpliwość.

- Masz po prostu zebrać informacje... jesteś przecież detektywem! Wyglądasz na młodzieńca godnego zaufania i, jeżeli mogę się tak wyrazić, nie stwarzającego zagrożenia.

' - Dlaczego sam pan nie pójdzie? - odważył się zapytać Stanley.

- Bo niedawno aresztowałem szefową tego przybytku pod zarzutem oszukania klienta. Jestem pewien, że rozpoznałaby mnie z daleka i żadna z jej dziewcząt nie chciałaby ze mną rozmawiać.

- Powiedział pan, że to będzie niebezpieczne zadanie - mruknął młodzik z wyrzutem; czuł się oszukany.

Matt poklepał go po ramieniu.

- Na miły Bóg, synu! Wszak to jest niebezpieczne - rzekł najpoważniej, jak umiał. - Pomyśl tylko: możesz zostać zgwałcony! - Stanley obdarzył go niechętnym spojrzeniem, lecz Matta wcale to nie zraziło. - Ochroniarz tego przybytku zawsze nosi przy sobie rewolwer. Jeżeli nie będziesz uważał, może cię postrzelić, więc nie wykonuj zbyt podejrzanych ruchów!

Młodzieniec natychmiast się rozchmurzył; to mu się już bardziej podobało.

- Zrobię, co w mojej mocy, proszę pana. Jakich informacji pan potrzebuje?

- Chcę wiedzieć, czy Dennis Colier był regularnym klientem. Czy spotykał się tu z jakąś konkretną dziewczyną, czy też brał, co popadło. A przede wszystkim, muszę wiedzieć, czy kiedykolwiek zapraszał którąś z dziewcząt do domu.

- To może nie być takie łatwe - rzekł Stanley powoli. - Ale obiecuję, że zrobię, co tylko w mojej mocy.

To powiedziawszy poprawił krawat, strzepnął pyłek z rękawów marynarki i poszedł w stronę drzwi przybytku rozpusty.

Matt czekał na niego na zewnątrz z niepokojem czającym się w czarnych oczach; nie mógł pozwolić, by chłopcu stało się coś złego. Nie kłamał mówiąc, że to niebezpieczna okolica, a ochroniarz w burdelu wyjątkowo nie znosił detektywów, co było wyłącznie zasługą Matta.

Minęło dziesięć minut; Matt zerknął na zegarek... jak na razie idzie nieźle. Właśnie gratulował sobie w duchu; że tak ładnie rozwiązał całą sprawę, gdy na zapleczu burdelu rozległy się odgłosy ciężkich uderzeń; obawiając się najgorszego, Matt popędził w dół ulicy.

W chwili gdy stanął przy kuchennych schodach przybytku złej sławy, na ziemię potoczył się Stanley - miał rozchełstaną koszulę, był z lekka oszołomiony i obity. Zaraz za nim pojawił się ogromny mężczyzna z rewolwerem w dłoni. Chłopiec nie miał najmniejszych szans. Mimo iż z okien wychylały się dziewczęta, Matt wiedział, że policji powiedzą dokładnie to, co każe im szefowa.

Czując dzikie walenie serca, sięgnął pod marynarkę i wyciągnął długi nóż myśliwski, który zawsze nosił tam na wszelki wypadek.

Teraz bardzo się cieszył z własnej przezorności; ujął nóż za sam czubek ostrza gotując się do rzutu i zaczekał, aż ochroniarz wykona pierwszy gest świadczący o jego złej woli.

- Ty szczeniaku! Nikt nie ma prawa gadać z dziewczętami bez płacenia! Za takie wściubianie nosa w nie swoje sprawy będziesz mieć teraz nie lada kłopoty!

- Zostaw go w spokoju! - krzyknął Matt groźnie, lecz tamten tylko odwrócił się i wycelował z rewolweru.

- A kto mnie zmusi?! - odwrzasnął wściekle.

Odbezpieczył pistolet dokładnie w tej samej chwili, gdy Matt zamachnął się i rzucił w niego nożem: długie ostrze z przyprawiającym o mdłości świstem przecięło powietrze, przebiło materiał marynarki i wbiło się aż po rękojęść w ramię opryszka. Ochroniarz tylko jęknął. Instynktownie zacisnął palce na spuście, lecz kula ugodziła nieszkodliwie w mur... po czym rewolwer wypadł mu ze zmartwiałej ręki.

Stanley z trudem łapał powietrze widząc, jak Matt bez chwili wahania podchodzi do ochroniarza. Mężczyzna leżał na bruku na plecach, lecz na wszelki wypadek Matt kopnął rewolwer jak najdalej od jego ręki, po czym postawił mu nogę na klatkę piersiową i jednym ostrym szarpnięciem wyciągnął mu nóż z rany. Patrząc pokonanemu przeciwnikowi prosto w oczy, przyłożył mu zakrwawiony czubek noża do gardła; minę miał taką, jakby zamierzał łąda moment pchnąć.

- Na miłość boską! - jęknął płaczkliwie pokonany ochroniarz.
- Ja tylko wykonuję swoje obowiązki!

Stanley wstrzymał oddech; szeroko otwartymi oczyma patrzył na swojego szefa trzymającego w dłoni długi nóż - zdawało mu się, że widzi go po raz pierwszy w, życiu. Irytujący, stoicko spokojny mężczyzna, dla którego pracował od lat, nagle okazał się kimś zupełnie obcym; przerażającym człowiekiem, w którego oczach błyszczało coś śmiertelnie groźnego i który trzymał straszny nóż z zadziwiającą zręcznością. I nagle Stanley zrozumiał,

że jego szef nie jest wygnanym carewiczem, ani Cyganem, ani arabskim księciem z Hiszpanii. Młodzieniec widział podobne rysy i umiejętności u Indian występujących w show Billa Cody'ego i już nie miał żadnych wątpliwości co do pochodzenia swego szefa.

- Stanley, nic ci się nie stało? - zapytał Matt nadal patrząc ochroniarzowi prosto w oczy.

- Nic, proszę pana - wyjąkał chłopak. Pozbierał się na nogi, otrzepał i drżącymi rękoma podniósł kapelusz z ziemi.

Matt pochylił się i wytarł ostrze noża o kurtkę rannego ochroniarza.

- Masz wiele szczęścia, przyjacielu - powiedział cicho. - Kiedyś zabijałem takich jak ty za samo to, że ośmielili się celować do mnie z rewolweru.

Wyprostował się i wsunął nóż do pochwy wiszącej u pasa. Nadal nie odrywając wzroku od leżącego na ziemi opryszka, wycofał się z alejki i gestem nakazał Stanleyowi to samo. Młodzieniec podążył za nim, lekko chwiejąc się na nogach. Był zawstydzony i zdenerwowany, a przede wszystkim nieco przestraszony nowo odkrytym obliczem pracodawcy.

Matt zatrzymał się dopiero na chodniku szerokiej ulicy i obrócił się do chłopaka.

- Na pewno nic ci się nie stało? - zapytał patrząc na pomocnika przesywającym wzrokiem.

- Na pewno, panie Davis - odparł młodzieniec odważnie.

- Co tam było?

- Znalazłem dziewczynę, która znała pana Coliera - powiedział podnieconym głosem. - Rozmawiałem z nią, naprawdę tylko z nią rozmawiałem, gdy do pokoju wpadł ten jegomość i zaczął krzyczeć, że nikt nie ma prawa przebywać z dziewczętami bez płacenia. Kazał mi zapłacić dwadzieścia dolarów i iść do diabła. Właśnie sięgałem do kieszeni po pieniądze, gdy zaczął mną poniewierać.

- On jeszcze długo nie będzie nikim poniewierać.

- Oj, nie, proszę pana, oj nie! - Stanley spojrział na rękojeść noża wystającą z pochwy u pasa Matta. - Nigdy nie widziałem,

by ktoś w Chicago tak rzucał nożem... oprócz show Buffalo Billa, gdzie...

- Naprawdę?

Stanley nie odważył się zadać nurtującego go pytania, natomiast zrelacjonował to, czego dowiedział się od prostytutki.

- Ta dziewczyna, Lily, znała pana Coliera. Podobno lubił przychodzić do niej, brać ją za rękę i opowiadać o tym, jak to żona źle go traktuje. Nigdy nie chciał od niej niczego więcej, rozumie pan? Chciał tylko, by go słuchała. Lily powiedziała mi, że Colier rozmawiał tylko z nią, ale nawet ona nie była u niego w domu... - Spojrzał na Matta ponuro. - Ona ma dopiero siedemnaście lat i nie jest zbyt ładna, ale miła i taka jakaś... smutna. Mówiła mi, że lubiła pana Coliera, bo tylko z nią rozmawiał, nie kazał jej robić tych wszystkich rzeczy, których wymagają inni klienci. - Zarumienił się po uszy. - Szkoda mi jej.

- Mnie szkoda ich wszystkich - odparł Matt spokojnie. - Są właściwie białymi niewolnicami... a szefowa tego przybytku, to paskudna jęzda. Dziewczeta nic jej nie obchodzą, dla niej liczy się tylko zysk. A kiedy dziewczyna zarazi się jakimś syfem, co jest nieuniknione przy tym zawodzie, baba wyrzuca ją na bruk.

- Czy policja nie może jakoś temu zaradzić?

- Mogą najwyżej zamknąć burdel - odparł Matt. - A ona wyjedzie do innego miasta i tam założy nowy przybytek. Dopóki po tym świecie chodzą mężczyźni, którzy są żądni tego typu usług, zawsze będą kobiety spełniające ich zachcianki. Na tym polega życie w wielkim mieście.

- Podejrzewam, że ma pan rację,, ale to i tak bardzo smutne. Matt zmarszczył brwi.

- Ale to wszystko nie ma sensu - odezwał się w zamyśleniu.

- Powiedziano mi, że Colier sprowadzał prostytutki do swego domu... Natomiast to, czego ty się dowiedziałeś, przeczy tej teorii.

- Może sprowadzał sobie dziewczyny z innego burdelu?

- zapytał Stanley zastanowiwszy się chwilę.

- Nie wiem... Trzeba się będzie temu przyjrzeć.

- Czy mogę jakoś pomóc, proszę pana?

Matt uśmiechnął się krzywo.

- Jeszcze nie straciłeś ochoty, Stanley? Nadal chcesz być detektywem? - spytał z łagodną ironią w głosie.

Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu i potrząsnął głową.

- To wchodzi w krew.

- W takim razie\ ty się tym zajmij. Ale najpierw muszę skonfrontować to, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, z moimi wcześniejszymi informacjami.

- Dziękuję panu za zaufanie, panie Davis. Przykro mi, że pana zawiodłem... Byłem nieco oszołomiony, a ten upadek ze schodów pozbawił mnie oddechu i... - pospieszenie tłumaczył się młodzieniec, ale Matt przerwał mu.

- Stanley, sam raz czy dwa leciałem ze schodów, więc nie musisz mi mówić, jakie to uczucie.

Młodzieniec skinął głową. W jego wzroku czaiło się pytanie, które Matt od razu dostrzegł.

- O co chodzi? - spytał niecierpliwie.

Stanley już chciał go zapytać, lecz potem pomyślał, że właściwie lubi swoją pracę i nie chce ryzykować pochopnymi spekulacjami co do pochodzenia Matta, więc tylko się uśmiechnął.

- Ależ o nic, proszę pana. Pójdę teraz do biura i dokończę papierkową robotę.

- Doskonale.

- Dziękuję za wszystko, proszę pana!

Matt odprowadził młodzieńca wzrokiem. Stanley był najwyraźniej skonfundowany. Pewnie domyślił się, gdzie i jak Matt nauczył się tak posługiwać nożem, lecz zbyt go szanował, by zadać pytanie wprost. Nie chodziło chyba o to, że młodzieniec się go boi - wszak Matt nie stanowił dla niego żadnego zagrożenia - a jednak zarzucił temat i odszedł. Dlaczego? To pytanie jeszcze długo nie dawało mu spokoju.

Potem wrócił myślami do Tess i ostatniej nocy; wiedział, że gdy wróci na stację, już jej tam nie zastanie. Na tę myśl ogarnęła go pustka i smutek, Będzie musiał się przyzwyczaić do tego, że nie widuje jej codziennie... ale to może nie być takie złe. Oboje potrzebują nieco czasu, by ochłonać po tym, co się między nimi wydarzyło.

Matt nie wiedział jeszcze, jak zaadoptuje się do nowej sytuacji, lecz jednego był pewien: nie może stracić Tess. Już wie.

Chciał się z nią spotkać w publicznym miejscu, bo wiedział, że jeżeli znajdą się sam na sam, znowu skończą na jakimś dywanie na podłodze. Zjawił się przed szpitalem właśnie w chwili, gdy Tess po zejściu z dyżuru podchodziła do powozu Mike'a Kennedy'ego.

Na jego widok dziewczyna zatrzymała się jak wryta, a oczy pod szerokim rondem kapelusza zabłyśły jej radośnie.

On także się uśmiechnął i podszedł do niej; nie dotknął jej, lecz przez długą chwilę wpatrywali się w siebie z napięciem.

- Jak się masz? - zapytał łagodnie.

- Doskonale. Podoba mi się u Ellen, a dziewczęta są wspaniałe.

- Cieszę się. - Matt skinął głową.

- Czy dowiedziałeś się czegoś nowego, co mogłoby pomóc Nan? - zapytała zgadując, że to z tego powodu przyszedł się z nią zobaczyć.

- I tak, i nie - odparł. - Znaleźliśmy dziewczynę z burdelu, która utrzymywała kontakty z Dennisem Colierem. Problem polega na tym, że nie miała z nim żadnych intymnych kontaktów, ani nie zna nikogo, kto by je miał.

- Jakie to dziwne! - wykrzyknęła Tess. - Przecież pani Green powiedziała mi, że Dennis miał całe mnóstwo kochanek!

- Zastanawiam się, czy ona naprawdę coś wie, czy tylko zgadywała? - powiedział Matt zamyślnym tonem.

- Mówiła o tym takim tonem, jakby była wszystkiego święcie pewna. Niby dlaczego miałyby kłamać? Nienawidziła Coliera za to, jak traktował jej siostrę.

- Może szukamy w niewłaściwym miejscu? - odrzekł Matt, a jego oczy zwięzły się lekko. - Mogę zapytać o to i owo Jima Kilgallena... ma mnóstwo różnych kontaktów na mieście. Może będzie wiedział coś więcej niż pani Green o wyprawach Coliera do burdeli.

- Coś mnie tu niepokoi. - mruknęła Tess, gdy odprawili Mike'a i poszli powoli chodnikiem w stronę centrum miasta. - Powiedziałaś, że po zażyciu opium Colier nie będzie... zdolny... do kontaktów z kobietami. A jednak załatwiał różne ciemne interesy ze swoimi podejrzanyymi znajomymi.

- Przede wszystkim załatwiał różne drobne sprawy dla Jima Kilgallena - wyjaśnił Matt. - Ale potem wdał się w handel opium i innymi narkotykami, a jeszcze później zaczął zażywać to świństwo i przekazywać swoim znajomym wiadomości z telegrafu dotyczące przewozu dużych sum pieniędzy dla banków. Słyszałaś chyba o kasiarzach, co?

- A kto nie słyszał? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. Potem wzruszyła ramionami i dodała: - Colier był zamieszany w całe mnóstwo ciemnych interesów, a jednak zabiła go kobieta. Co do tego nie ma wątpliwości. I choć naprawdę nie wierzę, by to Nan była winna, muszę ci powiedzieć coś, o czym wcześniej ci nie wspominałam.

- Co takiego? - zatrzymał się w pół kroku.

- Tego wieczora, gdy zamordowano Dennisa, Nan miała krew na rękawiczkach.

Matt wciągnął powietrze z głośnym sykiem.

- Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Dlatego, że pomyślałbyś dokładnie to, co myślisz teraz!

- odpaliła z gniewem. - Ta krew automatycznie wskazuje na jej winę, prawda?! Ale ona powiedziała, że to krew kurczaka,

którego przygotowywała na obiad! Chyba wiesz, że kurczaki krwawia, gdy się je zabija?

Matt patrzył jej w oczy nieruchomym wzrokiem.

- Tess, a skąd Nan wzięłaby żywego kurczaka? - spytał poważnym tonem. - W mieście kurczaki kupuje się na bazarze... a tam wszystkie już są martwe.

15

O, Boże - jęknęła Tess. Poczowała się nagle tak, jakby cały świat zwałił się jej na głowę. Dosłownie się zgarbiła, głowa jej opadła. - O wielki Boże!

- Czy bardzo spieszysz się do domu? - zapytał Matt ni z tego, ni z owego.

- Nie, skądże.

- W takim razie chodź! - Ujął ją za rękę i pociągnął za sobą w dół ulicy. *

Złapał przejeżdżającą dorożkę i niedługo potem byli już na posterunku policji; chciał porozmawiać z policjantem, który był na miejscu zbrodni, gdy znaleziono ciało Dennisa Coliera, ale okazało się, że właśnie pojechał interweniować w sprawie jakiejś małżeńskiej kłótni. Matt nalegał tak długo, aż wreszcie, dla świętego spokoju, oficer dyżurny dał mu požądany adres. Matt podziękował mu uprzejmie, po czym pociągnął Tess do następnej dorożki i podał woźnicy adres.

- Chyba nie chcesz wpaść w sam środek jakiejś burdy i zadawać pytań nie związanych z...

Ale Matt nie dał jej dokończyć.

- Tylko jeżeli nie będę miał innego wyjścia - obiecał mrukliwie, po czym spojrzął na nią rozweselony. - Czyżbyś nie

wierzyła, że potrafię sam się obronić? Myślisz, że pijacka burda to dla mnie za dużo?

- Nie o to chodzi. Sądząc po liczbie rannych przywożonych codziennie do szpitala, odniosłam wrażenie, że połowa mieszkańców Chicago zawsze chodzi uzbrojona po zęby, jak nie w rewolwery, to chociaż w noże. - A potem, przypomniawszy sobie wszystkich rannych po bitwie o Wounded Knee, dodała cicho: - Przepraszam, nie chciałam wywołać wspomnień.

- Nie musisz mnie przepraszać, nie jestem aż tak przewrażliwiony - odrzekł łagodnie. - Nauczyłem się żyć ze złymi wspomnieniami.

- Ale wszystko inne, co dotyczy twojej przeszłości, jest tu *tematem tabu*.

- Wiesz przecież, że się staram. - Przyjrzał się jej z nie ukrywaną ciekawością. - Tobie to naprawdę nie przeszkadza, prawda?

- Że jesteś Indianinem? Ależ skąd! - Bez zmrużenia patrzyła mu w oczy; Matt uśmiechnął się.

- Dlaczego?

- Bo pochodzisz z dumnego narodu, który przez długie lata żył w pokoju na swojej ziemi i wspaniale się nią zajmował, dopóki biali ludzie nie napadli, żeby ją odebrać. - Na jej wargach pojawił się smutny uśmiech. - Pamiętam, jak twoich braci mierzył widok białej kobiety, która biła swoje dziecko. Dzieci Siuksów nigdy nie bywały bite, od maleńkości uczono je szacunku dla starszych, ale nie znały uderzenia ręki ani rzemienia.

- Masz rację.

- Pamiętam też, jak twoi bracia dzielili się wszystkim... i że najczęściej najbardziej szanowani byli ci najbiedniejsi, gdyż to oni właśnie oddawali swym braciom wszystko, co mieli. - Potrząsnęła głową. - Dla Siuksów rzeczy materialne nie przedstawiają żadnej wartości, ale biali nie potrafią żyć bez oznak swego bogactwa. Muszą mieć największe domy, najpiękniejsze

meble i najdroższe ubrania... a dokoła nich biegają maleńkie dzieci marznące i przymierające głodem.

- I które z nas jest teraz Siuksem? - mruknął Matt pod nosem.

Tess spojrzała na niego spod oka.

- Ja jestem Indianką w sercu, a ty jesteś biały na zewnątrz.

Słyszając jawne oburzenie w jej głosie, Matt uniósł brwi. Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, gdyż dorożka zatrzymała się przed domem, z którego odchodziły okropne odgłosy walki. Tuż przy krawężniku stała policyjna karetka.

- Sądząc po odgłosach, to istne piekło - burknęła Tess. -

- Pewnie masz rację - odparł Matt i pomógł jej wysiąść z dorożki. Podeszli do schodów, a wtedy odezwał się woźnica karetki.

- Panienko, niech panienka tam nie wchodzi! Tam jest niebezpiecznie! - zawołał.

Tess obdarzyła go urażonym spojrzeniem i nie zwołała nawet kroku.

- Proszę pana, niech pan ją powstrzyma! - przerażony woźnica krzyknął do Matta, ale on tylko roześmiał się wesoło.

- Jeżeli ją powstrzymam, to kto mnie obroni, kiedy już tam wejdem?

Policjant opadł na kolana najwyraźniej zbyt zaskoczony, by wydusić z siebie choć słowo. Tess roześmiała się głośno.

- I za to właśnie kocham cię najbardziej - mruknęła Tess, gdy już weszli do kamienicy. - Nigdy nie traktujesz mnie jak bezbronne dziecko.

- Przecież doskonale wiem, że nie jesteś bezbronna. Niby kto wsadził strzałę w tyłek Czejenowi, który mierzył do mnie z Winchestera?

- Aaa! To były dzikie, szalone dni! - odrzekła dziewczyna z westchnieniem; zaraz potem zatrzymali się przed drzwiami, zza których dochodziły potworne hałasy. - Swego czasu Bill Cody zaproponował mi pracę w swoim show z Dzikiego Zachodu...

Mówił, że byiałbym nie lada atrakcją... mała biała dzicwczynka, która potrafi strzelać z łuku i doskonale mówi w języku Siuksów.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

~ Bo nigdy mnie o to nie pytałeś! - wytknęła mu ze stoicku powagą. - Poza tym, miałam nadzieję, że pewnego dnia będziesz miał dość Chicago i wrócisz do mnie, do Montany.

- Było we mnie zbyt wiele smutku, zbyt wiele przykrych wspomnień. Ale wiem, że stary Rączy Jeleń poszedł z Codym. Spotkałem go, gdy występowali w Chicago - dodał cicho.

- Powiedział mi, jak fatalnie zrobiło się w Pine Ridge po tym, jak wyjechałem... Mówił, że po masakrze ludzie zaczęli się wstydić tego, że są Siuksami... że zaczęli wierzyć, iż Wielki Duch się od nich odwrócił, bo w przeciwnym razie jakże by mógł pozwolić białym na takie zwycięstwo? Podobno nie chcieli już czarowników, nie ufali im i wygonili ich z wioski. Cóż, resztę znasz... Jeżeli nie jesteś biały, jesteś bezwartościowy...

- Czy ty też się tak czujesz?

Skinął głową, lecz coś w jego oczach powiedziało Tess, że to nie jest cała prawda.

- Coś się stało? - zapytała.

- Tak.

- Co takiego?

- Dzisiaj mój młody podwładny ugryzł się w język i nie zadał mi pytania o moje pochodzenie... I to nie dlatego, że się mnie bał - dodał po chwili. - Nie zadał tego pytania, bo był pełen podziwu.

- Nie rozumiem - odrzekła zaskoczona tą dziwną uwagą.

- Rzuciłem nożem w ochroniarza burdelu, który celował do mnie z rewolweru. - Roześmiał się krótko. - A ten gnojek był pod wrażeniem... jednak zbyt mnie szanuje, by zadać kępujące mnie pytanie. Wyobrażasz to sobie?

- No, jasne! Ja sama byłam pod twoim wrażeniem od dnia, gdy skończyłam czternaście lat! - Tess wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Może ja sam powinienem poprosić Billa Cody'ego o pracę? Najwyraźniej potrafi przywrócić Indianom wiarę w siebie pokazując światu, jak wspaniałymi są wojownikami.

- To taniocha.

- Ale atrakcyjna. Poza tym wprawia to w zachwyt tłumy, a rząd ma tego coraz bardziej dość. - Uśmiechnął się złośliwie. - Dzięki Cody'emu niektórzy wodzowie stali się sławni na całym świecie.

- W takim razie jestem usatysfakcjonowana - odrzekła poważnie.

Matt właśnie zaczął coś odpowiadać, lecz w tej samej chwili drzwi do mieszkania się otworzyły i wyszło przez nie trzech posiniaczonym i obitych mężczyzn. Zaraz potem zobaczyli policjanta leżącego w mieszkaniu na podłodze; nieszczęśnik wrzasnął, by powstrzymali opryszków. Matt spojrzął pytająco na Tess, która bez wahania skinęła głową.

Tak więc Matt przewrócił pierwszego z obwiesiów i wrzucił z powrotem do przedpokoju. Tess podeszła do drugiego i władowała mu kolano w podbrzusze, a gdy zgiął się z bólu, poprawiła drugim kolaniem w podbródek, tak że był nieprzytomny, zanim zdążył opaść na podłogę.

Trzeciego powstrzymał ostrzegawczy strzał oddany przez policjanta, który właśnie pozbierał się na nogi i chwiejnie wyszedł na korytarz. Opryszek uniósł ramiona do góry i z niedowierzaniem popatrzył na dwoje ludzi, którzy pokonali jego koleśków.

- Jestem panu dozgonnie wdzięczny - wysapał policjant przykładając chusteczkę do długiej rany na czole.

- Ja załatwiłem tylko jednego. Ona - wskazał na Tess - zajęła się drugim.

- Naprawdę? Policjant popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jestem starym, doświadczonym wojownikiem z plemienia Siuksów - powiedziała dziewczyna z pokerową miną.

- Nie takim znowu starym - mruknął Matt z uśmiechem.
- Ale nadal potrafi zwalić mnie z nóg, gdy tylko zechce.

Policjant roześmiał się, nie bardzo wiedząc, czy ma wierzyć tej dziwnej parze. Potem zawołał policjanta z dołu i kazał mu zapakować do karetki trzech obwiesiów.

- Będziemy też potrzebować ambulansu - dodał policjant.
- Omal nie załatwili na śmierć swego ojca... leży nieprzytomny w mieszkaniu.

- Zaraz kogoś pošlę.

- Jestem pielęgniarką, mogę jakoś pomóc? - zapytała Tess.

- Ależ oczywiście!

Zaprowadził dziewczynę do mieszkania, gdzie na podłodze leżał posiniaczony i poraniony starszy mężczyzna. Tess opatrzyła go w miarę możliwości, podczas gdy Matt rozmawiał z policjantem.

- Na posterunku powiedziano nam, że tu pana zastaniemy - zaczął, gdy już przedstawił siebie i Tess i wyjaśnił, dlaczego chcieli się z nim spotkać. - Muszę wiedzieć, w jakim stanie była kuchnia Colierów, gdy pan się tam zjawił.

Mężczyzna spojrział na niego ze zdziwieniem; najwyraźniej nie takiego pytania się spodziewał.

- Cóż, był tam okropny bałagan - powiedział po chwili zastanowienia. - Zdaje się, że pani Colier zabiła kurczaka na obiad, oskubała go i ugotowała,, jednak nic nie posprzątała, bo pióra wały się po całej kuchni. Powiedziała nam, że dostała kurczaka od sąsiada, który go co prawda zabił, ale nie wypatroszył... Musiała zrobić to sama i nie posprzątała, bo gotowała obiad dla gościa, którego spodziewali się wczesnym wieczorem, a potem spieszyła się na jakieś zebranie. Nigdy specjalnie nie wierzyłem w tę historijkę.

Bo i nie jest prawdziwa, pomyślał Matt. Jim Kilgallen powiedział mu przecież, że nie zjadł kolacji u Colierów, tylko zrzucił Dennisa ze schodów i zabrał Nan do siostry i szwagra. Nie mieli

czasu na posprzątanie kuchni. Nan najwyraźniej nie chciała nikomu mówić o swoim związku z Jimem Kilgallenem, ale to, co powiedział policjant potwierdzało jej wersję wydarzeń... wyjaśniało też obecność krwi na jej rękawiczkach. Matt miał ochotę zakląć. Nadal nie byli ani trochę bliżej rozwiązania zagadki, a Nan miała już bardzo mało czasu; rozprawa miała się odbyć za niecały tydzień.

Zostało jeszcze jedno pytanie do zadania:

- Tak się zastanawiam, czy któryś z sąsiadów wspominał panu, że do Coliera przychodziły prostytutki, kiedy jego żony nie było w domu.

- Dobry Boże, nie. - *Policjant* zamyślił się i po chwili dodał: - Nie, prostytutki na pewno nie, ale ktoś widział kobietę wybiegającą z jego mieszkania zaraz po tym, jak Colier wrzasnął, że go mordują. Niestety miała na sobie ciemny płaszcz i kapelusz. Świadkowie, z którymi rozmawiałem, mówili, że była chuda i miała pociągłą twarz. Nie wyglądało mi to na panią Colier, ale świadkom czasem miessa się w głowach.

- Tak, wiem. - Starał się przypomnieć sobie kogoś pasującego do tego opisu, lecz nie potrafił. Natomiast Tess kojarzyła fakty bezbłędnie. Widział, jak pobladła i zrozumiał, że wie już, kto odpowiada temu rysopisowi. Była to ostatnia osoba, którą Tess podejrzewałaby o zamordowanie Dennisa Coliera... aż do tej chwili.

Na szczęście zachowała zimną krew i nie odezwała się ani słowem, dopóki nie znaleźli się sam na sam. Zrobiła, co mogła, dla rannego staruszka i zaczekała z nim, dopóki nie nadjechał ambulans ciągnięty przez dwie wychudłe szkapy. Do mieszkania weszło dwóch sanitariuszy, którzy znali ją ze szpitala, więc wymienili pozdrowienia i skinąwszy uprzejmie głowami Mattowi i policjantowi, zanieśli rannego do szpitalnego pojazdu.

- Bardzo państwu dziękuję za pomoc - powiedział policjant, na co Matt uśmiechnął się nieco sztucznie.

- To my bardzo panu dziękujemy - odparł, nadal nie potrafiąc spojrzeć na Tess.

- *Wiedzą państwo, że pani Colier siedzi w więzieniu pod zarzutem morderstwa?*

- Tak, wiemy - rzekła Tess i pożegnawszy się uprzejmie, pociągnęła Matta na ulicę.

- Coś sobie przypomniałaś, prawda? - zapytał, gdy już znaleźli się poza zasięgiem słuchu policjanta.

- Tak! Matt, naprawdę nie przypominasz sobie nikogo pasującego *do tego* rysopisu? - spytała, patrząc na niego oczyma rozszerzonymi z przejęcia. - Nie znasz nikogo, kto by nienawidził Dennisa Coliera i pragnął jego śmierci?

- Ależ oczywiście! - Matt zdziwił się, że dopiero teraz o tym pomyślał. - Mój Boże! Siostra Nan... Edith Green!

- Właśnie! - wykrzyknęła dziewczyna. - Nie rozumiesz? Zrobiła z nas głupców! Dawała nam fałszywe wskazówki i starała się, byśmy zapomnieli, że oprócz Nan to właśnie ona miała najlepszy powód, by zamordować Coliera!

- Czy ta kobieta ma aż tak twarde serce, że pozwoli, by sąd skazał jej własną siostrę za zbrodnię, którą sama popełniła? - szepnął zdumiony Matt.

- Mam wrażenie, że zrobiła to powodowana jakimś gwałtownym uczuciem... Może on ją uderzył, albo groził, że zabije Nan? Nie sądzę, by była zdolna do morderstwa z zimną krwią... nie sądzę, by to zaplanowała.

- Masz rację. No cóż, pani detektyw? Dokąd teraz?

- Chodźmy *do* pani Green i przekonajmy się, czy potrafimy zmusić ją do przyznania się do winy!

- Brian Green będzie w domu - powiedział Matt potrząsając głową. - Boże, jakże mi go szkoda! W jego wieku, nigdy się z tym nie pogodzi...

- Jeżeli zatrudnią dobrego adwokata, może pani Green jakoś się wybroni? Bóg jeden wie, że żadne prawo nie zabrania zabijania podstępnych jadowitych węży!

Matt roześmiał się cicho.

- % czego się śmiejesz?

- W naszym języku nazywamy się „Lakota” czyli „związek przyjaciół”, to biali mówią na nas „Siuks”... Wiesz, co to znaczy? Jedni twierdzą, że to znaczy „wróg”, ale nie mam pojęcia, w jakim języku. Inni mówią, że to skrócona wersja słowa *nadewisou*, które oznacza „jadowity wąż”.

- Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś!

- Bo ja nie jestem jadowitym wężem - stwierdził szczerząc zęby w uśmiechu. - Ale Dennis Colier był i może pani Green ma jeszcze jakąś szansę. Znam doskonałego adwokata z Teksasu, który przyjedzie tu, by ją reprezentować, jeżeli tylko go o to poproszę. Był z nami, ochotnikami Roosevelta, na Kubie.

v

Tess aż sapnęła ze zdumienia.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że byłeś na Kubie! Tata też nic mi o tym nie wspominał! Wiedział o tym?

- Tak. Postanowiliśmy ci tego oszczędzić... tylko byś się niepotrzebnie zamartwiała!

- Takiś tego pewien?

Matt nagle spojrzął na nią smutnymi oczyma.

- Już kiedy miałaś czternaście lat, podejrzewałem, że mnie kochasz. Potem dorosłaś i nigdy nie wyszłaś za męża, a twój ojciec mówił mi, że ciągle o mnie gadasz... nawet całe lata po tym, jak wyjechałem do Chicago. On też podejrzewał, że mnie kochasz... Nie miałem nic przeciw temu, byś przyjechała tu do mnie... musiałem tylko uporać się z moimi przesądami na temat dzielących nas różnic. Starałem się ciebie chronić, jak zawsze... dopiero dzisiaj zrozumiałem, że nie potrzebujesz mojej ochrony, że doskonale radzisz sobie sama... Naprawdę masz serce wojow-

nika. - Uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny. - Nie rozumiesz, że gdybym cię tu nie chciał, nie zabrałbym cię do domu pani Mulhaney? Może znalazłbym ci pracę w innym mieście? Ale nie zrobiłem tego...

Tess westchnęła ciężko i potrząsnęła głową.

- Chciałeś, bym tu z tobą została?

- Kocham cię. Naprawdę jeszcze tego nie wiesz?

Zaczął padać drobny śnieg. Było okropnie zimno i nawet gruby płaszcz nie dawał wiele ciepła. Stopy Tess były już od dawna zlodowaciałe, lecz dziewczyna nie poruszyła się. Patrzyła na Matta oszołomiona.

- Niby dlaczego poprosiłem Rączego Jelenia, by udzielił nam ślubu? - szepnął Matt delikatnie dotykając jej policzka.

- Niby dlaczego obywałem się bez kobiety przez dwanaście lat?

- Obywałeś...? - sapnęła Tess z niedowierzaniem. - Ale przecież mówiłeś...!

- Mówiłem ci, że znam wiele doświadczonych kobiet - odrzekł tonem spokojnej konwersacji, jakby te rewelacje nie miały dla niego żadnego znaczenia. - I to prawda... Tuliłem je, całowałem i pieściłem, jednak nigdy z żadną z nich nie spałem. - Wyszczrzył zęby w łobuzerskim uśmiechu. - Na miłość boską, Tess! Przecież byłem żonaty!

Dziewczyna uderzyła go zaciśniętą pięścią w pierś i warknęła z furją, lecz zupełnie się tym nie przejął; przyciągnął ją do siebie i przytulił, a potem pocałował ją na samym środku chodnika. Kiedy już się od siebie oderwali, zobaczyli, że przechodnie patrzą na nich z oburzeniem... ale nie wszyscy: niektórzy byli wyraźnie rozbawieni.

- Chodźmy teraz do państwa Green... zobaczymy, czego się tam dowiemy. Nan nie powinna czekać w niepewności ani chwili dłużej niż to konieczne.

Matt ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku domu Briana Greena.

Pani Green powitała ich w progu z dziwną miną i zaprosiła do saloniku na kawę. Tam spotkali Briana Greena, który obdarzył ich zdumionym spojrzeniem, gdyż dopiero przed kilkoma minutami wrócił z pracy. Kiedy Edith Green wniosła do pokoju tacę z kawą, Matt podszedł i wziął ją od niej. Zauważył, że dłonie starszej kobiety drżą. Uśmiechnęła się sztywno i usiadła na kanapie obok męża, a Matt postawił tacę na stole.

- Należy nam pani, panno Meredith? - spytała Edith Green śpiętym głosem. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jestem dziś tak zdenerwowana, ale okropnie drżą mi dłonie. - Roześmiała się nerwowo.

Tess posłuchała; podała wszystkim filiżanki gorącego napoju, po czym sama usiadła trzymając spodeczek na kolanach, a filiżankę w dłoni.

- Dziwna pora na odwiedziny, jeżeli mogę tak powiedzieć - odezwał się Brian Green.

- Przykro mi, ale nie przyszedliśmy tu z towarzyską wizytą - odrzekł Matt ponuro. - Od dawna prowadziliśmy własne śledztwo i wreszcie znaleźliśmy podejrzanego w sprawie zabójstwa Coliera. - A po chwili dodał z wystudiowaną nonszalancją: - Wiemy już, kto go zamordował.

- Na miłość boską, kobieto! - wykrzyknął Brian Green, gdy jego żona, słysząc te słowa, wylała na siebie kawę.

Pani Green złapała gwałtownie serwetkę i wytarła kawę z sukni; potem spojrzała na Matta przerażonymi oczyma.

- Jak się dowiedzieliście? - spytała napiętym głosem.

- Sąsiedzi widzieli, jak wybiegała pani z domu Colierów.

- To bezczelne kłamstwo! - wybuchnął Brian Green, lecz Matt uciszył go zimnym spojrzeniem i położył mu dłoń na ramieniu.

- Od razu pani powiem, pani Green, że nie wierzę, by była pani zdolna do morderstwa z zimną krwią - rzekł spokojnie.

- Znam też adwokata, doskonałego prawnika specjalizującego się

w podobnych sprawach, który na pewno panią wybroni. Colier to był wstrętny szczur i wszyscy o tym wiedzą. Sprowadzimy świadków, którzy przysięgną, że katował pani siostrę i zażywał narkotyków... to przekona łąwę przysięgłych, że lepiej, iż już nie chodzi po tym świecie.

Pani Green siedziała na kanapie łkając rozpaczliwie. Przyłożyła serwetkę do oczu i pochyliła się zaciskając dłonie na kolanach. Jej mąż patrzył na to z przerażeniem.

- Powiedziałyby wszystko... nie pozwoliłabym, żeby ją za to powiesili! Musicie mi uwierzyć - wykrztusiła przez łzy. - Ale bałam się! Tak bardzo się bałam!

- Teraz już nie ma powodu do obaw - wtrąciła łagodnie Tess.

- Niech nam pani wszystko opowie od początku.

Edith Green otarła oczy i siąknęła nosem, a potem spojrziała przepraszająco na męża.

- Nan przyszła do nas cała posiniaczona... wyglądała jak śmierć... Powiedziała, że Dennis przysiągł, iż ją odnajdzie i zabije... mówiła, że nie może iść z nami do domu, bo boi się, że Dennis nas też skrzywdzi. Jakoś jej to wyperswadowaliśmy, ale następnego dnia rano, gdy on - skinęła głową w kierunku męża - poszedł do pracy, Nan strasznie się wystraszyła. Poszłam więc do Coliera i powiedziałam, że odeślę mu Nan do domu, jeżeli tylko obieca więcej jej nie bić. Oczywiście, nie zamierzałam tego robić, chciałam tylko zyskać na czasie. Ale on był okropnie pijany... powiedział, że jeżeli Nan zaraz do niego nie przyjdzie, on weźmie pistolet, przyjdzie do nas i ją zabije. Mówił to w taki sposób, że ani przez chwilę w to nie wątpiłam. Wiedziałam, że to zrobi. Byłam śmiertelnie przerażona, ale pomyślałam, że może uda mi się go przekonać... Myślałam, że uda mi się go przestraszyć... żeby więcej nie pastwił się nad Nan... żeby zostawił ją w spokoju. Przecież z większością ludzi można się dogadać, prawda?

- Ale nie z pijanym jak bela draniem! Nawet nie powinnaś

była próbować, ty szalona kobieto! - jęknął Brian Green i złapał żonę za rękę.

- Teraz już to wiem, kochanie. Ale wtedy sądziłam, że to najrozsądniejsze wyjście. Gdybyś ty poszedł tam zamiast mnie, mógłby cię zabić bez ostrzeżenia. - Odetchnęła głęboko i pobladła jeszcze bardziej. - Wyszłam stamtąd, lecz po chwili wróciłam. W przedpokoju było ciemno... a potem weszłam do pokoju. Nie poznał mnie. Zawołał Nan..., tak głośno, że na pewno wszyscy sąsiedzi go słyszeli. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie. Drżały mi kolana... i tak okropnie zaschło mi w gardle, że zdołałam tylko wykrztusić jego imię. A on przysunął się do mnie i wtedy to zobaczyłam...

- Co pani zobaczyła? - zapytał Matt.

- Rewolwer - odparła. - Na stole za nim leżał rewolwer. Colier roześmiał się cicho i powiedział, że zajmie się mną raz na zawsze... że nauczy mnie rozumu... ale, że najpierw mam mu dać to, co daję temu bogatemu draniowi, z którym się włóczę. Cały czas brał mnie za Nan. Był tak okropnie pijany! Ledwo trzymał się na nogach...

- I co było dalej? - zapytała łagodnie Tess.

Pani Green spojrzała na nią zamglonymi oczyma.

- Wstał od stołu i podszedł do mnie... zaczął mnie przeklinać i unióś pięść... wiedziałam, że jeżeli mnie uderzy, nie będę mieć najmniejszej szansy. Na stoliku obok drzwi stał koszyk z szyciem... sięgnęłam do niego i wyciągnęłam nożyczki. Uderzył, lecz uchyliłam się i rąbnął pięścią w drzwi. Wrzasnął... a ja... - Z trudem przełknęła ślinę i widać było, że walczy z falą nudności. Zamknęła na chwilę oczy i wzdrygnęła się. - Po prostu zamachnęłam się tymi nożyczkami. Dennis zatoczył się i cały czas wrzeszcząc upadł do tyłu. Nawet nie sprawdziłam, w co go dźgnęłam... po prostu otworzyłam drzwi na oścież i uciekłam stamtąd. - Zagryzła wargi i z trudem powstrzymała łzy. - Nie

chciałam go zabić. Bóg mi świadkiem, chciałam go tylko powstrzymać przed skrzywdzeniem Nan!

Tess podeszła do niej i objęła ją.

- Wiem, że powinnam była powiedzieć to wszystko zaraz, na początku... kiedy tylko aresztowano Nan. - Edith kołysała się monotonna i tkała. - Ale tak bardzo się bałam! Nie chciałam też zhańbić mojego męża i malutkich dzieci... Tak bardzo mnie to męczyło... Cieszę się, że już jest po wszystkim. Nieważne, czy mnie powiesz... zabiłam człowieka i *należy* mi się *za to* kara.

- Zabiła pani podstępного węża - odrzekł Matt - i należy się pani medal za odwagę. I proszę się nie martwić... Jutro z rana wyślę telegram do Jerry'ego Dunna z Fort Worth... Poproszę go, by panią bronił. Na pewno przyjedzie - dodał pewnym tonem.

- Myśli pan, że ten Dunn da radę wybronić moją żonę?
- zapytał ochryple Brian Green.

- Jestem tego pewien - odparł Matt poważnie. - To oczywista samoobrona, a ja mogę znaleźć dwudziestu świadków, którzy pod przysięgą zeznają, jakim draniem był Colier... i jeszcze dwudziestu, którzy poświadczą kryształowy charakter pańskiej żony.

- Wiedział, że może to obiecać... Jim Kilgallen na pewno znajdzie i stu ludzi, którzy staną w obronie Edith Green... która już wkrótce zostanie jego szwagierką.

Brian Green nadal był zmartwiony, lecz jego twarz nieco się rozpozodziła.

- No, cóż... kochanie. Chyba musimy udać się na posterunek - powiedział łagodnie.

Skinęła głową i otarła oczy. Potem uśmiechnęła się łzawo do Tess.

- Bardzo mi przykro... W innych okolicznościach nie skrzywdziłabym muchy.

- Colier był podłym draniem - rzekł Matt zimno. - Dostał to, na co zasługiwał. Przykro mi tylko, że pani i Nan zostałyście w to wszystko wplątane.

- Jest pan bardzo miły, panie Davis - szepnęła Edith Green.
- Wyśle pan depeszę do tego pana Dunna? - upewnił się Brian Green.
- Zaraz z samego rana - obiecał Matt, a potem podniósł się i pomógł wstać Tess. - Jeżeli wolno, chcielibyśmy pójść z państwem na posterunek... Odprowadzimy potem panią Colier do hotelu.
- Nie ma mowy - burknął Green. - Ona zamieszka tu u nas. Tu jest jej miejsce.
- Wyjątkowy z pana człowiek, panie Green - powiedziała Tess łagodnie, na co policjantomal się nie zaczerwienił.
- No, cóż... Nan to dobra dziewczyna... nawet jeżeli ma dziecko, no... - Nie dokończył widząc złe spojrzenie żony.
- Myślę, że jeżeli chodzi o Nan i jej dziecko, czeka was parę niespodzianek - mruknął Matt pod nosem. - Ale sami się o tym przekonacie... Nie chcę uprzedzać faktów. Poza tym wystarczy wam jeden szok.

Nan została zwolniona, lecz jej radość przytłumił fakt, iż jej miejsce w celi zajęła siostra. Gorąco podziękowała Mattowi i Tess, po czym poszła do domu wraz ze swym załamanymszwagrem. Powiedziała, że pomoże mu w opiece nad dziećmi i uśmiechnęła się myśląc o własnym, jeszcze nie narodzonym dziecku.

- Jak myślisz, co zrobi Kilgallen? - zapytała Tess, gdy już wyszli przed więzienie i stali na ostrym mrozie,
- ~ Myślę, że ożeni się z nią nie czekając nawet, aż skończy się przepisowy okres żałoby. - Matt roześmiał się wesoło. - Ja bym właśnie tak postąpił.
- Naprawdę? Ty?! Bardzo konserwatywny Matt Davis? Spojrzał na nią z góry.
- Nie czuję się już tak konserwatywny, jak jeszcze kilka

tygodni temu - przyznał z uśmiechem. - Może nadszedł już czas, bym wreszcie wylaźł ze swej skorupy?

- Nie mogę się tego doczekać! - zawołała Tess przekornie i popatrzyła na niego z czułością.

Matt złapał ją za rękę i pocałował.

- Odprowadzę cię do domu Ellen... a potem muszę wrócić do własnych spraw. Zostało mi jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Nic zobaczymy się przez najbliższy tydzień... może dłużej. - Spowaźniał. - Tess nie trać wiary we mnie. Nie zawiodę cię.

- Nawet *mi to przez myśl nie przeszło* - odparła, a potem uśmiechnęła się promiennie. - Kocham cię.

Matt westchnął.

- Ja też cię kocham... Mam nadzieję, że będziemy żyli tysiąc lat. Razem.

- Z naszymi dziećmi i wnukami - dodała spodziewając się jego protestu, lecz Matt tylko się uśmiechnął. Odprowadził ją do drzwi domu Ellen, na pożegnanie pocałował lekko w policzki i odszedł swoją drogą.

Tydzień później Matt przesłał jej do szpitala specjalne wydanie „Chicago Timesa”. Na pierwszej *stromie kolumny towarzyskiej* widniało ogromne zdjęcie Indian Oglala i Siuksów występujących w show Billa Cody’ego - niedługo mieli wyjechać do Nowego Jorku z gościnnymi występami. W centralnym punkcie zdjęcia widać było dwóch wodzów plemiennych i starego czarownika, Rączego Jelenia., a między nimi stał znany detektyw, Matt Davis, w skórzanych spodniach i takiej samej kurtce, z ogromnym pióropuszem na głowie i barwach wojennych na twarzy.

W artykule było napisane:

Znany w całym Chicago detektyw, Matt Davis, pozował do zdjęć wraz z Indianami z plemienia Siuksów z Południowej Dakoty. Podczas wojny, która zakończyła się 30.12.1890 roku

masakrą pod Wounded Knee, pan Davis mieszkał jeszcze ze swoim szczeniem i był znany jako Tańczący Kruk. Pan Davis z dumą mówił o swoim pochodzeniu i dziedzictwie i przez kilka godzin rozmawiał w swym narodowym języku z braćmi i Billem Codym. Następne występy zespołu show z Dzikiego Zachodu odbędą się w Nowym Jorku.

Potem było już tylko o samym Billu Codym i jego planach wyjazdu do Europy. Tess patrzyła na fotografię z mieszaniną dumy i radości, tym bardziej że pod zdjęciem widniało pytanie dopisane czarnym atramentem: *Czy posłubisz, tego mężczyznę ?*

Był środek dnia pracy, ale Tess nawet się nie zatrzymała, by pomyśleć, że za podobną niesubordynację może zostać wyrzucona ze szpitala. Gdy tylko znalazła torebkę, wybiegła ze szpitala w czepku na głowie - którego przepisy zabraniały nosić dalej, niż sto jardów od głównego wejścia - i machając dziko rękoma zatrzymała pierwszą z brzegu dorożkę. Kazała się wieźć do biura Matta. Przez całą drogę trzymała gazetę w zaciśniętej dłoni.

Zbliżało się Boże Narodzenie i wszystko było kolorowo przyozdobione - od latarni po werandy domów. Tess przyglądała się temu wszystkiemu z uśmiechem i zastanawiała się, co też Matta podkusiło, by wyjawic światu swą tożsamość. Była tak dumna z niego i tak szczęśliwa, że miała wrażenie, iż zaraz uniesie się w powietrze.

Dorożka wreszcie przedarła się przez południowy zamęt *na* ulicach i zatrzymała się przed agencją detektywistyczną. Dziewczyna rzuciła dorożkarzowi drobne i wbiegła po schodach powiewając spódnicą.

Wpadła do hallu i zobaczyła Stanleya - siedział na kanapie. Na widok gazety w jej ręku wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wspaniałe, co? - wykrzyknął. - Wiedziałem... no, raczej domyślałem się wszystkiego już od dawna, lecz nie śmiałem pytać pana Davisa o jego prywatne sprawy. Proszę sobie wyobrazić! Brał udział w bitwie o Wounded Knee! Powiedział mi, że

Siuksowie to dumny naród! Z tego szczepu pochodzi Koń, a także Czerwona Chmura, który pokonał białych w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku!

- W rzeczy samej - z uśmiechem zgodziła się TESS.

Matt usłyszał jej głos i podszedł do drzwi swego gabinetu. Stał bez kapelusza i marynarki, a jego wspaniałe czarne włosy pu i pierwszy były rozpuszczone i w ciężkich fałach spływały mu na plecy. Wyglądał ośniewająco.

- I co o tym sądzisz? - spytał ją w języku Siuksów.

- *Wachia ka cha i beduch kien che* ~ odparła. („Cieszę się, gdy cię widzę”).

- I ja się cieszę - odrzekł po angielsku.

- Mój Boże - wyjąkał Stanley. - Pani mówi w ich języku?

- W rzeczy samej - odpowiedział za nią Matt. - Potrafi też strzelać z łuku, jeździe konno na oklep, a także wytropić i obdrzeć ze skóry jelema. Sam ją tego nauczyłem... dawno temu, w Montanie.

- No jasne, przecież jesteście kuzynami - rzekł spokojnie Stanley. - Czyli pani też należy do plemienia Siuksów.

- Nie jesteśmy kuzynami - wyjaśnił cierpliwie Matt. - To tylko zaślona dymna, by ludzie nie zadawali zbyt wielu pytań. Właściwie, Stanley, Tess jest moją żoną.

- To prawda, choć tylko wśród Siuksów - odrzekła Tess patrząc na Matta z taką miłością, że Stanley poczuł się trochę skrępowany.

- *Ale* naprawimy *to*, *gdy tylko* uda mi się znaleźć jakiegoś księdza, który zechce nam udzielić ślubu - dodał Matt. - Stanley może cię poprowadzić do ołtarza. Zgoda?

Młodzieniec aż sapnął z zachwytu.

- Naprawdę? Będę zaszczycony. Och, dziękuję panu.

Matt położył mu dłoń na ramieniu.

- Wspaniały z ciebie chłopak, Stanley, i mam nadzieję, że wykonasz dla mnie jeszcze niejedno zadanie. Udowodniłeś, że jesteś wspaniałym detektywem i chlubą mojej agencji.

- Bardzo panu dziękuję!
- To ja ci dziękuję, Stanley!

Młody człowiek, zaczerwieniony z podniecenia, pospiesznie poszedł do swego gabinetu. Tess i Matt zostali sami. Matt zamknął drzwi i oparłszy się o nie, przyjrzał się dziewczynie.

- Domyślam się, że twoja odpowiedź jest twierdząca? - zapytał.

~ Och, tak!

Podszedł bliżej i popatrzył na zdjęcie w gazecie, którą przyniosła Tess.

- Całkiem nieźle wyszło, prawda?

- Jesteś wyjątkowo przystojny - odparła. - A ja kocham cię bez względu na to, czy nosisz włosy rozpuszczone, czy splecione w warkocz i schowane pod ubraniem.

- Miło mi to słyszeć - odparł z szerokim uśmiechem.

Tess uniosła gazetę i spojrzała mu badawczo w oczy.

- Dlaczego, Matt? - spytała.

- Nauczyłaś mnie, że nie da się uciec od własnej przeszłości - powiedział po prostu. - Ty nigdy przed niczym nie uciekaś, Tess, natomiast ja... przeraziłem się tym, co się wydarzyło pod Wounded Knee. Kiedy wreszcie przestałem uciekać i obejrzałem się za siebie, zobaczyłem, że są tam tylko cienie. Nie ma żadnego prawdziwego zagrożenia. - Przyciągnął ją do siebie, pochylił się nad nią i wyszeptał z wargami tuż przy jej ustach: - Nasze dzieci będą wyjątkowe. I chcę mieć ich całą gromadkę.

Tess nie odpowiedziała. Tuliła się do niego z całej mocy, a jej wargi rozchyliły się pod naporem jego ust. Pomyślała, że w istocie będą mieli cudowne dzieci... piękne i mądre, a ona do końca życia będzie dziękować Bogu za to, że pomogła Mattowi uporać się z przeszłością.

Śnieg walił w okna i wiatr wył jak szalony, ale oni tego nie słyszeli; w ich uszach brzmiało odległe bicie bębnow i trzask polan płonących na ogniskach. Szlachetni wojownicy wstawali

BEZDOMNA

z popiołów antycznej cywilizacji, ich głosy, dobiegające przez setki lat i mil, śpiewały o pięknie nadchodzących lat.

Tess pomyślała, że pewnego dnia Siuksowie znowu będą dumnym narodem mądrych ludzi, którzy zwalczą uprzedzenia białych i zdobędą należne im miejsce w świecie. Było to tak nieuniknione jak jej nadchodzące szczęście u boku Tańczącego Kruka. Wiedziała też, że razem zdołają te marzenia urzeczywistnić.

Epilog

Chicago, późna jesień, 1938

Tess uściśnęła mocno dłoń męża, a on odpowiedział jej uśmiechem. Właśnie uczestniczyli w ceremonii zaprzysiężenia ich córki, która miała zostać pierwszą kobietą w historii stanu Illinois piastującą publiczną funkcję. Jej brat, sławny w całym kraju prawnik specjalizujący się w obronie praw mniejszości narodowych, szczególnie Indian, stał obok niej. Jego ciemnoskóra i ciemnowłosa uroda przyciągała do niego spojrzenia setek kobiet, podobnie jak uroda jego siostry przyciągała męskie spojrzenia. Pogoda była paskudna, chłodna i deszczowa, zwiastująca nadejście kolejnej mroźnej i śnieżnej zimy, lecz Tess zupełnie to nie przeszkadzało.

Pomyślała, że w ciągu minionych lat jej dzikie serce dziwnie złagodniało. Wspomniała ich ślub i długie lata, w ciągu których dochowali się dwójki cudownych i uzdolnionych dzieci. Wzięli z Mattem ślub w czasie tygodnia świątecznego i zaczęli wspólne, radosne życie. Co prawda od czasu do czasu, aż do początku lat dwudziestych, Matt był zmuszony wyciągać Tess z więzienia. Te przygody stały się rzadsze, gdy w 1920 roku poprawki do Konstytucji nadały kobietom prawo do głosowania, a w 1924 roku całkiem ustały, kiedy kongres uchwalił, że każdy Amerykanin, czyli Indianie także, ma prawo głosować w powszechnych wyborach.

Tess spojrzała przez salę na wielce szanowanego obywatela Chicago, Jima Kilgallena, którego od dwudziestu pięciu lat nikt nie ośmielił się nazwać Diamentowym Jimem. Siedział obok swej ukochanej żony, Nan. Siostra Nan, Edith Green, reprezentowana przez Jareda Dunna, została uniewinniona spod zarzutu morderstwa pierwszego stopnia i skazana za nieumyślne spowodowanie śmierci z wyrokiem w zawieszeniu. Teraz żyła daleko na Południu wraz ze swym mężem i dziećmi.

Westchnąwszy cicho Tess przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, Matt obsesyjnie bał się mieć z nią dzieci. Bał się, że będą żyły zawieszona między dwoma światami i nigdy do żadnego nie wkroczą. Na szczęście wraz z upływem lat te troski rozwiały się.

- A ty myślałeś, że nasze dzieci będą cierpieć z powodu swego pochodzenia - zgaśniła go cichym szeptem w chwili, gdy ich zgrabna, śliczna córka kładła rękę na Biblii przygotowując się do złożenia przysięgi.

Matt, którego włosy, podobnie jak loki Tess, posiwiwały z biegiem czasu, ujął jej dłoń i uścisnął mocno.

- Natomiast ty nigdy nie miałaś nawet cienia wątpliwości, że zajdą wysoko. - Spojrzył z miłością w jej pobrużdżoną upływem lat twarz, - Powiedz mi teraz, zanim weźmiemy nasze dzieci na obiad, czy żałujesz czegoś? Czy gdybyś mogła, zmieniłabyś coś w naszym wspólnym życiu?

Tess w zamyśleniu zmarszczyła brwi, w jej jasnych oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Niewiele... tylko jedno.

- Co takiego?

Przyciągnęła go ku sobie, i wyszeptała z ustami tuż przy jego uchu;

- Żałuję, że nie możemy wrócić do początku i zrobić wszystkiego jeszcze raz. Tak samo.

Pocałował ją namiętnie, a jeżeli nawet komuś przeszkadzało,

że dwoje starszych ludzi całuje się na oczach zebranych dostojników i połowy mieszkańców Chicago, nikt nic nie powiedział. Ich córka, schodząc z podium, roześmiała się na ten widok, a ich syn uniośł brwi w czułym uśmiechu podchodząc do nich z piękną dziewczyną u boku.

- Mówiłeś, że oboje twoi rodzice pochodzą z plemienia Siuksów - zauważyła z uśmiechem.

Spojrzał na nich z miłością w oczach.

- Bo tak właśnie jest.

- Ależ twoja matka ma tak jasną cerę i...

- Tu nie chodzi o cerę, tylko o serce.

Chętnie rozwinąłby ten temat, lecz właśnie w tej chwili matka, stojąca w objęciach ojca, przywołała ich skinieniem. Śmiała się jak młoda dziewczyna, którą w głębi serca nadal była.

Matt przyciągnął ją bliżej i przez chwilę wyobraził sobie tętent kopyt mustangów galopujących przez prerię, cichy odgłos bębnow dokoła obozowego ogniska i zawodzące śpiewy wojowników. Ale dawne dni minęły bezpowrotnie. Teraz ludzie mogli latać bez skrzydeł, a ruchome obrazy przekształciły historię zdobywania Dzikiego Zachodu. Ale kiedy Matt przyrywał oczy, nadal słyszał śpiew wiatru zawodzący o bohaterskich czynach jego braci, o harmonii i swobodzie. Jego dzieci nigdy nie poznają tych rzeczy... ale on i Tess nadal będą żyć w zgodzie z dawnymi obyczajami.

- O czym myślisz? - zapytała go łagodnie żona.

Otworzył oczy i spojrzał na nią tkliwie.

- Wspominałem głosy wojowników wznoszące pieśni do Wielkiego Ducha.

Przysunęła się do męża jeszcze bliżej i oparła policzek o jego pierś.

- Pewnego dnia głosy dawnych wojowników znowu zaśpiewają dla nas pieśń dziękczynną i znowu pogalopujemy przez prerię.

Pocałował ją w czoło i mocno przytulił.

- Razem.

Tess uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że razem. Bóg nie ośmieliłby się rozłączyć jednej duszy... Bo my wszak mamy jedną duszę żyjącą w dwóch ciałach.

Matt oparł policzek o jej siwe włosy. Nie musiał jej zapewniać, że czuje to samo. Tess i tak od dawna o tym wiedziała.

Ponad głową Tess jej dzieci uśmiechały się do siebie.